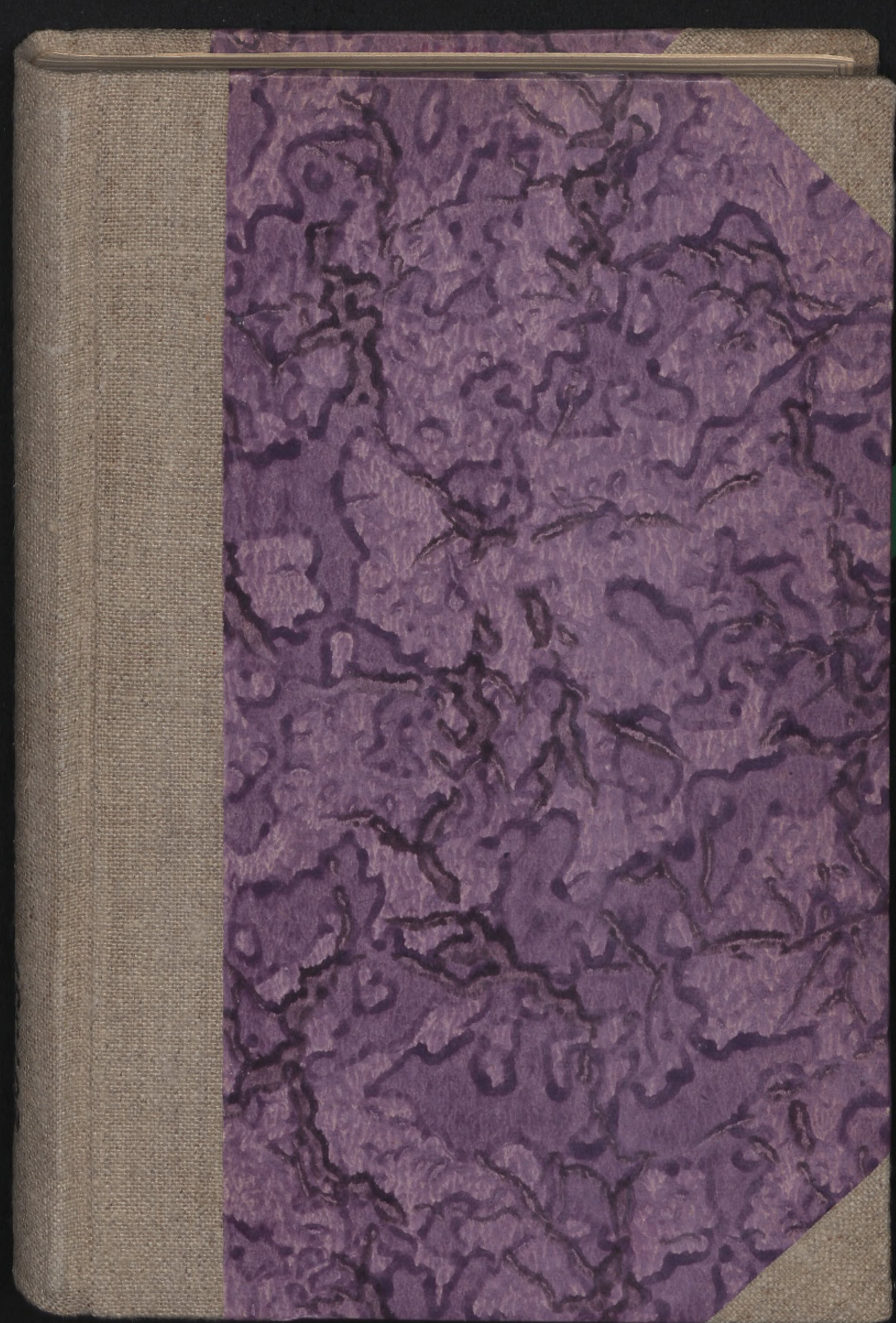
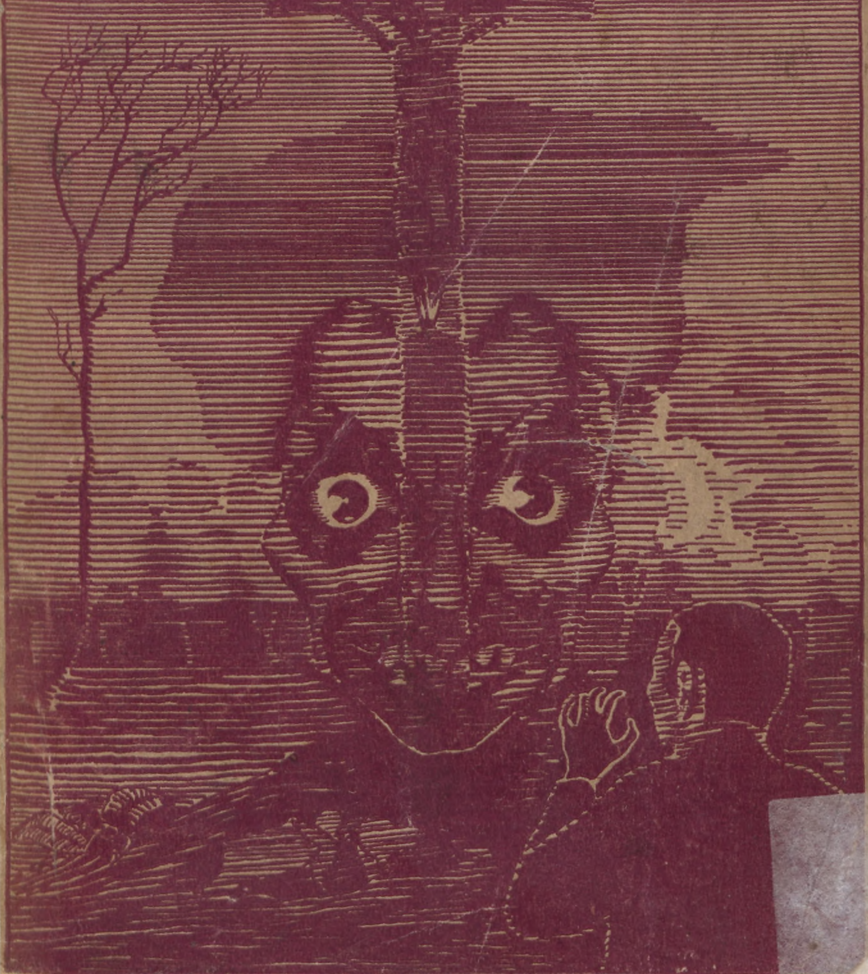


ZMORA



BIBLJOTEKA WIEDZY DUCHOWEJ

A. P.
Agni

ZMORA

POWIEŚĆ OKULTYSTYCZNA

OSNUTA NA TLE PRAWDZIWYCH PRZEŻYĆ

ROK 1932

NAKŁADEM
WYDAWNICTWA „HEJNAŁ“, WISŁA (ŚLĄSK CIESZYŃSKI)





DRUKARNIA PAWŁA MITRĘGI W CIESZYNIE.

SŁOWO OD WYDAWNICTWA.

Pragnąc przyjść z pomocą wielu łaknącym pociechy w tym kołowrocie karmicznym, jakim jest życie nasze na ziemi i szukającym przyczyn swych różnych niepowodzeń i udręk, tak fizycznych jak i psychicznych, wyciągamy ku nim serdecznie dłoń, podając do przeczytania niniejszą powieść. Książka ta, fascynująca już samym tytułem, nie jest bynajmniej fantazją na miarę Verne'go lub Żuławskiego. Każda stronica tchnie wielką ilością zmagań psychicznych bohatera powieści, jakim jest postać Antoniego. Jakieś dziwne fatum pragnie wpędzić go w otchłań nędzy moralnej, nie tyle na planie fizycznym, co duchowym, wywołując zgrzyty zazębiających się o siebie kół machiny, jaką jest odwieczne prawo przyczyny i skutku. Walka, jaka się rozgrywa w świecie ducha o duszę Antoniego, znajduje oddźwięk w jego jaźni. Kruszą się jedne po drugich stare wierzenia i poglądy na świat. I tak, jak w III części Dziadów naszego wieszcza, Adama Mickiewicza, umiera Gustaw, a zmartwychwstaje Konrad, jako rezultat zmagań duszy ludzkiej, taka i tu analogja; złamany walkami psychicznemi, Antoni zapada w letarg, czyli umiera na pewien czas dla tego świata, by obudzić się do nowego życia już jako duch świadomy swego celu i przeznaczenia, duch, rozumiejący przyczynę swoich cierpień, chwalący i wielbiący Boga i zdający się na Jego Wolę.

I to zdanie się na wolę Bożą jest niejako credo całej książki.

Tężyzna owych przeżyć duchowych w niczem nie przypomina mdłych seansów medjumicznych, gdzie prócz zaspokojenia ciekawości i uzyskania głębokiej emocji wrażeń, owiniętych w całun cmentarnych wizyj, istnieje jeszcze głęboki sens moralny: jak należy żyć na świecie, by się wreszcie wyzbyć owych ciężarów, jakie nam przynosi nasza Karma, by wyzwolić ducha z kajdan materji, z tych więzów, uniemożliwiających nam rozdarcie zasłony, za którą kryje się tajemnicza Isis-Prawda, głosząca nam, dlaczego ludzie cierpią i dokąd jeszcze cierpieć będą.

Prócz przeżyć Antoniego, którego myśli i opowiadania odkrywają nam coraz to nowe horyzonty zakulis naszego życia na planie fizycznym, jest w książce tej wiele pięknych szkiców zapoznających nas z fauną i florą nietylko ponurych, smutnych i grozą przejmujących, ale i cudownych i harmonją i spokojem tchnących przestrzeni świata astralnego.

Przystępując do wydania niniejszej książki, czujemy się w obowiązku poinformować na wstępie Czytelnika, że autorką jej jest jasnowidząca, ukrywająca się skromnie pod imieniem Agni P. Ktoby chciał bliżej zapoznać się z jej życiem, już od dziecka tak bogatem w dziwne i niecodzienne przeżycia duchowe, a szczególnie tym, którzy dzięki różnym okolicznościom nie są jeszcze dostatecznie obznajomieni z powszechnie znanemi fenomenami jak: jasnowidzenie, jasnosłysze-

nie, odłączanie się od ciała etc., tym szczerze polecamy przeczytanie jej Pamiętników, które wydaliśmy w ub. roku p. t. „Pamiętniki Jasnowidzącej z wędrówki życiowej poprzez wieki".

Ze względu na różnorodność poruszonych w „Zmorze" zjawisk i zagadnień z ponad fizycznych dziedzin bytu, wypadałoby w tem miejscu na niejedno zwrócić uwagę i może bardziej udostępnić i wyjaśnić, szczególnie tym, którzy zagadnieniami temi dotąd się nie zajmowali, a którzy, obudziwszy w sobie chęć i życzenie poznania siebie samego, będą chcieli tajniki duszy i ducha swego zgłębić. Ze względu jednakże na szczupłe ramy tej książeczki, odsyłamy żądnych wiedzy w tym kierunku do innych dzieł, wyszczególnionych na końcu tego tomiku.

Wisła, w grudniu 1931.

PRZEDMOWA AUTORKI.

Dziwne koleje przechodziły te wszystkie zapiski moje i nie moje, które się złożyły na całość drukującej się obecnie nakładem „Hejnału" powieści okultystycznej — „Zmora". Ileż mi to nieraz było trzeba walczyć, by zapiski te utrzymać w rękach, by snać podmuch Złej Woli mi ich nie zniweczył. A jednak pisałam je aż trzy razy.

— Dlaczego? — zapyta pewnie Czytelnik.

Oto już w roku 1915 spotykałam w Sferach Ducha podczas moich wędrówek w odłączeniu się od ciała,

pewnego mieszkańca szerokich przestworzy, który także ongiś żył na ziemi, a którego nazwaliśmy w powieści Antonim. Z tym to Antonim zwiedzałam nieraz różne miejscowości w zaświatach i słuchałam z zaciekawieniem jego opowiadań, dowiadując się w ten sposób o jego żywotach, sięgających w kołowrocie zrodzeń całe tysiąclecia wstecz. Los tak zrządził, że stałam się mimowoli powierniczką tajemnicy jego życia. — W ciągu tych zwierzeń nieraz, patrząc mi długo i tkliwie w oczy, prosił mnie: „Nie zamilcz tego, nie zamilcz, ale powiedz innym ludziom na ziemi, niech nie lekceważą swego życia, niech nie idą bez zastanowienia się nad niejedną zagadką, nad nejednym snem, nad niejednem przeżyciem, które niby to przypadkowo zsyła nam los. Niech im obrazy te służą jako ostrzeżenie w złowrogiej igraszce życia ziemskiego, gdzie z takim trudem duch ludzki się orjentuje w dziwnym zbiegu różnych wydarzeń, a zastanawiając się nad swoim losem, tak często zadaje sobie pytanie, a nawet rzuca je nieraz z żalem i skargą Bogu w twarz: „Dlaczego jestem tak nieszczęśliwy? Dlaczego Ty, Ojcze, o którym mówią, żeś taki dobry i miłosierny, smagasz nas swoim doświadczalnym biczem i kładziesz krzyż na nasze barki, każąc nam iść w utrudzeniu drogą różnych cierpień?“ — Bo jakże często ciężkie, ciężkie cierpienia przewyższają niezmiernie to, co mógłby uznać w życiu swem doczesnem — a to w jednem życiu, bo innych nie pamięta — co mógłby uznać w tem życiu doczesnem za swoje grzechy, swoje błędy.

Wszystkim powiedzieć trudno, to też przyrzekłam mu, że dla pokrzepienia tych, których los prześladuje w różny sposób, opiszę bodaj kilka obrazów z jego wielkiej udręki duchowej i cielesnej z jego ostatniej pielgrzymki na ziemi.

I już w 1915 r. opisałam cały jeden etap z ostatniego jego życia. A więc jego niesamowite przeżycia ze zmorami, potem przeżycia podczas letargu, a wreszcie jego „zmartwychwstanie", spotkanie się z matką, powrót do domu i tu nowe życie. — Ile razy zaczęłam pisać o owych przeżyciach, zawsze zjawiał się Antoni a nieraz i inni jego towarzysze, by mnie bronić przed napaściami z przyziemnych sfer świata astralnego. Nieszczęsne bowiem duchy rzucały w mą stronę nieprzyjazne myśli, by mi uniemożliwić wskazywanie na owe obrazy, które tak prosto tłumaczą słowa Jezusa: „Nie odejdziesz stąd, póki nie zapłacisz do ostatniego szeląga", to jest, póki nie wyrównasz swoich grzechów na ziemi.

Często też pisał sam Antoni moją ręką o niejednem swem przeżyciu z którego nie zwierzał mi się podczas wspólnych wędrówek.

Zeszyt po zeszycie, arkusz po arkuszu układałam sobie do osobnej skrzyneczki, by to wszystko mieć razem, tem więcej, że właśnie w tym czasie wybierałam się do wyjazdu zagranicę, gdzie wśród wielu innych rzeczy zamierzałam wydać i obrazki z życia Antoniego. Tak się jednak złożyło, że w dzień wyjazdu, a wyjeżdżałam z dwojgiem małych dzieci, wśród zgiełku, jaki

panował wówczas na kolejach wspomniana skrzyneczka gdzieś zaginęła.

Pisałam na nowo i znów wszystko przepadło. A stało się to tak. W roku 1920 tak się jakoś losy moje pokierowały, że przenaczenie mi wskazywało zamieszkać na stałe w Polsce. Wyjechałam więc najpierw z dziećmi, by sobie poszukać odpowiednie mieszkanie, a później chciałam sprowadzić rzeczy. Nim zdążyłam wystarać się o pozwolenie i zadośćuczynić pewnym formalnościom, związanym ze sprowadzeniem ruchomości z zagranicy, otrzymałam zawiadomienie, że z przyczyn wielkiego gorąca, a było to w lecie, wybuchł pożar w domu, w którym, między innemi, i moje rzeczy padły ofiarą płomieni.

Po przeczytaniu tej wiadomości zadrżałam i dziwnie osłabiona usiadłam na krześle; zamknęłam powieki, by nie dopuścić do wybuchu łez i wtedy ujrzałam wiele nieszczęsnych ciemnych mieszkańców przyziemnego świata astralnego, cieszących się z mego smutku, skaczących z radości i wywracających koziołki. Zobaczyłam także, że pożar nie powstał z nadmiernego gorąca, ale że ogień został podłożony, a wiele moich rzeczy zostało uratowanych i rozkradzionych. Rękopisy więc ponownie przepadły.

Obecnie piszę przeżycia te po raz trzeci. Mam jednak niezłomną nadzieję, że teraz, chociaż znów trudności materjalne stoją nam w drodze, to jednak już niebawem, bodaj pierwszy tom tych Pamiętników Antoniego ujrzy światło dzienne.

Rozdział I.

Zmora.

Urodził się na wsi w jednym ze starych, zamożnych dworów, który już był trzy razy poprawiany. Dworek niknął w zieleni drzew, a naokoło niego roztaczały się obszerne pola, łąki i lasy.

Ojca stracił wcześnie, bo jako dziecko trzyletnie, lecz dobra matka otaczała go tem czulszą opieką. Życie płynęło mu nader spokojnie i może aż za wygodnie. Wykształcenie otrzymał po części na wsi, po części w mieście.

Licząc lat 23, był w pełnym rozkwicie młodości. Twarz rumiana, oczy pełne blasku patrzyły na świat z uśmiechem.

Tak było do owego pamiętnego dnia, w którym obchodził swoje urodziny, a zarazem i imieniny. Dzięki dobroci kochającej rodziny przebiegł mu dzień nader przyjemnie; gdy późnym wieczorem ułożył się do snu, dźwięczały mu jeszcze w uszach tony muzyki, a przed oczami wirowały roztańczone pary. Rozmarzony zasypiał już — gdy wtem nagle ujrzał w progu jakąś postać, która mocno utkwiła w nim wzrok, pa-

raliżując go nim niejako. Ku coraz większemu przerażeniu widzi, iż postać we drzwiach rośnie, rośnie... już przebija głową futrynę, już dosięga muru. Słyszy wyraźnie, jak kruszy się i sypie ściana — a owa zmora, jak ją później nazwali jego krewni i znajomi, zbliża się ku niemu. Chce krzyknąć, wołać o pomoc — lecz nie może wydobyć głosu ze ściśniętej krtani. A ona już się nad nim nachyla — o! pada mu na piersi i wpija usta w gardło. Już słyszy własny swój głos, jak krzyczy przeraźliwie, wzywając pomocy. Pewny więc jest, że przyjdzie mu ktoś z pomocą i odpędzi to straszne, duszące zjawisko. Lecz napróżno czeka... Odczuwa straszny ciężar, zda się, że życie już, już ulatuje z ciała. Ostatnim wysiłkiem woli postanawia się bronić — i już widzi, jak zaczyna się w istocie bronić. Trudno mu bardzo — straszydło jest silniejsze od niego; wreszcie jednak odchodzi. Sam nie wie, gdzie się podziało: czy wyszło oknem, czy drzwiami?

Czuje się więc wreszcie wolnym, lecz bardzo jeszcze osłabionym; serce boli i łomoce ze strachu. Zrywa się na obie nogi, otwiera gwałtownie drzwi swego pokoiku i woła drżącym głosem: „Mamo!“ Woła raz, drugi, trzeci — nikt mu nie odpowiada. Zaniepokojony, biegnie w stronę matki i chwyta ją za rękę — ręka ta jest dziwnie jakoś bezwładna; porusza jej głową — lecz i ta wykazuje tę samą bezwładność. Zmartwiony i przerażony podnosi obiema rękami głowę matki, wołając raz po raz: „Mamo, matko, mateczko, zbudź się!“ Wreszcie matka otwiera oczy, lecz patrzy nań jakimś dziwnym wzrokiem i pyta słabym głosem:

— Toś ty, Antosiu?

Tak, mamo, ja, ja — odpowiada syn z pewną ulgą w głosie.

— I cóż chcesz? — mówi matka, siadając. Antoś również usiadł obok niej na łóżku.

— Która godzina? — pyta znów matka.

— Pół do pierwszej, teraz właśnie bije.

— Tak, tak, pół do pierwszej — powtarza matka i poprawia sobie poduszki pod plecami. — Czegóż nie śpisz, dlaczegoś mię zbudził?

— Ach, mamo, miałem taki niedobry sen. Nie śmiej się ze mnie, lecz naprawdę boję się iść spać do swego pokoju. A w dodatku, wiesz, takem się przeląkł, kiedym się potem nie mógł ciebie dobudzić, głowa opadała ci bezwładnie na wszystkie strony.

— Spałam twardo — odrzekła matka. — I cóż ci się śniło?

— E, wiesz mamo, nie pytaj o to; opowiem ci rano Położę się tu oto na sofie i prześpię do rana.

Zabierał się już do urzeczywistnienia zamiaru, lecz naraz uczuł ból na szyji i przypomniał sobie, że owo straszydło wbiło mu zęby w szyję. Mimowoli spojrzał do lustra, szukając jakiegoś znaku na owem miejscu, lecz nie dostrzegł nic podejrzanego. Tymczasem matka zaczęła nalegać:

— No powiedz, cóż ci się to śniło?

— Wiesz, mamo, jakieś straszydło, jakaś mara zwaliła mi się na piersi i wydawało mi się, iż ssała ze mnie krew, wgryzając mi się w gardło.

— E, nie pleć, Antosiu — żadne strachy, żadne

mary nie istnieją. Jadłeś za dużo i piłeś wino, a teraz robisz alarm po nocy. Ja również mam głowę ciężką i także czuję się nie najlepiej; główną przyczyną, zdaje się, jest to, że mię tak gwałtownie przebudziłeś. No, ale jeżeli już chcesz tu spać, to śpij.

Syn przykrył się już tymczasem ciepłym kocem, życząc matce dobrej nocy i prosząc o przebaczenie, że przerwał jej sen.

— No, no, śpij już, Antosiu, śpij spokojnie! — odpowiedziała, kładąc się również do snu.

Następnego dnia zatarło się poniekąd w pamięci owo straszydło. On nie chciał o niem mówić z rana, a i matka się tego nie domagała, przypisując przyczynę całej historji przepełnieniu żołądka. I nadszedł znów wieczór, a z nim pora spoczynku. Antoś czuł się tego dnia bardzo niewyspanym, ponieważ ostatniej nocy pod wpływem zdenerwowania nie spał już do rana; toteż chciał się teraz wcześniej udać do łóżka. Umyślnie nie jadł na noc wiele; zadowolił się tylko kompotem z jabłek, odsuwając od siebie sarnią pieczeń. Mimo to nie mógł jakoś szybko zasnąć. Przypisywał fakt ów temu, iż położył się wcześniej, niż zazwyczaj. Było tak zresztą po części — była w tem jednak i inna przyczyna: przeszkadzały mu zasnąć myśli o owem zjawisku.

— Cóż to mogło być, do licha? — pomyślał zniecierpliwiony.

Nie mogąc jednak znaleźć żadnej odpowiedzi, starał się usilnie nie myśleć o tem. Nadeszła jednak już 11-ta godzina, a on jeszcze nie zmrużył powiek. W pół-

śnie słyszał też, jak bije godzina 12-ta. I nagle odczuł, że ogarnia go ogromna senność.

— Czyż to jednak sen? — pomyślał sobie. — Czy ja wogóle śpię? Przecież słyszę bicie zegara, a nie mogę się poruszyć mimo wszelkich wysiłków. Ach, jaka to dziwna ociężałość, jaka duszność!

Wtem — o zgrozo! Ona stanęła w progu; już uczyniła krok ku niemu. Stoi, rośnie... głową już dosięga sufitu... O! już się sufit załamuje, sypie i pada mu na piersi. A on znów woła, krzyczy, prosi o ratunek... lecz nikt go nie słyszy.

— Ach, jakież to straszne! — pomyślał sobie. Napróżno wołam, nikt nie przychodzi z pomocą! Przecież matka znajduje się tak blisko, a ja tak głośno wołam, że sam się lękam swego krzyku... Ach, już nie mam siły... o, ginę już, ginę, dławię się — dławi mię!

Ona runęła mu z całą siłą na piersi — i znów wpiła się w jego szyję. Niesamowite uczucie strachu nie pozwalało mu na dalsze wołanie; zresztą przestał już odczuwać, co się z nim dzieje, stracił świadomość siebie.

Po chwili otworzył oczy. Serce waliło mu ze strachu, jak młotem. Słaby i zniechęcony wstał z łoża, ubrał się po cichutku, a, nie budząc już matki, poszedł do jej pokoju i ułożył się na sofie w nadzieji, że zaśnie. Lecz sen długo nie przychodził; gdy już wreszcie zasypiał, ogarnął go jeszcze raz lęk na myśl: „A może ona jeszcze przyjdzie, może wróci?!“ I znów słyszał przez sen, jak bije godzina pierwsza w nocy, potem druga i trzecia. Wreszcie sen zamknął mu powieki. Spał, nie wiedząc, że słońce już świeci mu w twarz. Gdy się zbu-

dził, ujrzał stojącą przy sobie matkę. We wzroku jej czytał zapytanie: „Czyż znów strachy wypędziły cię z twego pokoju?“

Wyciągnął do niej rękę, mówiąc „dzień dobry“ i prosząc, by usiadła przy nim na chwilę. Gdy to uczyniła, zwrócił do niej proszący wzrok:

— Daruj, matko, że znów cię pewnie budziłem w nocy.

— O, nie — odrzekła — spałam twardo, nie wiem nawet, kiedyś przyszedł do tego pokoju. Ujrzałam cię dopiero rano i nie mogłam sobie przypomnieć, co się stało. Nie mogłam się zorjentować w pierwszej chwili, czy to jest dalszy ciąg wczorajszej nocy, czyś tu już przyszedł po raz wtóry.

Przyglądała się bacznie Antosiowi — wtem wzrok jej spoczął na jego szyji.

— Bój się Boga! — zawołała — cóżeś ty zrobił? Czyś się gdzie uderzył? Masz na szyji żółto siną plamę?

Antoni zerwał się na równe nogi.

— Co ty mówisz, mamo, naprawdę?

I pobiegł spojrzeć do lustra. Wpatrywał się w owo żółto-sine miejsce, a w oczach jego odmalowała się trwoga. Patrzy w lustro i wydaje mu się, że w tem lustrze widzi ową zmorę. Z okrzykiem przerażenia odskoczył od lustra, blednąc śmiertelnie. Matka, zaniepokojona nagłą zmianą w jego twarzy aż zmrużyła powieki, starając się usilnie przypomnieć sobie, gdzie to mógł się syn uderzyć w szyję — wszakże nie wspominał o niczem podobnem. „A prawda — przyszło jej nagle na myśl — wszak Antoni mówił jej, że owa strasz-

na postać wpiła mu się w szyję. Ale przecie wczoraj jeszcze nie miał tego".

A on stał cicho ze spuszczoną głową, przygryzając wargi. Nagle zawołał:

— Boże, cobym dał za to, żeby wiedzieć, jaka to siła przejawia się w owym śnie, skoro nawet ślady pozostają po niej na mojem ciele!

Tymczasem matka przystąpiła do niego, kładąc mu drżącą rękę na ramieniu.

— Uspokój się, Antoni — rzekła łagodnie — może we śnie uderzyłeś się w szyję, a potem zapomniałeś, albo też i wcale nie wiedziałeś o tem.

Synowi tłumaczenie matki wydało się niewystarczającem; mimo to udał przekonanego, przytakując jej. Dnia tego unikał rozmów, był smutny, roztargniony, nawet aż zły. Często w ciągu dnia sięgał ręką w stronę żółto-sinej plamy, chcąc się przekonać, czy szyja w tem miejscu boli. Nie odczuwał jednak żadnego bolu, powierzchnia plamy była tylko dziwnie ścierpniętą — odnosił wrażenie, jakoby dotykał ciała przez suchy, lekko chropowaty papier. Gdy słońce zaszło, znikła owa plama. Z radością powitał Antoni to zjawisko i zaraz po zniknięciu plamy odzyskał wesołość, czem podziałał dodatnio na całe swoje otoczenie. Wszyscy się cieszyli, że zapomniał o przykrych przejściach nocy; wiedzieli o nich coś niecoś, boć na zapytania ich, dlaczego Antoni taki smutny, tłumaczyła matka, że to rozdrażnienie nerwowe, spowodowane przerywanym snem, źle się bowiem jakoś czuje i drugą noc trapią go złe sny.

I znów zbliżała się godzina dziesiąta — zwykła pora, w której Antoni kładł się na spoczynek, czytając zwykle jeszcze z pół godzinki, lub godzinę przed zaśnięciem. Tym razem przerzucał książki w swej bogatej bibljotece, szukając jakiejś o wzruszającej treści. Myślał bowiem:

— Jestem zmęczony i śpiący — mógłbym zasnąć przy jakiejś zwykłej lekturze, a ja tej nocy spać nie będę — nie wcześniej w każdym razie, jak po pierwszej.

Lecz w tejże chwili zawstydził się sam przed sobą, że zaczyna na serjo wierzyć w jakieś strachy. Potrzymał w ręce książkę, wahał się przez chwilkę, wreszcie rzucił ją nerwowym ruchem na swoje miejsce; ruch był tak gwałtowny, że ta, uderzając grzbietem o inne książki, spadła na podłogę. Antoni założył ręce, przygryzł wargi i, nie biorąc już ze sobą żadnej książki, poszedł do sypialni. Stanął na progu i z niechęcią spojrzał na łóżko — lecz nie chcąc niepokoić matki, ani też budzić w kimkolwiek podejrzenia, że rzeczywiście wierzy w strachy, rzucił się na łoże. Światła jednak nie gasił — choć nie miał zamiaru czytać. Starał się myśleć o najzwyklejszych w świecie rzeczach, byle tylko odpędzić myśli o zdarzeniach dwu ostatnich nocy.

Wtem do drzwi zapukała matka; oznajmiła mu, że przyjechała kuzynka. Powinienby do niej dziś jeszcze wyjść, gdyż nie jest to tak późna pora, a mogłaby mu mieć za złe, że nie wychodzi na jej powitanie, choć jeszcze nie śpi.

— A kto jej mówił, że nie śpię? Właśnie miałem zamiar spać.

Powiedział tak umyślnie, żeby zatrzeć ślady swoich poprzednich zamiarów, że nie będzie spał przed północą.

Matka, zaskoczona trochę tą odpowiedzią, odrzekła:

— Trudno mi będzie cię wytłumaczyć, kiedy powiedziano jej, że nie śpisz, wskazywało bowiem na to światło przedzierające się z twego pokoju.

— A no, dobrze, dobrze, mateczko, przyjdę.

Po wyjściu matki zaczął się ubierać z uczuciem tajonej radości. Na rozmowie z wesołą, szczebiotliwą kuzynką zeszedł mu szybko czas; ani się spostrzegł, jak wybiła dwunasta. Wszyscy jednogłośnie uznali, że czas już udać się na spoczynek. Antoni nie sprzeciwiał się ani słowem, choć pragnąłby chętnie przeciągnąć rozmowę jeszcze bodaj do pierwszej po północy. Za nic jednak nie zaproponowałby tego, żeby nie zdradzić się ze swemi obawami, owszem sam powtarzał za matką, że kuzynka, zmęczona podróżą, potrzebuje odpoczynku.

Wróciwszy do swego pokoju, zapalił światło i zabierał się do spania. Dotychczas rzadko kiedy myślał o modlitwie przed spaniem. Wydawało mu się, że to zupełnie wystarcza, iż wierzy w Boga i w to, czego religja naucza, a obowiązki religijne spełnia dostatecznie, uczęszczając do kościoła w czasie deszczowych niedziel, gdy nie można urządzać dalszych wycieczek. Tego wieczora jednak, a raczej tej nocy, uczynił na piersiach znak krzyża, chcąc nim niejako oddalić wszelkie złe sny. Lecz jeszcze nie zasnął, gdy straszydło zaczęło się zbliżać. Odczuwał to, wiedział, ale go nie widział. Pomyślał sobie: „O, to ja nie zasnę, nie! Zaczekam aż to przejdzie“. Straszydło jednak nie przeszło obok, jak tego pragnął,

tylko zbliżało się ku niemu. Bronił się całą siłą, aby nie zasnąć. „O, wstać, wstać, zbudzić się, zbudzić zupełnie, to już będzie dobrze!“ I staczał straszną walkę z ogarniającą go sennością; wreszcie uległ jednak owej nieznanej sile. Nie widział już wyraźnie tej strasznej postaci, nie widział walącego się sufitu, uczuwał tylko na sobie nie mniejszy ciężar, niż zeszłych dwóch nocy. Co gorsza zaś, ledwo się przebudził, spocony, zmęczony i z silnym bólem głowy, chcąc już koniecznie zasnąć i sądząc, że teraz będzie miał przecie spokój, atak ponowił się jeszcze raz. Był krótki, lecz tak gwałtowny, że Antoni, rzucając się, omal nie spadł z łóżka.

Wreszcie nastała niesamowita cisza. Antoni zapalił światło i spojrzał na łóżko; miało wygląd, jakby rzeczywiście odbyła się na niem zawzięta walka. Przeszył go zimny dreszcz. Nagle zrobiło mu się bardzo smutno.

— Ach, jakim ja nieszczęśliwy — westchnął; lecz równocześne pomyślał sobie: „Nie, z tego pokoju, mimo wszystko, nie wyjdę. Muszę przemóc te złe sny!“

I znów położył się do łóżka, poprawiając rozrzucone poduszki i zgarniętą powłokę z pulchnej, puchowej kołdry, obciągniętej lśniącym atłasem. Parę guzików, na które zapięta była powłoka, leżało oderwanych od niej na podłodze, dwa były w łóżku. Poprawił powłokę na kołdrze i położył się do snu. Przespał już resztę nocy do rana — sen ten jednak bynajmniej go nie pokrzepił. Głowa była ciężka, oczy zaczerwienione, odczuwał pragnienie i osłabienie ogólne. Zdejmując nocną koszulę, ujrzał na lewem przedramieniu żółto-siną plamę, podobną do tej z zeszłego dnia; to doprowadziło go do

jeszcze większej depresji duchowej. Włożywszy tylko ranny szlafroczek, zadzwonił na służącą, każąc sobie przynieść śniadanie do łóżka. Zaraz dowiedziała się o tem matka. Zaniepokojona wpadła do jego pokoju i na progu zawołała:

— Antoni, cóż to z tobą, chory jesteś? Znów nie spałeś — dodała ciszej, patrząc na jego zmęczoną twarz.

Podeszła szybko do syna, witając go na „dzień dobry".

— Jestem znużony — powiedział jej krótko. — Nie wyjdę dziś z łóżka.

— A cóż ci to? — odrzekła zatrwożona. — Mój Boże, toć z tobą naprawdę źle! Poślę zaraz do lekarza.

Antoni wzdrygnął się, myśląc sobie: „A cóż mi on na to wszystko pomoże?" — Nie sprzeciwiał się jednak; był dziwnie smutny i zniechęcony.

Przyszedł lekarz. Opukał, zbadał, wreszcie powiedział:

— Zmiana powietrza, wiele ruchu, nie pić silnej kawy, nie przepełniać żołądka, nie czytać wieczorem przed spaniem.

Był to zresztą lekarz bardzo sumienny i obowiązkowy; leczył oczywiście ściśle według przepisów medycyny urzędowej, a przynosił istotnie wielką ulgę, jeśli nie zupełne wyleczenie swoim pacjentom. Miał też najszczersze chęci pomóc inteligentnemu chłopcu, jak w myślach nazywał Antoniego. Zbadawszy go dokładnie, zapisał proszki przeciw bólowi głowy i pastylki na uspokojenie nerwów i zabierał się do wyjścia. Gdy chciał się już żegnać z Antonim, ten zwrócił mu uwagę na ową plamę

na przedramieniu, zapytując, czy nie wie przypadkiem, z czego to powstało. Lekarz przyjrzał się temu bliżej, odwrócił rękę ku oknu, żeby jeszcze lepiej zobaczyć, wreszcie uśmiechnął się, mówiąc:

— Nie wiem; może pan się gdzieś uderzył.

Antoni nic nie odrzekł, spuścił tylko oczy i lekka chmura okryła mu czoło. Lekarz popatrzył nań badawczo.

— Naprawdę widać, że się pan źle czuje, a to — wskazał na rękę — niech o tem pan nie myśli. To samo za parę dni zniknie, bo pan przecież przy dotknięciu tego nie odczuwa bolu. Czy tak? — zapytał jeszcze.

— Tak — odpowiedział krótko Antoni.

I znów lekarz naciągał rękawiczkę na rękę, gdy młody człowiek odezwał się:

— Wczoraj miałem podobną plamę na szyji.

— Tak? rzekł nieco zdumiony lekarz — i już jej niema?

— Nie, w tem miejscu była. — Antoni wskazał miejsce na szyji.

— I to pan zauważył po przebudzeniu się?

— Tak.

— To nerwy! to nerwy! Pan uderza się we śnie, nic o tem nie wiedząc.

— Ach, we śnie! — odpowiedział Antoni. — Gdyby pan miał takie sny, jak ja, to może i panu podcięłoby to zdrowie.

Lekarz zdumiony zapomniał zapiąć rękawiczki; opuścił ręce i znów zaczął się bacznie wpatrywać w twarz chorego.

— Cóż to takiego? — zapytał.

— Panie doktorze, mam wrażenie — nawet nie wrażenie, bo przecież to widzę wyraźnie, że jakaś straszna postać przede mną rośnie, rozrywa głową sufit i razem z tem wszystkiem opada na mnie, dławi, dusi, wpija się ustami — poprzednich nocy w szyję, tej nocy zaś w rękę.

Lekarz drgnął. Jak błyskawica przeleciała mu przez głowę myśl: „Antoni dostaje pomieszania zmysłów". Nie powiedział tego oczywiście głośno. Widząc, że młodzieniec mówi to wszystko z całą pewnością siebie, zastanowił się jednak, lecz wreszcie, jakby go podobna rozmowa męczyła, położył rękę na ramieniu Antoniego, mówiąc:

— Ależ panie! Niech pan nie będzie dzieckiem. To nerwy — wszystko nerwy. Bądź pan pewny, że jeśli zastosujesz się do mej rady, nie będą pana męczyły podobne sny.

I odszedł.

Antoni, spełniając polecenia lekarza, zażywał pastylki, zapijał wodą proszki, gimnastykował się, choć od słabości pot występował mu na czoło. Pomimo to wszystko noc w noc przychodziła „ona".

Najbliżsi z rodziny wiedzieli już, że Antoni ma poważną chorobę, którą nazywa zmorą. Oni nie wierzyli w te zmory, lecz mówili, że Antoni jest chory z bezsenności. Pewnego razu ktoś rzucił te słowa:

— Przed zmorą się inaczej nie obroni, tylko ją trzeba zmylić, wyjechać gdzieś i pozostać tam przez kilka

dni, a jeżeli się wcale nie zjawi, to potem wrócić do domu.

Wyjechał tedy zagranicę; umyślnie chadzał spać o pierwszej godzinie w nocy i później — a jednak „ona“ przychodziła.

Starał się wreszcie zapobiec atakom zmory w ten sposób, że gdy nadchodziła pora, w której zmora się do niego zbliżała, a on znajdował się w obecności kogokolwiek z przygodnych znajomych, to starał się usiąść jak najbliżej przy jednym, czy drugim i zaraz zauważył, że już takim śmiałym ruchem się do niego nie zbliża. Nie ośmielał się jednak opowiadać im o swoim duchowym stanie. Ale ona stała zawsze dosyć długo, patrząc na niego hipnotycznie, jakby go wzrokiem zmuszała do odsunięcia się od nich.

Przez jakiś niedługi czas zaznał ulgi w towarzystwie jednego człowieka, z którym się zetknął na pewien czas w podróży. Ten działał dziwnie kojąco na jego zmęczone nerwy i na jego, walką zszarpanego, ducha. Był to, jak mówiono o nim, maniak, amator starożytności. Miał muszlę, która podobno była znaleziona na puszczy; sądził, że musiała być bardzo stara, bo zapewne została tam wyrzucona ongiś przez fale morskie. Mówił, że kładzie ją sobie za głowę, kiedy czasem nie może usnąć i że mu się wówczas dziwnie przypomina szum fal morskich; zdaje mu się, jakby go kołysały do snu i zasypia mile wśród monotonnych, ale silnych dźwięków, wychodzących z muszli, jakby w niej były chwycone wszystkie odgłosy szumiących fal i głębin morskich.

Gdy tak opowiadał, a zbliżyła się, jak zwykle o tej porze zmora, ujrzał Antoni, jak bardzo się przeraziła na widok muszli i oddaliła się szybko.

Następnego dnia prosił Antoni, by mu ów przyjaciel podarował tę muszlę, lub sprzedał — lecz ten powiedział, że nie da jej za żadne skarby. „Jest to tylko muszla, ale tak mi się zdaje, jakbym miał żyjącego przyjaciela przy sobie...“

W następne dni przeciągał Antoni rozmyślnie rozmowę do północy i dalej, a kiedy zbliżała się zmora, kładł głowę na ramię przyjaciela, myśląc przy tem o muszli. To skutkowało — straszydło znikało czemprędzej. Miał więc spokój przez kilka dni.

Gdy jednak później, w nieobecności nieznajomego przyjaciela, myślał o muszli, chcąc tem odpędzić zmorę, to ona stała uparcie, rozpraszając mu myśli hipnotyczną siłą, a gdy mu się wreszcie myśli istotnie poplątały, męczyła go, jak zwykle. Żałował bardzo, że nie mógł tej muszli mieć na własność, bo przekonany był, że gdyby ją miał przy sobie, obroniłby się przed napaściami zmory.

* * *

I tak przez całe trzy lata daremnie szukał ulgi i pomocy, powracając tylko na bardzo krótki okres czasu do domu. Znikły rumieńce z jego twarzy; zaczął się upijać, upadać duchowo. Gdy go bowiem ogarniała senność z wieczora, z powodu szeregu poprzednich niedospanych nocy, wychylał kieliszek za kieliszkiem, aby tylko znieczulić nerwy i oszołomić ducha, byle nie wi-

dzieć we śnie owego strasznego zjawiska. Na prośby matki, by tego nie czynił i na zarzuty znajomych, dlaczego się upija, odpowiadał niemal szorstko:

— To odpędźcie ode mnie zmorę, a przestanę się upijać.

Cała rodzina bolała nad tem bardzo.

Z końcem 27-go roku życia zaczęły się jeszcze i inne zjawiska. Ledwo straszydło znikło, zjawiała się podczas snu jedna, druga, trzecia naga tancerka i wykonywały przed nim dziwny taniec; następnie rzucały mu się po kolejì wszystkie trzy w objęcia. Były ładne, lecz kiedy im się przyjrzał bliżej, szczególnie ich oczom, gdy przytulały się do jego ciała, odczuwał przerażenie i chciałby przed niemi gdzieś uciec, bo spojrzenie ich przebijało jego oczy i mózg jakby sztyletem. Lecz trudno mu było wydostać się z tych objęć.

Rezultatem owych nocnych wizyt były częste polucje, ogromne wyczerpanie nerwowe i przytępienie duchowe. Czuł się niejako splamiony owemi nocnemi wizytami i nie śmiał całować matki, lub swoich najbliższych.

Daremne też były wysiłki matki, żeby go ożenić; sądziła bowiem, że ożenek zwróci myśli syna w innym kierunku i wogóle wpłynie na polepszenie stanu jego zdrowia. Toteż przerażały ją szorstkie niemal zwierzenia Antoniego, tak niegdyś wesołego i delikatnego.

— Nie czuję najmniejszego pociągu do kobiet — tłumaczył matce; — zresztą nie wyobrażam sobie, jakbym mógł spełniać obowiązki męża — dodawał przytem

urywanym głosem. — Mam ich dosyć w nocy. Gdybym mógł, tobym je pozabijał jedną po drugiej.

— Matka z przerażeniem położyła mu rękę na usta.

— Boże! Antoni — zawołała — czy ty zdajesz sobie z tego sprawę, co mówisz?

I nagle żal ścisnął jej serce. Zachwiała się i zanim syn zdążył ją pochwycić, upadła zemdlona na ziemię. Antoni pobiegł do dalszych pokoi, wołając o ratunek.

Tego dnia wieczorem wyjechał, nie żegnając się wcale z matką; zostawił jej tylko na stole list, w którym przepraszał ją za swe brutalne słowa, lecz równocześnie wyrażał przekonanie, że lepiej będzie, jeśli nigdy nie będą mówili o małżeństwie. Instynktownie bał się tego.

I znów trzy lata jeździł po świecie, szukając ukojenia duchowego w nadziei, że przecie uda mu się w ten sposób uciec przed owemi zjawiskami, które nazwał wampirami. Czasami powiodło mu się przy zmianie miejscowości uzyskać spokój na jakie dwa tygodnie; natomiast z miejsca poprzedniego pobytu dochodziły doń wiadomości, iż po jego wyjeździe coś straszyło w pokoju, który był zamieszkiwał.

Wróciwszy po trzech latach, wyglądał na lat pięćdziesiąt, choć ukończył dopiero trzydziestkę. Nie znalazł ulgi u lekarzy; na wszystkie jego uskarżania na temat owych wampirów dawali mu rady, skierowane zawsze tylko ku uspokojeniu nerwów, usunięciu bólów głowy. Śmiali się z jego wiary w wampiry, a nieraz wprost drwili zeń, nazywając go histerykiem.

Próbował także siły hipnotycznej, niestety z takiego źródła, że czuł się potem gorzej jeszcze, niż przedtem. Siła, płynąca z t. zw. hipnotyzmu jest siłą duchowo niską, mniej lub więcej szkodliwą, zależnie od tego, kto i jak jej używa.

Wreszcie obiecał sobie, że wyjedzie do Indyj, gdyż tu i ówdzie dowiedział się coś przelotnie o tajemnej wiedzy w Indjach, gdzie to nie jest zbytnią tajemnicą, że lud porozumiewa się z duchami swych przodków lub krewnych, którzy już odeszli w zaświaty. Myślał przytem, że tamtejsi wtajemniczeni odsuną od niego te jego wampiry.

Wybrał się istotnie w podróż, lecz nie dojechał do Indyj. Zatrzymał się na jakiś czas w pewnej pięknej miejscowości, i tam zaskoczyły go niespodzianie wypadki, które położyły kres jego dalszym wędrówkom i jego dziwnej chorobie.

Rozdział II.

Czarna magja wśród cyganów.

Pewnego razu wyruszył na wycieczkę z kilkoma znajomymi. Był śliczny majowy dzień. Wycieczka posuwała się wolnym krokiem wzdłuż świerkowego lasu. Schorzałe ciało Antoniego i zmęczony jego duch z prawdziwą rozkoszą wchłaniały aromat wiosennego życia przyrody, wsłuchując się w przedziwną muzykę mieszkańców leśnych. Ożywcze promienie słońca wlewały w ów drobiazg leśny radość z cudownego piękna życia, która wybuchała z żywiołową siłą w ich śpiewie. Przygodni znajomi Antoniego, oczarowani pięknem przyrody, rozprawiali żywo, to znów nucili jakieś piosenki. Jeden Antoni pozostał milczący. Cieszył się coprawda i on z rozkosznego dnia wiosennego, lecz radość z tego wszystkiego, co go za dnia otaczało, nie potrafiła zatrzeć wspomnienia ponurych wrażeń, przebytych w nocy.

Właśnie bowiem po dwutygodniowym pobycie w tej miejscowości odwiedziły go znów stare wampiry. Przy zbliżaniu się owych trzech tancerek nie dojrzał już nic, prócz ich oczu; zlewały się bowiem wtedy w jedno z jego ciałem astralnem, a pozostały tylko oczy, wpa-

trzone w niego uporczywie, przepalające mu swoim czarnym, płomiennym blaskiem głowę i serce. Ciała wampirów, złączywszy się z ciałem Antoniego, wyrywały zeń tyle życiowych fluidów, że po owych nocnych wizytach miewał zawsze spękane wargi i odczuwał gorączkę we wszystkich członkach. Napełniały go owe zjawy niejako swym ogniem w zamian za zabraną pranę życiową. To też nie mógł się teraz tak rozkoszować czarem wiosennej przyrody, jak jego towarzysze. Powoli zacierały się jednak wrażenia nocy i na jego twarzy zagościł też uśmiech — gdy wtem gdzieś za drzewami zamigotało szare zjawisko nocy — nocne wampiry. Zauważył, że pierwszy wampir rozpłynął się niejako w olbrzymią falę nieprzyjemnych uczuć, dreszczy, niepokoju; ten pierwszy wampir poprzedzał zawsze owe trzy wampiry — tancerki. Zawsze, gdy one się miały zbliżyć, otaczała go wpierw owa fala.

Parę razy zapytywali go towarzysze wycieczki:

— Panie, dlaczego pan zostaje w tyle? Może pan się czuje zmęczony?

Zwalniali kroku, a nie otrzymawszy odpowiedzi, zwracali się doń znów z zapytaniem:

— Dlaczego pan taki zamyślony? Czy otrzymał pan jakie niemiłe wiadomości? Wczoraj był pan przecież w zupełnie innym humorze!

Antoni za całą odpowiedź uśmiechnął się, lecz był to jakiś gorżki uśmiech. Zauważyli to jego znajomi. Po chwili rzekł znów jeden z nich:

— Może już wypoczniemy trochę.

— Czyś znużony? — zapytano go.

— Ja nie, ale pan Antoni.

Ten poruszył się niecierpliwie. Było mu obojętnem, czy usiądą, czy pójdą dalej; pragnął właściwie w tej chwili tylko samotności. Nie mógł się nikomu z nich zwierzyć z tego, co go męczy — on znał już ludzi pod tym względem; wolał przygryźć wargi i milczeć o faktycznym powodzie zmęczenia. Gdy wszyscy przystanęli, czekając na jego skinienie, rzekł nagle z odcieniem szorstkości w głosie:

— A, chodźmy dalej!

Jego dziwne niezadowolenie podziałało niemile na towarzyszy. Mniej się już nim interesowali i rzadziej zwracali się doń z zapytaniami. Antoni był chwilowo z tego nawet zadowolony, ale sam nie wiedział, jak po chwili zaczęły mu łzy spływać po twarzy. Smutno mu się zrobiło wśród tej leśnej, naprawdę pięknej przyrody.

Jakże inaczej czuli się jego koledzy! Wypoczęci po dobrze przespanej nocy, wdychali pełną piersią woń lasu; on zaś po swoich nocnych przeżyciach oddychał zawsze z trudem.

Nagle rozmowa się urwała; towarzysze poznali, iż zboczyli z drogi i zbłądzili w lesie. Nie martwili się tem zbytnio, gdyż wiedzieli, iż las ciągnie się tylko na godzinę drogi wzdłuż, pół godziny wszerz. Obejrzeli się na Antoniego, lecz jakież było ich zdumienie, gdy ujrzeli, że on szybko ociera załzawione oczy. Wszyscy niemal to zauważyli.

Cóż to znaczy? Czyżby tak się tem przejął, że przez dłuższy czas nie zwracali nań uwagi? Może on

naprawdę chory, lub męczy go coś, z czem się nie chce zwierzyć? A może jakieś sercowe sprawy?

Ażeby zatrzeć to dziwne wrażenie, jakie wywołał u nich widok łez Antoniego, zaczęli się przedzierać przez gęstwinę lasu jeden za drugim, uspokajając się wzajemnie, że taka droga potrwa najwyżej dwie minuty. Naraz zaleciał ich swąd palonego pierza i jakieś głosy ludzkie. Po chwili oczom ich przedstawił się obóz cyganów. Dojrzano ich również; młodsze cyganki i dzieci powstały od ogniska i zaczęły się zbliżać ku wycieczkowcom. Antoni i teraz pozostał obojętny na wszystko, towarzysze jego jednak byli zaskoczeni tem niespodziewanem spotkaniem. Obraz życia cyganów, oglądany przez okulary ich własnej młodości i zdrowia, wydał im się zresztą o wiele weselszym i milszym, niż był w istocie. Nie wzbraniali się, gdy cyganki rzuciły się wróżyć im z ręki; popłynęły oklepane frazesy, obietnice dlugiego życia, wiele szczęścia, majątku, sławy i t. p., przerywane co chwilę natarczywem dopominaniem się o nowe datki. Dawali z uśmiechem, nie bardzo zresztą słuchając ich wróżb, a raczej przypatrując się, która ładniejsza. I starsi cyganie podeszli tymczasem, powstrzymując dwa ogromne psy, które chciały się rzucić na przybyszów.

Antoni przez cały ten czas stał na uboczu, patrząc na całą tę grupę nawpół przytomnemi oczyma. Gdy młoda cyganka zbliżyła się, chcąc mu wróżyć z ręki, krzyknął:

— Precz ode mnie!

Dziewczyna chmurnie ściągnęła brwi, spuszczając głowę — a po chwili, rzuciwszy Antoniemu kilka nie-

chętnych i niezrozumiałych słów, wróciła do starej cyganki, która właśnie gotowała nad ogniskiem ukradzioną kurę. Przykro jej było, że sześć jej towarzyszek znalazło łaskę u tamtych przybyszów, a tylko ona, która właśnie jedyna z nich umiała naprawdę wróżyć, została odtrącona. To też po chwili zawróciła raz jeszcze ku Antoniemu i zapytała krótko, a szorstko:

— Dlaczego mnie pan odpycha, dlaczego pan nie chce, bym panu wróżyła?

Antoni, który tymczasem usiadł już znużony na pniu, położył był obie dłonie na plecaku, jak gdyby się bał, by mu kto nie sięgnął po niego. Jego towarzysze nie mieli widocznie ochoty rozłączyć się prędko z cyganami. Wypytywali ich, skąd się wzięli w tych stronach, jak żyją, co zamierzają na przyszłość. Cyganie stali wyprostowani, z rękoma w kieszeniach, patrząc na przybyszów badawczo i wyzywająco zarazem; wkrótce i oni zaczęli się domagać pieniędzy i tytoniu.

Gdy oburzona cyganka podeszła do Antoniego, odezwał się tenże niechętnie:

— Cóż mi przyjdzie z twego wróżenia, kiedy i tak nie potrafisz mi poradzić w mej niedoli!

Równocześnie przyszło mu na myśl, że cyganie znają różne czary i może mogliby od niego odpędzić owe nocne wampiry. Zawiedziony jednak tylokrotnie, bał się nowych rozczarowań, więc powtórzył z niechęcią:

— Cóż mi może pomóc twoja wróżba?

Cyganka zaciekawiona jego słowy, uklękła przy nim i patrząc nań z niemą prośbą, wyciągnęła szybko rękę po jego dłoń. Ładną była — młodą, bo ledwie 19-

letnią dziewczyną. Rozrzucone w nieładzie fale kruczych włosów lśniły w blasku słońca, przedzierającego się przez gałęzie drzew. Usta małe, czerwone, płeć niezbyt śniada, oczy duże, czarne, głębokie, twarz drobna, owalna.

Antoni był mile uderzony tem, że nie dopomina się natarczywie o pieniądze, jak tamte cyganki. Zwróciła jego dłoń do światła i zaczęła mówić; przez kwadrans sypały się słowa jej szybko i bez przerwy. Zrazu mówiła monotonnie, lecz później zaczęło w słowach jej coraz silniej przebijać uczucie, jakby się sama w to wżywała. I twarz jej zmieniła się; nie spoglądała już na jego rękę, lecz zapatrzyła się przed siebie. Wpadła w dziwną, proroczą ekstazę; usta jej nieco przybladły, a dłoń jej ściskała kurczowo palce Antoniego. W kącikach szybko poruszających się ust pojawiła się ślina, która po chwili zamieniła się w pianę. Twarz cyganki zmieniła się zupełnie; oczy jej przybrały blask niesamowity, gorączkowy, nieco zamglony.

Antoni, zasłuchany w jej słowa zapomniał, gdzie się znajduje, zapomniał o towarzyszach; nie wiedział, że jeden z nich stanął za nim, przysłuchując się bacznie słowom cyganki. Antoni słuchał niemal bez tchu, przerażony, zdumiony, bo roztaczała przed nim wierny obraz mąk jego nieprzespanych nocy.

— Oj, taki młody — mówiła — z bogatej rodziny. Bogaty, bardzo bogaty — dwór, konie, wszystko do niego należy, a on nieszczęśliwy, smutny, uciekł przed strachami z pod własnego dachu. Matka płacze, modli się, chce przywołać syna; pieniądze przysyła, skoro tylko

dojdzie ją wieść, gdzie się syn znajduje. Lecz nie może mu to przynieść ulgi; żyje, bo musi, ale wolałby już nie żyć.

W tej chwili twarz jej stała się niemal surową, a surowość ta szybko ustępowała wyrazowi namiętności, gdy mówiła dalej:

— Znam te strachy, znam je, znam!

Antoni wyrwał z przerażeniem rękę z jej dłoni, ale w obawie, że może nie zechce mu dalej mówić, podał jej rękę zpowrotem. Cyganka jednak już jakby jej nie widziała; poprawiła się tylko nieco w swej klęczącej pozycji, podnosząc jedno kolano i wspierając na niem obie dłonie ze splecionemi kurczowo palcami. Pochyliwszy głowę, odwróciła ją od Antoniego i rzekła:

— Przychodzą co nocy — hm — któż im zabroni?

Przy tych słowach zadrżał cały, a ona ciągnęła dalej:

— Pan je nazywasz zmorami, pan je nazywasz wampirami. To pana kochanki, kochanki!

Słowa „kochanki“ krzyczała już niemal ze złością. Antoni zdenerwowany i porwany poniekąd falą jej złości, spojrzał na nią surowo. Jakież ona ma prawo drwić sobie z niego, drwić z jego cierpień! Wstał i ledwie się powstrzymał, by jej nie kopnąć ze wstrętem. Gdy on wstał, powstała i ona, a nim się spostrzegł, już tańczyła naokoło niego. Ruchy jej były zupełnie podobne do ruchów owych nocnych postaci nagich tancerek; różniły się tylko o tyle, że cyganka nie obnażyła swych piersi i nie zbliżała się do niego wyzywająco. Zamyślony i przerażony stał blady jak ściana, nie mogąc się wprost

ruszyć z miejsca. Wydawało mu się, że owe 3 postacie w tym samym rytmie poruszają się obok cyganki.

Cyganie, widząc tę scenę, przypuszczali, że młoda dziewczyna oczarowała przybysza swym wdziękiem do tego stopnia, iż nie potrafi wymówić słowa. Aby to wrażenie spotęgować, w nadziei na sowite wynagrodzenie z jego strony, chwycili bębny i skrzypce i rozpoczęli muzykę. Psy, ogryzające dotąd kości, zaczęły skomleć, a po chwili wyć, cyganie uspokoili je jednak wnet kilku kopnięciami. Mały, kudłaty, czarny piesek, leżący dotychczas u nóg starej cyganki, na odglos bębna i skrzypek poskoczył i zaczął tańczyć, dzwoniąc dzwonkiem u szyi i pokazując przeróżne sztuczki: podskakiwał, wywracał koziołki, to znów siadał na tylnych nogach, uderzając przedniemi łapkami w takt o dzwonek, wiszący u szyi.

Cyganka dalej tańczyła. Nagle zwróciła się ku pobliskiemu drzewu, pochyliła się szybko i obiemi rękami zaczęła odrzucać liście i ziemię, dobywając zakopany niezbyt głęboko sztylet. Antoni patrzał na to wszystko szeroko otwartemi oczyma. W paru skokach stanęła przy nim, trzymając w kurczowo zaciśniętej dłoni sztylet. Towarzysze jego spoglądali na tę scenę z przerażeniem; jeden z nich, nie wiele myśląc, wymierzył broń w głowę cyganki. Lecz ta szybkim ruchem ręki odsunęła ją od siebie, krzycząc:

— Głupcze, nie wtrącaj się do nieswoich rzeczy!

Zwracając się zaś do Antoniego, podała mu sztylet ze słowami:

— Kładź go sobie pod głowę, a gdy one przyjdą, po-

wiedz, że je zabijesz. Pomyśl wtedy o mnie, a ja cię ochronię.

Tamci, nie rozumiejąc, o co chodzi, ze zdumieniem patrzyli na Antoniego, gdy ten, choć nie bez wahania, wziął jednak sztylet od cyganki. Widząc malujące się w ich oczach zdziwienie, odezwał się z uśmiechem:

— Panowie, muszę przyznać, że cyganka mówiła prawdę. Największem mojem nieszczęściem są prześladujące mnie po nocach czarne sny — a powtarzają się zawsze niemal jedne i te same. Doprawdy, choć wstręt mię zdejmuje na myśl o tej radzie, to jednak spróbuję.

Tamci pokiwali głowami trochę niedowierzająco, choć starali się ukryć, iż nie ufają słowom cyganki. To też zwrócili się do niej pół żartem, pół serjo, by im także coś przepowiedziała. Lecz ona czuła się widocznie bardzo wyczerpana całem zajściem, bo odsuwając tylko niechętnym ruchem ręki proszących ją o wróżbę, usiadła bez słowa na murawie. Rwąc obiema garściami trawę wraz z korzeniami, rozrzucała ją naokoło siebie, niespokojnie obserwując zabierających się do odejścia przybyszów.

Antoni obracał w ręce sztylet, oglądając go z pewnem zaciekawieniem, choć zarazem trochę nieśmiało. Cyganka wpiła się weń przeszywającym wzrokiem, a gdy owijał sztylet w papier, by go włożyć do plecaka, przyskoczyła ku niemu nagle, pociągając go za rękaw na ubocze. Gdy stanęli już w pewnem oddaleniu od cyganów i turystów, zarzuciła mu ręce na szyję, a nim zdołał się z tego uścisku wydobyć, krzyknęła mu niemal w twarz:

— Obronisz się przed niemi tym sztyletem, lecz nie zapomnij o mnie, ja wystarczę za wszystkie trzy!

Antoniemu wypadła z przerażenia teka z rąk, a ona, nie zważając na to, znów zaczęła tańczyć naokoło niego. Niemiłem przeczuciem tknięci zbliżyli się ku nim wycieczkowicze, mówiąc, że już czas odejść.

Wlókły się jeszcze za nimi cyganki w łachmanach, prosząc natarczywie o pieniądze i tytoń. Otrzymane papierosy pchały chciwie do ust wraz z bibułą i żuły. Jedynie ona nie dopraszała się żadnej jałmużny, tylko położyła się na trawniku twarzą do ziemi i patrzyła za znikającymi.

Z wycieczki wrócili zmęczeni. Kładąc się wieczorem na spoczynek w swoim pokoju w pensjonacie, położył sobie Antoni pod poduszkę sztylet. I — o dziwo! — sen dosyć rychło zamknął mu powieki. Nie śniło mu się nic. Gdy nadeszła pora, w której przychodziły ku niemu owe trzy wampiry — tancerki, przypomniała mu się żywo tańcząca cyganka. Wtem zjawiła się zwiastunka ich — zmora. Pomny na otrzymaną radę, choć już odczuwał walący mu się na piersi ciężar, ostatnim wysiłkiem woli sięgnął ręką pod poduszkę, bełkocąc zdławionym głosem:

— Precz ode mnie, bo zabiję!

W tejże chwili zauważył, jak z piskiem i krzykiem znikają wszystkie trzy tancerki. Otworzył oczy i uczuł ogromną radość z odniesionego zwycięstwa. Spał tej nocy dobrze, jak nigdy.

Następnej nocy znów się zbliżyły, lecz już nie tańczyły. Ku swemu przerażeniu zobaczył, że wszystkie

trzy mają sztyletem przebite piersi. Wiły się z bólu u jego nóg. Zbudził się i zmieszany sięgnął ręką pod głowę. Sztylet był na swojem miejscu — lecz skąd się wzięły owe trzy, zupełnie podobne, tkwiące w piersiach owych zjawisk? Choć był zadowolony, że zajęte własnym bólem, nie mają siły go męczyć, było mu ich jednak żal; wydawało mu się, że to on je przebił siłą swoich słów, gdy wołał: „Precz ode mnie, bo was zabiję!"

Gdy nazajutrz zastanawiał się nad zdarzeniami ubiegłych nocy, usłyszał jakieś odgłosy dolatujące z podwórza. Wyjrzał oknem.

Przed pensjonatem tańczyła znana mu młoda cyganka. Ujrzawszy ją, zapragnął poznać ją bliżej i zapytać się, jakim cudem odkryła tę straszną tajemnicę jego życia. Toteż kazał ją poprosić do siebie, oznajmiając zarazem, że nie chce, żeby mu inne w rozmowie przeszkadzały. Ona czekała tylko na to, żeby zostać z nim sam na sam.

— No i cóż, skutkowało? — zapytała, ledwie się tylko drzwi za nią zamknęły.

— Tak, trochę — odpowiedział — lecz któż mi zaręczy, że już będę miał od nich spokój?

— Ja — rzekła cyganka. — Lecz nie zapłaciłeś mi jeszcze za tę radę.

— Tak, tak — powiedział Antoni niechętnie, bo niemile dotknęło go słowo „ty", od cyganki. Toteż chciał już zrezygnować z dalszego wywiadu. Sięgnął po portfel, lecz ona roześmiała się głośno. Kiedy jej podał żółciusieńkiego dukata, owinęła go w brudną chustkę, robiąc na nim trzy węzełki; uśmiechała się przytem, kiwa-

jąc głową. Następnie podniosła przynajmniej z dziewięć sukienek, by ukryć dukata w głębokościach kieszeni ostatniej sukni, przylegającej do ciała. Schowawszy go, zwróciła się do Antoniego, mówiąc:

— To nie wszystko, ja chcę więcej!

Antoni położył szybko rękę na portfelu, jakby w obawie, by mu całego nie porwała, a miał tam większą kwotę. Lecz ona znów się roześmiała:

— Nie bój się, nie wezmę! Coś mi dał, to jest moje, a czegoś mi nie dał, to twoje. Lecz ja chcę co innego — wiesz, chcę ciebie!

I nim się spostrzegł, ujrzał się już otoczony rękami dziewczyny, a nie było to bynajmniej objęcie delikatne. Oburzony oderwał jej ręce od siebie, czem zkolei ją oburzył. W kącikach jej ust pojawiła się ślina, gdy krzyknęła:

— Przysięgam ci, że mi nie ujdziesz! Chociażbyś się zapadł w ziemię, wszędzie cię znajdę!

Antoni przeląkł się gróźb cyganki i postanowił nie rozchodzić się z nią w złości. Starał się więc zapanować nad sobą. Choć drżał jeszcze z oburzenia, wyciągnął do niej dłoń, mówiąc:

— Przecież się nie gniewasz na mnie? Nie bądź tak obraźliwą, nie żądaj ode mnie, bym zrobił to, co jest przeciwne mej naturze! Jeżeli mi powiesz, skąd wiesz coś o mnie i co to są za istoty, prześladujące mnie w nocy, odwdzięczę ci się. Kupię ci śliczne konie i piękny wóz, który cię będzie chronił od słońca i zimna, a jeżeli każdemu chociaż w części prawdę odgadniesz, to z głodu

nie zginiesz i możesz się mieć dobrze! Przedewszystkiem powiedz mi, skąd posiadasz tę dziwną wiedzę?

Cyganka uspokoiła się. Wóz i konie, to było jej marzenie oddawna. Wyjęła z zanadrza bardzo brudną książkę i zaczęła przewracać jej karty. Nie mógł zrozumieć, co ta dziwna książka oznacza. Były tam narysowane najrozmaitsze potwory, węże, smoki z 9 głowami, oraz jakieś zaklęcia; oprócz tego modlitwy do najpotężniejszego ducha piekła, by pomagał w wypełnieniu tego, czego się od niego żąda.

Antoni, patrząc na brudne palce cyganki, przewracające kartki tej książki, uczuł dziwny zamęt w głowie.

— Co to, skąd to? — pomyślał sobie — co za dziwne potwory zjawiają się przed memi oczami! Czyż one uczą prawdy? Czyż one to otworzyły cygance wzrok duszy?

Bo sądził przecież, iż nie inaczej, tylko wzrokiem ducha patrzyła na jego przebyte męki, spowodowane przez owe wampiry. Potwory, narysowane w księdze, trzymanej w jej rękach, zdawały się ożywać i z książki, jak z zaklętej skrytki wyłazić i rozłazić się naokoło cyganki. Wstrzymywało go coś, aby nie pytał, skąd i dokąd płynie to źródło strasznych wód. Cyganka wodziła palcem po papierze, gdzie były narysowane przeokrutne potwory, jedne gryzące się wzajemnie, drugie wyszczerzające na się zęby, a inne buchające płomieniem z dziewięciogłowej paszczy. Z szatańskim błyskiem w oczach mówiła:

— Patrz pan, ten oto jest najpotężniejszy; tego się wszyscy w piekle boją, ma moc i siłę — przez niego

można wiele zdziałać! Próbowałam raz i udało mi się. Odtąd ubóstwiam go, on moim bogiem, wysłucha mnie na poczekaniu, doda siły i mocy do wykonania tego, co postanowię.

Cyganka przymknęła książkę, przycisnęła ją do piersi i zápatrzyła się smętnym wzrokiem przed siebie. Antoni cofnął się o kilka kroków od niej; ogarnęło go uczucie oburzenia i wstrętu. Lecz to wcale cygance nie przeszkadzało i zdawało się, jakby tego nawet nie widziała, bo rzekła:

— Było ci to raz w jednej wiosce, takiej długiej, szerokiej i bogatej wsi. Mieliśmy tam wozy i karuzele, a we wozach mieszkanie. Mieliśmy też w klatce tygrysa, który według naszej woli musiał tańczyć, wywracać koziołki itd. O, wtenczas było inne życie! Kiedy postawiliśmy karuzele, było wesoło...

Nagle twarz cyganki zaczęła się krzywić, jakby zobaczyła jakiegoś upiora, lecz, nie przerywając opowiadania, ciągnęła dalej:

— I przyszedł sobie taki ładny chłopak, ładniejszy od ciebie...

Przy tych słowach zwróciła na niego swój mętny wzrok, lecz on ani drgnął. Czuł się jakoś ubezwładniony, nie mógł nawet cygance zwrócić uwagi, że już ma dosyć jej obecności. A ta opowiadała dalej:

— Tak, tak, był ładniejszy od ciebie... był to chłopak krew i mleko... nie uszedł mi...

Przy tych słowach „nie uszedł mi“ tupnęła nogą, głowę zadarła do góry, a otworzywszy książkę w miej-

scu, gdzie się znajdował dziewięciogłowy potwór, przycisnęła ją otwartą do piersi.

— Nie potrzebowałam go wołać, ni prosić, przychodził sam. Pomyślałam sobie: „Będziesz mój!" i był. Miałam wtedy 15 lat. Oj, znam ci ja życia rozkosze! Potem wyjechaliśmy ze wsi. Przed wyjazdem rzekłam mu:

— Musisz mi przynieść wszystkie pieniądze, jakie mają zaoszczędzone twoi rodzice!

I przyniósł. Nocowaliśmy w niewielkim gaju wierzbowym, gdyż pobliski las był za gęsty i z wozami nie mogliśmy tam wjechać. Czuwałam, czekałam i myślą przynaglałam go do pośpiechu, myśl moja go przyprowadziła po drodze oświetlonej przez księżyc. Lecz cóż ja winna, że we mnie kochał się wtenczas inny... ojczym mój... ojczym przeklęty!...

Przy tych słowach wystąpiły jej niemal oczy z oczodołów, stała się brzydką.

— Chustą zatkał mu usta, związał ręce i nogi, ukląkł na piersiach i... zadusił... zadusił. Mnie tymczasem trzymała stara jędza matka. Stary zaś rozebrał młodzieńca do naga i wrzucił na pożarcie zgłodniałemu tygrysowi. Mnie bili, kopali i poniewierali; ubranie, zdarte z niego, spalili, ogryzione kości z resztkami mięsa zebrali do worka, obciążyli go kamieniami, a zawiązawszy, wrzucili przy wierzbinie do mętnej wody.

Antoni ze zgrozą patrzał na cygankę. Chwyciwszy broń do ręki, uważał, iż będzie to rzeczą naturalną, gdy

życiu tak nędznego stworzenia, jakiem jest cyganka, położy kres. W ręce trzymał ten sam sztylet, który mu swego czasu cyganka była darowała do obrony przed wampirami. Cyganka roześmiała się głośno, szyderczo, mówiąc:

— Ty mnie chcesz zabić? mnie? mnie?... Mam dobrą obronę.

Zacisnęła w tej chwili ręce w kułak, ciało jej zaczęło drgać konwulsyjnie, a niezrozumiałe mruczenie, niepodobne do głosu ludzkiego, mruczenie jakby dzikiego zwierzęcia, wydobywało się z jej piersi. Wtem przez usta cyganki odezwał się zupełnie odmienny głos, a twarz jej zmieniła się tak, że Antoniemu wydało się, iż przed nim stoi całkiem inna postać. Ściskał w ręce sztylet i z przerażeniem wpatrywał się w to dziwne zjawisko przemiany osobowości. Przez usta dziewczyny przedzierały się, jakby z sykiem, słowa:

— Nareszcie... mam cię ptaszku w klatce!... Oj, dobrze, dobrze ukryłeś się przed nami, ale widzisz, że sam nam wszedłeś w drogę... sam wszedłeś w pułapkę... Przeraża cię moja obecność... przypominasz sobie kim jestem?... Twoje porachunki z wampirami już może skończone, lecz cóż mnie one obchodzą?... ja mam z tobą inne porachunki... Sądzisz, że twoje wysokie stanowisko tu na ziemi cię obroni? O, nie, moja klątwa wszędzie cię znajdzie...

Antoni nie mógł już dłużej wytrzymać i krzyknął:

— Odejdź precz, złowieszcza czarownico!

Pusty śmiech był odpowiedzią na jego słowa. Tymczasem dwie inne cyganki podeszły ku oknu mieszkania Antoniego i przez cienką firankę chciały wybadać, co się dzieje wewnątrz. Nie mogąc jednak nic dostrzec i zniecierpliwione długą nieobecnością swej towarzyszki, zaczęły uderzać pięściami w ramę okiennicy. W tym momencie też ani jeden sprzęt w mieszkaniu Antoniego nie pozostał na swojem miejscu. Bielizna zaczęła fruwać po pokoju, a szafa, jak człowiek, kołysząc się na wszystkich czterech nogach, sunęła na środek izby. Antoni wypuścił sztylet z ręki, chwycił się obiema rękami za głowę, a wołając głosem pełnym trwogi: „Jezusie! ratunku!“ upadł bez przytomności obok łóżka. Cyganka zaś, zabrawszy ze sobą sztylet, oddaliła się.

Na kilka minut przed wyjściem cyganki z pokoju podeszła pod drzwi Antoniego pokojówka, młoda dziewczyna i przysłuchiwała się z przerażeniem tej dziwnej rozmowie. Nie mogła pojąć, co się tam dzieje i nie mogła się też ruszyć z miejsca. Dopiero, gdy cyganka wypadła z pokoju Antoniego, zawołała tak samo przerażona, jak Antoni:

— Jezusie! ratunku!

Widząc Antoniego, leżącego na ziemi, myślała, że nic innego, tylko cyganka zadała Antoniemu śmiertelny cios sztyletem, który w sieni nerwowo zawijała.

— Ratunku! ratunku! — wołała, biegnąc przez długi korytarz. Kiedy dalsza służba i właściciel domu nadbiegli, trzęsła się na całem ciele, dzwoniąc zębami.

— Morderstwo, morderstwo! — powtarzała, wskazując w stronę pokoju Antoniego.

A Antoni dalej leżał zemdlony, a raczej leżało jego ciało, od którego duch się odłączył. Uciekł biedny, lękając się klątwy nieszczęsnego ducha, lękając się jakichś strasznych obrazów z dawnej przeszłości, kiedy to razem z owym czarnym duchem żył na ziemi.

Rozdział III.

Spowiedź.

Ułożono Antoniego na łóżku, uporządkowano mieszkanie, a wezwany lekarz przywołał go do życia przy zastosowaniu zwykłych środków, cucących z omdlenia. Odchodząc, zapisał lekarstwo na uspokojenie i przeciw zapaleniu mózgu. Antonim zaczęło trząść zimno, a następnie dostał gwałtownej gorączki. Powtórnie sprowadzony lekarz zaniepokoił się, oświadczając, że wstrząśnienie nerwowe musiało być bardzo silne. Lekarz zwrócił też uwagę, że po odzyskaniu jakiej takiej przytomności należałoby zawołać księdza z ostatnią przysługą dla Antoniego.

Niedługo przyszedł ksiądz-staruszek o dobrotliwej twarzy. Antoni, patrząc na jego łagodną twarz i wsłuchując się w jego łagodne słowa, odzyskiwał równowagę ducha, poczuł się silniejszym, a usiadłszy na łóżku, zapewniał księdza, że nie jest z nim tak źle, że ma ufność w Bogu, iż chwilowa cielesna słabość znów przejdzie. Ksiądz starał się go utwierdzić w tej ufności w Boga, mówiąc, iż On zawsze pomoże tym, którzy

go szczerze kochają. Antoni uchwycił zmarszczone i wiotkie palce księdza, przycisnął je jeszcze goręcej do swej twarzy i wzrokiem pytał, czy ksiądz tego jest pewny, że Bóg zawsze pomoże. W tej chwili spojrzał ksiądz na niego zmieszany, jego łagodny wzrok stał się poniekąd surowy, i rzekł:

— Czegóż wątpisz, synu? Trzeba wierzyć, a nie wątpić.

Antoni spuścił głowę, zamyślił się, a po chwili zaczął spowiedź. Skończywszy ją, spojrzał z pewnem wahaniem na księdza, poczem dodał:

— Tak, ojcze duchowny, słyszałeś moją spowiedź, znasz moje życie, lecz co ci powiedziałem, to jeszcze nie jest wszystko. Chciałbym od ciebie pokrzepienia i wytłumaczenia, jako od osoby duchownej.

Zaniepokojony ksiądz spojrzał badawczo na Antoniego, ten zaś spuścił głowę, przemyśliwując, jakby to księdzu powiedzieć o tym drugim medalu udręki swego ducha. Przykro mu było roztaczać przed księdzem obrazy nocnych wampirów, nagich tancerek i związanych z tem różnych cierpień. Ksiądz spoglądał smutno na pochyloną głowę Antoniego i rzekł:

— Wszystko, co ci leży na sumieniu, opowiedz mi, a zobaczysz, że ci ulży i twoje grzechy będą wybaczone!

Antoni stawał się coraz niespokojniejszym, z piersi wydzierały mu się głębokie westchnienia i myślał przytem:

— A czy ksiądz zrozumie, czy uwierzy, czy da rady na moją udrękę ducha?

Lecz zaraz sobie sam na to odpowiedział w myśli:

— Ależ on jest duchowną osobą, może więcej wie o duchach, o ich istnieniu i ich prawach wobec żyjących na ziemi, aniżeli cyganka i inni przeciętni śmiertelnicy.

Przy myśli o cygance ścisnął obiema rękami głowę i ponuro zapatrzył się przed siebie. Ksiądz zaś, przewracając kartki w książce do modlitwy, spoglądał więcej na Antoniego, niż do książki. Po chwili rzekł:

— Synu, módl się ze mną, byś nabrał odwagi do wyspowiadania się z twoich grzechów!

Na to odezwał się Antoni:

— Boże, Boże... grzechy moje... gdzież one są?... co ja zawiniłem! Kto mi to może powiedzieć, kto może mi objaśnić tę jakąś straszną tajemnicę!

Mówiąc to, znów wodził wzrokiem po twarzy księdza, znów utkwił wzrok w jego siwych oczach. Ten szybko spuścił powieki, a dziwny chaos zapanował w jego głowie, nie wiedział, co mówić, co począć. Zniecierpliwiony, rzekł wreszcie:

— Proszę mówić jaśniej!

Na to wezwanie zapytał Antoni:

— Jaką radę masz na to, ojcze? Mnie prześladują duchy, zmory, wampiry. Jedne mnie męczą cieleśnie, a drugie rzucają na mnie klątwę.

Ksiądz uczyniwszy znak krzyża, powstał od łoża Antoniego. Jego blada twarz stała się bardzo popielata. Szybko zaczął przewracać kartki modlitewnika i już zupełnie innym wzrokiem spoglądał na Antoniego, spoglądał na niego z lękiem. Lecz Antoni wyciągnął dło-

nie w jego stronę, wołając błagalnie, a jednak trochę rozkazującym tonem:

— Ojcze, nie odchodź ode mnie! Chciałeś, bym ci wszystko powiedział, obiecałeś, że po spowiedzi przed tobą Bóg mi dopomoże.

Ksiądz zbliżył się do chorego, ale nie usiadł już na krześle obok łóżka. Antoni tymczasem ciągnął dalej:

— Ojcze duchowny, powiedz, co mam czynić, abym tak srodze nie cierpiał, aby te duchy do mnie nie przychodziły!

— A kiedyż one do ciebie przychodzą? — zapytał ksiądz.

— We śnie — odpowiedział Antoni. Na twarzy księdza odmalował się zagadkowy uśmiech.

— Hm — powiedział ksiądz — synu mój, zbytecznie mnie przeraziłeś; a więc miewasz niedobre sny! A czy nic nie ciąży na twojem sumieniu? Wyspowiadałeś mi się ze wszystkich grzechów, jakieby na tobie mogły zaciężyć od lat dziecinnych? Nie zapomniałeś ani jednego?

— Nie, nie zapomniałem, ojcze duchowny. Badam często swoje sumienie i sam się nieraz dziwię, skąd to wszystko pochodzi, cała ta udręka, szczególnie co do tych kobiet, tych duchów tancerek, ich tulenia się do mnie, skąd owo pozbawianie mnie energji życiowej. Przeraża mnie to, bo przez całe moje życie nie spoczęła jeszcze żadna kobieta w moich objęciach. Unikam ich.

Po chwili namysłu rzekł ksiądz:

— I ty wierzysz, że to są duchy? Nie dziwiłbym się, gdyby mi to twierdziło dziecko, ale mężczyzna dorosły, inteligentny... i wierzyć w coś podobnego! Do snów nie można przywiązywać tak wielkiej wagi, żeby aż Boga wzywać na pomoc z powodu jakichś tam snów.

Ksiądz uśmiechał się do Antoniego, ale ten już żałował, że mu się zwierzył z takich rzeczy, narażając się tylko na wyśmianie.

— Więc ksiądz mi nie wierzy, że mnie duchy prześladują?

— Ależ nie, naturalnie nie wierzę! Pan jest tylko chory.

Przy słowie „chory" popatrzył ksiądz jakoś dziwnie, potrząsając zagadkowo głową. Antoni odezwał się:

— Przeczuwam, co ojciec duchowny myśli — żem chory na umyśle.

— Tego nie powiedziałem — odpowiedział ksiądz — lecz radzę panu bardzo, mój młody przyjacielu, wyleczyć się z rozstroju nerwowego, a tem samem znikną ponure sny i widzenia.

Gdy ksiądz zabierał się już do wyjścia, rozległ się po pokoju trzask. Nim ksiądz zdołał coś powiedzieć do Antoniego, ozwał się drugi i trzeci trzask, a bielizna zaczęła fruwać po pokoju. Antoni uśmiechnął się smutno, spojrzał na śmiertelnie bladego księdza i rzekł:

— Ojcze duchowny, powiedziałeś, że Bóg mi pomoże. Oto są widziadła i straszydła, o których ci mówiłem. Nie widzę ich teraz, lecz czuję i widzę ich pracę. Czy ty ojcze je widzisz?

Przerażony ksiądz opuścił szybko mieszkanie, mówiąc półgłosem:

— Szatan, szatan opętał tego człowieka! Przeklęty on jest, przeklęty, w mocy szatana, stracony na wieki!

* * *

Antoni osłabiony ciałem, zmęczony duchem, musiał czemprędzej opuścić pensjonat. Proszono go o to usilnie ze słodkim uśmiechem, by to zrobił dla spokoju drugich. Opuścił więc zajmowany w pensjonacie pokój, zostawiwszy, jak zwykle, na nocnej szafce napiwek dla służby. Niebawem przypomniał sobie, że w roztargnieniu nie wyrównał rachunku i dziwił się, że go nikt nie zatrzymywał o wyrównanie należytości.

Kazał woźnicy zajechać do pobliskiej karczmy. Tam wynajął na poddaszu na jeden dzień małą izdebkę i tam też złożono jego pakunki.

Nie odprawiwszy woźnicy, kazał mu z powrotem jechać w stronę pensjonatu. Było dlań bowiem zagadką, co się mogło stać ze sztyletem. Przecież nikt, ani ksiądz, ani służba nie wspomnieli o sztylecie. Czyżby on był nim zranił cygankę, i z cyganką zabrali i sztylet? A może zostawił go w pensjonacie? Przypomniał sobie, że przed zemdleniem miał sztylet w ręce i zamierzył się nim na cygankę, ale nie pamiętał, co się potem stało. Sprawa ta niepokoiła go tem więcej, że i te trzy zjawy z przebitemi piersiami wplątywały się do jego myśli. Wszystko to gnębiło go i myślał:

— Czy ja też nieświadomie nie popełniłem jakiego niepoczytalnego czynu?

Przy myśli „niepoczytalnego“ roześmiał się smutno.

— Tak, tak — mówił sam do siebie — nic dziwnego, gdybym się stał niepoczytalnym. — Z żalem myślał dalej:

— Nikt mnie nie rozumie... nikt mi pomóc nie może, czy nie chce...

Nagle zdrętwiał niemal ze zgrozy, bo przez głowę przeleciała mu myśl, że już może jest niepoczytalny, że już postradał zdrowe zmysły. Uczuł silniejszy napływ krwi do głowy, a w piersiach niby kłucie szpilkami; potem miał wrażenie, jakgdyby jakaś zła istota chwyciła w twarde dłonie jego serce, ściskając je brutalnie. Krople potu wystąpiły mu na czoło; uczuł tak silny zawrót głowy, że o mało nie spadł z powozu. Położył rękę na ramieniu woźnicy, sam nie wiedząc dlaczego; ten zaś, obejrzawszy się, zrozumiał, że z Antonim dzieje się coś niedobrego, bo jest śmiertelnie blady. Nagłem pociągnięciem lejców usiłował zatrzymać pędzące konie tak gwałtownie, że te niemal dębem stanęły. Antoni rzekł krótko:

— Jedźcie powoli, jest mi coś niedobrze.

Antoni chciał wiedzieć, czy z nim naprawdę jest tak źle, czy się jeszcze potrafi orjentować w tym świecie. Sięgnął po zegarek — było pięć minut po szóstej. Schowawszy go, zapytał dla kontroli woźnicę o czas. Ten, zwolniwszy jeszcze bardziej biegu koni, spojrzał na swój zegarek i odpowiedział to samo:

— Pięć minut po szóstej.

Antoni odetchnął.

— A więc może jeszcze nie jest tak źle? Słyszę

i widzę przecież woźnicę, a ten mi potwierdza moje spostrzeżenia.

Nagle zdjął go lęk i niechęć powrotu do pensjonatu — kazał woźnicy minąć pensjonat, mówiąc:

— Jedź... gdzieś w pola!... Jedź chociaż godzinę... ale powoli, niech odetchnę, bo jestem chory... W pensjonacie załatwię, jadąc z powrotem.

Zauważył, że z okien pensjonatu patrzą ciekawie na niego, a dziatwa, bawiąca się przed pensjonatem, ucieka w panicznym strachu z drogi. Słyszał niewyraźny krzyk:

— Opętany przez djabła, opętany przez djabła!

Dzieci, zostawiwszy wszystkie zabawki przy drodze, tłoczyły się do drzwi, by się jak najprędzej ukryć w objęciach nianiek i rodziców.

To przygniotło Antoniego jeszcze bardziej, ale też i dziwnie oburzyło. Wiedział bowiem, że pewnie zaraz po jego odjeździe sprawa stała się głośną i że dlatego będzie trzeba czemprędzej wyjechać, by mu inni swem zachowaniem się nie zatruwali życia. Woźnica, nie wiedząc, o co chodzi, myślał, że to na niego dzieci wołają: „opętany przez djabła". Zmarszczył więc brwi, trzasnął batem w powietrzu i rzekł:

— Tak, tak, tak źle są nieraz wychowane zarówno pańskie dzieci, jak i wiejskie. Bez przyczyny dokuczają człowiekowi, a czasem i na konie rzucają kamieniami.

Antoni nie odrzekł nic, a konie tymczasem puściły się w szybszy bieg.

Niebawem jednak zawrócili; Antoni kazał woźnicy zaczekać przed pensjonatem, a sam wszedł do środka.

Idąc przez korytarz, zauważył, że tu i ówdzie przez odchylone drzwi obserwowały go oczy ciekawych. W pokoju, który był niedawno opuścił, zastał księdza, staruszka, który kropiąc wszystkie ściany święconą wodą, odmawiał półgłosem modlitwy po łacinie. Antoni z gorzkim uśmiechem stanął na progu pokoju, patrząc na owo jednostajne kropienie. Nagle zwrócił się staruszek w stronę Antoniego i momentalnie zamarła mu modlitwa na ustach. Patrzał na Antoniego jak nieprzytomny i, jakby mu chciał zastąpić drogę, podszedł aż do drzwi, mówiąc chłodno:

— Przecież pan już opuścił to mieszkanie?

— Tak — odrzekł Antoni również chłodno — lecz nie wyrównałem jeszcze rachunku, a w dodatku zapomniałem tu jeszcze jedną rzecz...

— Jaką? jaką? — pytała pokojówka, stojąca tuż za jego plecami.

Antoni stał chwilę zakłopotany i zmarszczył brwi, lecz widząc, że łóżko po jego odejściu nie było jeszcze usłane, wszedł szybko do pokoju i nerwowym ruchem odsunął poduszki. Sztyletu jednak nigdzie nie było. Pokojówka natychmiast zrozumiała, o co mu chodzi, i rzekła:

— Skarb pański, sztylet, zabrała ze sobą cyganka. — Mówiąc to, uśmiechnęła się nad wyraz drwiąco i lekceważąco, zabrała pozostawiony przez Antoniego napiwek i oddała Antoniemu, mówiąc:

— A może to datek dla cyganki? Proszę wziąć i oddać jej przy sposobności.

Antoni odebrał pieniądze, nie obdarzywszy jej już nawet spojrzeniem. Następnie zwrócił się do księdza i chciał się z nim pożegnać podaniem ręki, lecz ten skinął na służącą, by wyszła. Ledwie znalazła się za drzwiami, odezwał się ksiądz z dziwnem zakłopotaniem:

— No i cóż? Pojedna się pan z Bogiem?

Antoni uśmiechnął się i rzekł:

— Proszę księdza proboszcza mówić jaśniej, gdyż nie rozumiem, o co księdzu chodzi!

— Tak, tak, jak mowa o Bogu, to się nie rozumie! Zato wierzy się w czary cyganki! Ona pewnie pana oczarowała! Pewnie pan nie pierwszy raz rozmawiał z cyganką! Podobno panu przypominała wiele nieczystych spraw! Dlaczegóż pan nie zażądał pościgu za nią? Dlaczego zabrała panu sztylet? I pan mi chciał wmówić, że to tylko sen? W takie sny nikt nie uwierzy, skoro pan potem na jawie spotyka ludzi z nieczystemi sprawami! Nie można w kogoś wmawiać, że to dalszy ciąg majaczenia sennego! Wątpliwem też jest, czy pan istotnie pochodzi z rodziny arystokratycznej, skoro pan ma takie nieczyste sprawy z cyganami...

— Dosyć! — zawołał Antoni — dosyć, bo oszaleję! Czyż mam wierzyć, że i ksiądz o dobrotliwej twarzy należy do moich wampirów na jawie na ziemi?

Czyż mam zwątpić we wszystkich ludzi?!

* *
*

Rzuciwszy księdzu w twarz tak głośne i rozpaczliwe oskarżenie, Antoni sam się zdumiał nad własnym postępkiem; zawrócił ku drzwiom, gdy wtem odczuł kilka

chłodnych kropel na szyji i na uchu. To ksiądz pokropił go święconą wodą. Skoro się obejrzał, pokropił go tenże jeszcze i po twarzy.

Uśmiechnąwszy się boleśnie, podniósł Antoni zaraz głowę dumnie i opuścił mieszkanie.

Portjer miał już tymczasem przygotowany rachunek. Antoni obliczył w pośpiechu należytość. Pomimo roztargnienia i zdenerwowania uderzyła go zbyt wysoka kwota. Zaciekawiony, pochylił się nad rachunkiem i czytał pozycje: pokój... wikt... usługa... dwie rodziny opuszczają mieszkanie zamówione na całe lato... konieczność zniszczenia urządzenia w pokoju, o ile sam nie znajdzie kupca na nie...

Antoni oburzony zapłacił rachunek z uwagą, że rzeczy w pokoju są wobec tego jego własnością i że po nie przyśle.

Ciekawe oczy znów śledziły odchodzącego Antoniego. Powrócił do przydrożnej karczmy. Tam zastał jeszcze wilgotną podłogę w pokoju, przygotowanym dla niego na poddaszu. Gospodyni, nie mając zamówień na ten pokój, przeznaczyła go na skład niepotrzebnych sprzętów. Gdy więc znalazł się amator na ten pokój, poleciła go podczas nieobecności lokatora uprzątnąć i umyć. Antoni zaś, nie chcąc oddychać wilgotnem powietrzem, postanowił po kolacji pójść jeszcze na przechadzkę.

Rozdział IV.

Upiór.

Tymczasem słonko zaszło i powoli zapadał mrok, a on szedł wolno ścieżyną, myśląc o rodzinie, o matce. Obudziła się w jego duszy tęsknota za swoimi. A jednak postanowił zaraz zrana zadepeszować do domu, że zamierza udać się w dalszą podróż. Walczyły w nim dwie fale myśli; jedna — fala tęsknoty — pociągała go do matki, a druga — pragnienie znalezienia przecież gdzieś ulgi duchowej — gnała go w świat.

Ostatecznie postanowił jechać dalej, gdyż obawiał się, że swoją obecnością działałby niekorzystnie na matkę i najbliższe otoczenie.

Gdy tak szedł zatopiony w myślach, nie spostrzegł się nawet, jak znalazł się u rozstaju dróg. Na skrzyżowaniu dróg stał krzyż. Małe światło oświetlało słabo wizerunek Ukrzyżowanego. Chłodny wietrzyk wdzierał się przez niedomknięte drzwiczki do latarki, zawieszonej u stóp krzyża. Obok była mała ławeczka. Antoni usiadł na niej, oparł głowę na dłoniach i zadumał się smętnie. Przypominał sobie młode lata — wydawały mu się już dawno prześnionym, cudnym snem.

Ach, jakież to teraz inne życie, co za straszna udręka... te sny! Te mary przeniosły się już teraz i na biały dzień i we dnie nie dadzą mu spokoju. Otrząsł się, gdy sobie przypomniał, jak daleko już to doszło, że aż ksiądz chciał to djabelstwo z niego wygnać święconą wodą.

— Boże! Boże! — westchnął Antoni — pocóż ja tu właściwie żyję na ziemi? Komuż ja się tu na co przydać mogę, jeżeli wszyscy zaczną ode mnie stronić i jeżeli te strachy wszędzie się za mną powloką?

Wtem odczuł niesamowity chłód, a wiatr przytłumił światełko tak gwałtownie, że omal nie zgasło. Koło Antoniego przesunął się jakiś cień; poznał w nim wyraźnie upiora, — sprawcę owych zjawisk w pensjonacie.

Zacisnął pięście i krzyknął:

— Czego chcesz ode mnie?

A cień krążył koło niego i zwabiał wzrokiem ku sobie. Antoni czuł ten niezwykły wpływ i starał się przed nim bronić. Po chwili pomyślał:

— Pójdę na spoczynek, ten upiór da mi już pewnie spokój do rana.

Nie były to właściwie własne myśli Antoniego, lecz podsunięte mu przez upiora. Szedł prosto przed siebie, ale wkrótce spostrzegł, że idzie inną ścieżyną. Im dalej szedł, tem bardziej przyśpieszał kroku, jak gdyby go popychał z tyłu jakiś silny wiatr. Zorjentował się, że zmylił drogę, bo usłyszał wyraźnie monotonny szum wody. Faktycznie niedaleko przepływała rzeka. Antoni przystanął, opierając się gwałtownie jakiejś ogromnej sile, pchającej go z tyłu. Był właśnie najwyższy czas,

bo o kilka kroków przed nim znajdował się spadzisty brzeg, porosły krzakami, a na dole szumiąca woda. Młodzieniec nie rozumiał tej dziwnej tajemniczej sceny, jaka się z nim rozgrywała, wiedział jednak tyle, że ów żywy cień działa na niego, że mu drogę zmylił i chce go przemocą pchnąć do wody. Pomyślał:

— A więc walka na śmierć i życie? Dobrze!... Jeżeli jestem godzien jakiej takiej miłości Boga, to zwyciężę wroga. Niech się więc nie ukrywa, tylko niech powie, czego właściwie chce, o co mu chodzi!

W tej chwili odczuł w obu rękach silny skurcz i nim się spostrzegł, już siedział na ziemi, jak gdyby mu coś nogi było podcięło. Nie tracił przytomności umysłu, czyli nie był tak owładnięty, by znajdował się już poza swem ciałem; podświadomie czuł, że nie może pozwolić na odpędzenie się od swego ciała. Rozglądał się, lecz nie mógł jakoś wyraźnie zobaczyć, gdzie się ten cień znajduje. Czuł tylko coraz większy ciężar na głowie i ramionach, objawiający się silnem znużeniem i uczuciem lęku, jak gdyby go zmora przygniatała. Chciał wołać, lecz uprzytomnił sobie zaraz, że go albo nikt nie usłyszy, albo, usłyszawszy, nie ujrzy ducha, więc najprawdopodobniej posądzi go tylko o brak zdrowych zmysłów.

Chciał sam zwyciężyć wroga, próbował powstać, lecz nawet się nie spostrzegł, jak znów znalazł się na ziemi.

O, zgrozo! Jak kawałkiem ściętego pnia toczyła nim straszna siła w stronę urwistego brzegu. Już tylko jeden obrót dzielił go od przepaści; zdawał sobie przy-

tem sprawę ze swej niemocy wobec nieprzyjaciela. Widząc, że niechybnie stoczy się do wody, zawołał w śmiertelnej trwodze:

— Boże, czyż tak marnie mam zakończyć życie?! Czyż nie dowiem się przyczyny tych piekielnych udręk? Czyż nie mam możności naprawy błędów, jeżeli po nich pozostało aż tyle zła?

O, matko, matko, czy i twoich modlitw nie wysłuchał Bóg? O, matko biedna, całe twoje życie będzie złamane, gdy się dowiesz, jak marnie skończyłem!

Narzekając tak w myślach, nie zauważył, że jego ręce już nie są tak skostniałe, jak poprzednio; wzniósł je w górę i zawołał:

— Boże, wzywam Cię na pomoc!

Jeżeli nawet szatan ma mnie w swej mocy, to jednak Ty, Boże, jesteś silniejszy, Ty mi pomożesz!

Moje życie nie jest odtąd mojem, ale Twojem. Twoja wola niech niem kieruje! Odpędź szatany ode mnie!

Ledwie to pomyślał, już uczuł się wolnym. Wstał z ziemi — i świat wydał mu się zaraz dziwnie miły. Gwiazdy świeciły już nad jego głową i uczuł wokoło jakiś inny powiew, który napełnił go otuchą.

Wracając ścieżyną, poprawiał na sobie ubranie. Krawat miał przekręcony w tył, dziurki u kołnierza poprzerywane. Gdy przyszedł pod krzyż, skonstatował przy słabem świetle lampki dokładniej, w jakim opłakanym stanie się znajduje. Spodnie były uwalane gliną, rękaw na łokciu rozpruty i również zbrudzony. Pokręcił głową. Przypomniał sobie, że w takim stanie

już widział raz pewnego jegomościa, który dostał w jego obecności ataku epileptycznego, cierpiąc, jak to lud nazywa, na „chorobę św. Wita". On także upadł na drodze, z ust płynęła mu piana, tarzał się po ziemi, a dopiero po chwili wstał cały zwalany, z podartym krawatem.

— Niemożliwe — pomyślał — czyż ja mam teraz taką samą chorobę? Boże, cóż się to właściwie ze mną dzieje!

Roześmiał się gorzko:

— I ja chcę się z taką chorobą wybierać do Indyj!

Oczyściwszy spodnie i rękaw, usiadł na ławce, oparł głowę na dłoniach i na nowo przypominał sobie całą scenę, jak go zwabiono na ścieżynę. Załamał ręce na myśl, że teraz staczałby pewnie ostatni śmiertelny bój z zimnemi falami.

Nie mogło przecież być inaczej, gdyby w skurczu wszystkich mięśni został strącony do wody.

— O, nie — pomyślał dalej — to nie jest żadna choroba, to jest jakaś wielka i ciężka zagadka ducha. Tak, tak, ten ktoś walczył ze mną, chciał mnie wtrącić do wody, lecz jakże się to stało, że w ostatniej chwili odstąpił ode mnie?

Przypomniał sobie nagle o rozpaczliwem wzywaniu Boskiej pomocy. Spojrzawszy na żelazną postać, przybitą na krzyżu, a przedstawiającą wizerunek Syna Bożego, spuścił smutnie głowę, gdyż nie dopatrzył się w twarzy figury ani jednego łagodnego rysu. Figura świadczyła dosadnie o tem, że wykonawca jej nie umiał odczuć Boskiej miłości, ani też wcale nie posiadał arty-

stycznych zdolności do wytworzenia czegoś tak wielkiego, jak wizerunek Chrystusa na krzyżu. Twarz figury szpecił dziwny grymas, a czoło było chmurne. Antoni podniósł się z ławki, spojrzał jeszcze raz na postać na krzyżu i westchnął:

— O, Ty przeczysty Duchu! Ty Boski Chryste! Napewno niema nikogo na świecie, ktoby Cię potrafił wiernie wymalować, czy wyrzeźbić w jakiejkolwiek materji.

Chciał się już oddalić od krzyża, gdy nagle zahukała sowa nad jego głową. Głos jej dziwnie go zaniepckoił, odczuł gwałtowne bicie serca i jakiś niesamowity lęk. Miał wrażenie, że ogromnemi skrzydłami uderzy go lada chwila po głowie.

Tymczasem nieszczęśliwy duch, odpędzony od Antoniego przy wodzie jego rozpaczliwem wzywaniem Boskiej pomocy, zbliżył się znów ku niemu nieomal na skrzydłach sowy. Antoni wnet go wyczuł i zaraz usłyszał jakiś wewnętrzny głos:

— Podziękuj Bogu za pomoc, podziękuj za wyratowanie z sideł tego nieszczęsnego ducha! Proś Go o pomoc na dalsze lata, byś mógł naprawić zło, stworzone przez ciebie przed wiekami.

— Przed wiekami stworzone? — powtórzył Antoni ze zdziwieniem.

Przed wiekami było zło, a któż przyczyną tegóż, ja, czy ci, którzy mnie prześladują?

— Módl się, módl, — odezwał się wewnętrzny głos, ale Antoni już też uczuł, że mu ręce drętwieją. Jak gdyby chciał z nich strząść jakieś niewidzialne kaj-

dany, zatrząsł niemi raz i drugi, lecz już było zapóźno. Zakołysała nim jakaś siła. To zły duch chciał go powalić na ziemię. Antoni upadł.

— Panie nad Pany!... Królu nad Króle!... Władco Najwyższy!... Sędzio Najsprawiedliwszy!... sądź mnie sprawiedliwie! Z Twej ręki chcę otrzymać wymiar kary, a nie od tego nędznego ducha, który mnie teraz prześladuje!

Nagle odczuł Antoni, że ciemny duch ukląkł na jego ramionach i chciał mu zdławić głos w krtani. Zachwiał się, ale siłą woli starał się utrzymać równowagę, by nie runąć w tył. Po chwili zawołał przytłumionym głosem:

— Panie!... Ojcze!... Boże, niejasnem mi jest dziś, co ja mogłem popełnić przed wiekami! Od nikogo nie mogę się prawdy dowiedzieć. Ty, Panie, oświeć mój rozum, bym mógł zrozumieć, ile jestem winien temu światu, ile jestem winien temu duchowi, który mnie tak męczy!

Przy słowie „męczy“ uczynił znów ruch, jak gdyby chciał strząść tego ducha ze swoich ramion. Złożone jego ręce rozluźniły się przytem i upadł w tył. Odrazu też poczuł, że ciemny duch usiadł mu na piersiach i dławi go. Oczy wystąpiły mu na wierzch, nie widział przez chwilę nic...

Aż nagle, co to? — co się dzieje? Czuje, widzi, że jego ciało leży bezwładnie na ziemi, a on stacza walkę z duchem. Jakże on jest do tego ducha podobny! nie czarny, ale również trochę ciemny.

Twarz! twarz!! widział swoją własną duchową

twarz! Widział w miejscach, którędy niedawno łzy spływały, gdy prosił Boga o wyjaśnienie tajemnicy, jasne białe smugi; widział też, że z jego oczu promieniuje światło. Światło to paliło przeciwnika i oślepiało go tak, że walczył po omacku, chcąc uchwycić Antoniego. Antoni nagle uczuł gorycz za przykrości przeżyte w pensjonacie, za poniewieranie przy rzece. Zdjęty pragnieniem zemsty, pomyślał:

— Teraz cię zgniotę, uśmiercę...

Duch ciemny, zorjentowawszy się co do zamiarów Antoniego ryknął straszliwie, wyprostował się i już chciał się rzucić na ciało Antoniego, leżące na ziemi. Antoniego ogarnęła trwoga, że duch chce walki z ciałem, a nie z nim, obawiał się o to ciało. Tymczasem duch ciemny już siedział w niem na ziemi, śmiejąc się przeraźliwie przez jego usta. Duch Antoniego stał przez chwilę bezradny wobec tego faktu, ale później pomyślał w pokorze:

— Dziej się Twoja wola, Boże!

Wtem gdzieś zdala usłyszał przecudne dźwięki, a z dźwiękami zbliżył się szereg duchów i stanął pomiędzy nim, a duchem, owładającym jego ciało. Ich śpiew był doniosły i pełen orzeźwiającej siły.

Duch siedzący na ziemi czepiał się ziemi, aż palce wbijał w nią i głowę jeszcze bardziej pochylił. Antoni nie śmiał patrzeć na wdzięczne postacie duchów, ale zato z prawdziwą rozkoszą wchłaniał w siebie przecudne dźwięki głębokich, dobrych i tkliwych myśli. Zdumiony wsłuchiwał się w śpiew, który nietylko mówił o Bogu, Jego miłości i mocy, ale odnosił się i do

Antoniego. W tej pieśni odkryto mu jego stan duchowy, śpiew ten napełniał go wiarą w Boga.

Podczas tej niespodziewanej wizyty ze strony duchów, duch siedzący na ziemi, wydawał się bardzo cierpiącym, jak gdyby go raziły i przygniatały te dobre myśli i ten cudny głos dobrych duchów. Siedział przygarbiony i zachmurzony, rozglądając się ukradkiem, jakby stamtąd umknąć.

Antoni nie spoglądał już na swe ciało, przeciwnik stał mu się obojętny. Zapomniał o świecie, życzył sobie tylko pozostać w tym spokoju ducha, w jakim się znajdował w tej chwili.

Dobre duchy ukończyły pieśń i białe dłonie skierowały na głowę ducha w ciele Antoniego. Jasne smugi światła zlewały się z ich rąk na niego i dziwnie oświetlały nagość tego ducha. Straszne jakieś ubóstwo i nędza duchowa zjawiła się przed wzrokiem Antoniego. Widział nietylko ducha, lecz i swoje własne wątłe ciało, do którego był wtulony obcy duch głową i rękami, a reszta ciała żyła i oddychała praną, siłą magnetyczną ducha Antoniego.

Antoni wyczuwał, że podczas owładnięcia bardzo cierpi jego fizyczne ciało. Wyczuwał w niem swój własny puls; raz był zbyt szybki, to znów bardzo powolny, jakgdyby ustawało wszelkie krążenie krwi. Mózg mu płonął, żarzył się jak rozpalone węgle. Pod wpływem ognia kurczyły się drobne żyłki i zamierały komórki ciała.

Przy jasnym wodospadzie iskier magnetycznych, spływających obficie z rąk dobrych duchów, prężyło się

ciało, a duch niski wysuwał się z niego. Wtem Antoni pomyślał:

— Opętany przez djabła!

Myśl ta przeniosła się właściwie ku niemu z ziemi. Zaraz przypomniał sobie, że ewangelja podaje, iż Chrystus uzdrawiał opętanych przez djabła. Wydawało mu się to niegdyś niewiarygodnem, by mogli naprawdę istnieć opętani, a teraz widział wyraźnie, że dobre duchy wypędzają z jego ciała jakiegoś ducha. Widział też, że to nie był djabeł.

— Ale może duch z djabelską mocą — pomyślał. Zaraz mu też przyszła myśl, że pewnie i wówczas podobne duchy opętywały ludzi na ziemi, a czysty Duch Boży włożeniem ręki na głowę opętanego wypędzał z ciała złego ducha.

Wyraźnie poczuł teraz pomoc Bożą, bo któżby mu tu posłał te białe duchy? A więc, jeszcze nie jest tak źle, Bóg nie opuścił go zupełnie, wysłuchał jego wołania, wysłuchał prośby jego matki.

Lecz wtem jeden z białych duchów zwrócił się do niego, mówiąc:

— Bóg nikogo nie opuści, nawet tych nieszczęsnych, których zowią djabłami. — Tu wskazał swoją śliczną ręką na nieszczęsnego ducha na ziemi, opuszczającego już ciało Antoniego.

Inne dobre duchy oddaliły się tymczasem niepostrzeżenie, a tylko ten jeden, który do Antoniego ostatnio przemawiał, śledził myśli Antoniego i ducha, oddalającego się od ciała.

— I ty byłeś niegdyś tak samo bardzo, bardzo nędznym duchem — ciągnął dalej. — I ty także znęcałeś się nielitościwie nad swemi ofiarami. Ostatnie z nich, to te trzy nieszczęsne tancerki, zwane przez ciebie zmorami. Lecz wracaj do swego ciała, zagrzej je ciepłem swego ducha, zagrzej je wiarą w Boga, nabierz otuchy i ochoty do dalszego życia na ziemi! Wiele masz tu jeszcze do wyrównania. Odtąd będę oddalał od ciebie wszystkie przykre zjawiska, o ile mi dasz do tego upoważnienie, podpisane dobremi czynami i wiarą w Boga.

Przedewszystkiem staraj się usilnie, byś o zmorach i o nieszczęsnym duchu źle nie myślał. Dobrze byłoby pomodlić się za nich. Gdybyś zaś tego nie potrafił uczynić z dobrej woli swego ducha, to przynajmniej bądź obojętny na napływające o tem złe wspomnienia!

Ja chcę być odtąd twoim opiekunem i doradcą, moja obecność przy tobie będzie zależała w pierwszym rzędzie od ciebie. Masz wolną wolę robić dobrze lub źle; temsamem ściągniesz ku sobie odpowiednie otoczenie.

Antoni chwiał się jeszcze ponad ciałem, chciał się jeszcze bowiem zapytać, czy będzie miał wyjaśnione, w jaki sposób ma naprawić to zło i w jakiej mierze ono stoi za nim w stosunku do tego życia.

Odczuł jednak, że już członkami porusza — ale jakież one zimne i sztywne! Nie mógł chwili ustać na nogach, chwiał się i nie miał w nich władzy. Nasunęły mu się także błyskawicznie wspomnienia dopiero co przeżytych chwil.

Naokoło niego było ciemno, nie mógł sobie uprzy-

tomnić, gdzie się znajduje. Niebawem jednak wyprostował się i spojrzał wgórę. Gwiazdy świeciły tu i ówdzie, z za chmurek wysuwał się blady księżyc. Antoni stał i patrzał tak chwilę przed siebie; zimno powoli ustępowało z ciała, a do ducha zapadała jakaś błoga cisza. Teraz przypomniał sobie już nawpół świadomie całe zajście i szeptał:

— Tak, tak, jedyną bronią przeciw złu to modlitwa, dobre myśli i dobre czyny.

Wtem, o dziwo! przecudne dźwięki doleciały doń gdzieś hen z gwiezdnych wyżyn, a w nich jedno jedyne słowo, jedna myśl przeciągła, wielka, świetlana:

— Miłość, miłość! — dźwięczało wokoło jego ducha, napełniając pierś orzeźwiającym prądem, napełniając ducha radością i wielką, aż dziecinną swobodą ducha.

Lekkim krokiem podążył ścieżyną ku gospodzie, szepcąc tylko:

— O, Panie! Twoja wola niech się przejawia we wszystkiem, ona niech kieruje mojemi krokami!

Rozdział V.

W więzieniu.

Wróciwszy do gospody, zastał drzwi zamknięte, było już bowiem po północy. Zastukał do drzwi najprzód cicho, następnie trochę silniej. Wszędzie była cisza, tylko pies, spuszczony z uwięzi, słysząc szmery koło domu zbliżył się z mruczeniem pod schody, a przy każdem poruszeniu klamki ujadał na Antoniego. Antoniemu było naturalnie bardzo nieprzyjemnie, że o tak późnej porze musi budzić gospodarzy ze snu. Odczuwał dziwnie senne znużenie, ale takie jakieś błogie, że chciał czemprędzej ułożyć się do snu, by spotkać się znów z temi białemi postaciami tam w Sferach Snu, a gdyby duchem nie mógł się przenieść pomiędzy nie, to wywołać je przynajmniej w myślach jako marzenie.

Nareszcie usłyszał kroki za drzwiami i głos trochę niechętny:

— Któż się tam dobija?

— To ja — odrzekł Antoni dźwięcznym, serdecznym głosem — to ja, lokator z poddasza.

— Hm — mruknął ktoś za drzwiami i nie śpieszył się jakoś z otwarciem drzwi. Po chwili kroki się od-

daliły. Antoni uczuł się tem niemile dotknięty, lecz myślał, że pewnie ten ktoś zapomniał kluczy i wrócił po nie. Równocześnie jednak wdzierało się do jego ducha przypuszczenie, że tam, za drzwiami, pewnie jakieś niskie niewidzialne siły robią mu przeszkody, usposabiając gospodarzy nieprzychylnie względem niego. Oparł się o futrynę drzwi i słyszał jakby jakiś szept do ucha:

— Zawsze i wszędzie, gdziekolwiek się tylko zjawią twoi nieprzyjaciele i w jakiejkolwiek roli, trzeba być spokojnym i złe odpłacać dobrem.“

Znów ozwały się kroki, ale tym razem już cztery osoby zbliżały się do drzwi. Chwilkę jeszcze namyślały się za drzwiami, wreszcie jedna z nich gwałtownie odemknęła zamek, a jeszcze gwałtowniej otworzyła drzwi, tak, że Antoni, będąc o nie trochę opartym, zatoczył się do tego dziwnego grona.

Brudny, rozespany parobek trzymał wysoko podniesioną latarkę i świecił mu prosto w twarz. Żona gospodarza, ukryta za plecami swego męża, ściskała kurczowo w rękach krucyfiks, zasłaniając go chustą. Inny mężczyzna o nabrzmiałej twarzy i nosie czerwonym od wódki, trzymał w ręce żelazny drąg i patrzał ponuro na Antoniego. Piąta osoba, widocznie sługa, odłączyła się od grona, idąc otworzyć psu drzwi od kuchni. Następnie stanęła w progu, a wysunąwszy głowę, patrzała na całą grupkę.

Antoniego rozbawiły te przestraszone i groźne miny, a swoją drogą zrobiły też i trochę niemiłe wrażenie. Odezwał się więc dobrotliwie:

— Przepraszam bardzo, budzę pewnie państwa z najlepszego snu... Przechadzając się, zaszedłem za daleko... w powrotnej drodze byłem już trochę zmęczony i słaby, więc się tak spóźniłem.

Wszyscy patrzyli nań jeszcze bardziej zdziwieni, a gospodarz odezwał się ochrypłym głosem:

— To pan nie wraca z policji?

Antoni, zaskoczony niesamowitą miną i takiem pytaniem gospodarza, zapytał ze zdumieniem:

— A cóżbym miał robić w policji?

— Hm — odrzekł gospodarz — a przecież tu pana szukali.

— Kto? — pytał Antoni.

— No, no, niechże się pan nie robi taki niewinny!

— Chodź, chodź — mówiła żona — zostaw go, to nie twoja sprawa! Pakunki ma na strychu za drzwiami, niech je sobie zabierze i idzie.

Parobek tymczasem postawił lampę na schodach, prowadzących na strych, mrugnął na gospodarza i wyszedł drugiemi drzwiami na podwórze. Gospodarz wziął lampę, a kołysząc nią lekko w ręce, rzekł:

— Mój panie! tu dom porządny, u nas pan nocować nie może.

Tego już było Antoniemu za dużo, więc niemal krzyknął:

— Ludzie, czyście powarjowali? Gdzież ja teraz w nocy pójdę z bagażami?

— A... co nas to obchodzi — odrzekł gospodarz, wzruszając pogardliwie ramionami.

Niepokój Antoniego rósł; chciał wiedzieć, co się sta-

ło z jego rzeczami, czy ma wszystkie. Poprosił więc o latarkę i skonstatował, że pakunki były nietknięte i stały wszystkie za drzwiami. Spojrzał prosząco na gospodarza i rzekł:

— Ależ gospodarzu, otwórzcie drzwi, chciałbym się przynajmniej przebrać. Nie bójcie się, opuszczę wasz dom, tylko mi się postarajcie o doróżkę... zapłacę dobrze za przysługę.

Gospodarz, patrząc na powalane spodnie i podarty rękaw Antoniego, pokiwał znacząco głową, wreszcie otworzył drzwi, pomógł mu nawet wsunąć walizkę do pokoju i oddalił się. Antoni spojrzał na łoże, było przygotowane do spania. Stół był nakryty czystym obrusem, a na nim stała porcelanowa waza z kwiatami. Cały pokoik, chociaż skromny, wyglądał teraz schludnie. Ponieważ w umywalni nie było wody, otworzył drzwi, zeszedł na dół z latarką, by poprosić o wodę. Pod schodami stali znów: sługa, gospodarz i gospodyni, rozmawiając coś na ucho. Gdy Antoni poprosił o wodę, służąca wzięła dzban i za jakiś kwadrans dopiero przyniosła wodę. Tymczasem Antoni przygotował sobie już garnitur do drogi i usiadł zamyślony. Nie pociągało go łóżko, znużenie odleciało, chociaż go oczy piekły i głowa ciężyła. Pomyślał w tej chwili:

— Skończę to nędzne tułacze życie, skończę tę poniewierkę, powrócę pod dach rodzinny.

Ta myśl pokrzepiła go, dodała mu otuchy, siły. Cieszył się, że nie wysłał depeszy o zamiarze dalszej podróży do Indyj.

— Zadepeszuję mojej kochanej matce — mówił do

siebie półgłosem — zadepeszuję, że już jadę do domu.

Służąca weszła z wodą bez zapukania, a postawiwszy dzban za drzwiami, zniknęła czemprędzej.

Chłodna woda orzeźwiła Antoniego, zaczął się raźno ubierać. Tymczasem przyszedł gospodarz i oznajmił ze źle ukrytym złośliwym uśmiechem:

— Konie będą, mój panie, ale najpierw trzeba konie nakarmić i to potrwa jeszcze chwilę. Zresztą — dodał — kto wie, czy pan wogóle dziś wyjedzie...

Antoni schmurzył brwi, zamyślił się i nagle stało mu się jasnem, że jest w jakiejś złośliwej pułapce, bo gospodarz, odchodząc, zamknął za sobą drzwi na klucz.

— Ale cóżem ja tym ludziom do licha winien, że się tak ze mną obchodzą?... A — tak!... prawda!... policja... Pytano ich o mnie.

Zrozumiał. Zrozumiał, że pewnie pozostanie zamknięty aż do nadejścia policji. Nie nalegał też, by mu otworzono. Otworzył okno, usiadł przy niem i zapatrzył się w bezkresną dal w przestworza. Westchnął, ale zaraz się otrząsnął z przygnębienia, bo usłyszał tajemniczy głos:

— „Coraz zaciętsza walka wre naokoło ciebie. Oj, czuwać, czuwać musisz i walczyć dobrze, aby w walce nie tworzyć nowego zła, któreby cię znowu w przyszłości mogło męczyć. Znoś cierpliwie tę poniewierkę i to prześladowanie! Teraz właśnie będzie cię zło chciało w jakikolwiek sposób chwycić jeszcze w pułapkę. Teraz, kiedy się pogodziłeś z wolą Boga, teraz, kiedy naprawdę w pokorze wracasz na dobrą drogę, zło walczy o ciebie

ze zdwojoną siłą a nie mogąc cię pozyskać, chce cię ujarzmić.

Wiedz, że i ten, który się niebawem zjawi w twej obecności, będzie przekonany, iż dobrze robi, gdyż pomaga do uwolnienia ludzkości od jakiegoś niebezpiecznego indywiduum, za jakie cię będzie uważał. Nie wzdrygaj się więc i idź z nim! Choć teraz jesteś niby bez winy, to jednak wiedz, że zbierasz tylko owoce swych czynów z dawnej przeszłości; należy ci się więc poniekąd takie traktowanie."

Antoni zrozumiał dobrze, było mu to już jasnem, że żyje niejako podwójnem życiem. Nie dziwiło go już wcale, że ten tajemniczy głos do niego się odzywa, że go ostrzega, że go chce prowadzić. Pomyślał więc z ulgą:

— To jeszcze naprawdę cud Boży, że dostałem się pod taką opiekę.

Za drzwiami rozległy się jakieś kroki. Antoni nie ruszył się od okna. Domyślał się, że to zapewne policja. Nie mylił się, był to żandarm z najeżonym bagnetem w towarzystwie parobka. Niebawem też ozwał się głos:

— A kto ma klucz od drzwi?

— Tu jest, tu jest — wołał usłużnie gospodarz.

Drzwi otworzyły się głośno, a Antoni usłyszał ostry, rozkazujący głos:

— W imieniu prawa — pójdzie pan ze mną!

Antoni nie odrzekł nic, tylko wiedząc, że będzie badanym, zabierał ze sobą wszystkie papiery, jakie uważał, że mu będą potrzebne. Wziął też zawalaną zarzutkę z rozprutym rękawem i szukał w niej swoich

dokumentów. Parobek zaś nieznacznie trącił żandarma, a ten rzekł:

— Ubranie, w którem pan przyszedł po północy, weźmie pan ze sobą.

Antoni schmurzył nieco brwi, mówiąc:

— Myślę, że legitymacja wystarczy.

— Nie myślę się tu z panem sprzeczać i zbytnio bawić — odpowiedział żandarm — powiedziałem, że pan weźmie i tak będzie! Na legitymację mnie pan nie złapie, zresztą wylegitymuje się pan przed kim innym.

Antoni stał trochę bezradny i trzymał ubranie w rękach. Juz zabierał się do złożenia go do walizki, mówiąc:

— Proszę tylko o chwilę cierpliwości, wypakuję te drobnostki i włożę ubranie do walizki. Tak go przecież nie poniosę.

Na to wezwał żandarm szorstko Antoniego:

— Nie bawić się, nie stawiać oporu, bo nałożę kajdanki. Ubranie poniesie pan na ręce, jak każdy inny przestępca.

— Ależ panie! — odrzekł Antoni — hamuj się pan, przecież nikt nie udowodnił mi jeszcze żadnego przestępstwa!

Z ócz żandarma latały złowrogie błyski i niecierpliwie przekładał broń z ręki do ręki. Antoni miał już ubranie we walizie i przed odejściem zwrócił się jeszcze do żandarma:

— Panie, ja odchodzę z panem, a moje rzeczy? Któż ręczy, że mi tu nic nie zginie? Podczas mojej nieobecności wystawili je z wynajętego pokoju za drzwi.

Dwie walizy tam jeszcze dotąd stoją. Proszę polecić wnieść je tu z powrotem, mieszkanie zamknąć, a klucz...

— A klucz zabiorę ja — rzekła straż bezpieczeństwa.

— Ależ owszem, mój panie, nie mam nic przeciw temu chwilowemu oddaniu go pod opiekę pana — odrzekł Antoni.

Wyszli.

Tymczasem deszcz rzęsiście skrapiał ziemię, dając się też dobrze obydwom we znaki. Bardziej odczuł to Antoni, który w roztargnieniu zapomniał parasol. Za pół godziny byli na miejscu. Tam oznajmiono Antoniemu, że z powodu spóźnionej pory będzie dopiero rano przesłuchany. Tu już zdjęło go oburzenie, siłą woli jednak zapanował nad niem, prosząc:

— Powiedzcież mi, co zaszło, dlaczego mnie aż tu sprowadzono, a w dodatku mokry mam czekać aż do rana?!

Rozespany przodownik był jakoś w złym humorze; sam nie wiedział, dlaczego ma przybysza zatrzymać. Cała ta sprawa była dla niego samego bardzo niejasną. Komendant posterunku wydał mu bowiem tylko polecenie, iż ma mu donieść telefonicznie, o ile na posterunek przyjdzie taki, a taki pan; gdyby go zaś przyprowadził przodownik, ma go zatrzymać do rana.

Postąpiono też według tych wskazówek. Antoniego, przemokłego niemal do nitki, osadzono za kratkami. Upadł niemal bezwładnie na ławie, nie zdejmując wcale palta. I tak nie miał co włożyć na siebie, gdyż walizkę zatrzymano w kancelarji.

Po chwili zaczęły Antonim raz po raz wstrząsać silne dreszcze. Zastukał więc do drzwi i poprosił przez okienko o walizkę, gdyż tam ma suche ubranie; zaznaczył, że jest cały przemoknięty, a to mogłoby się fatalnie odbić na jego słabowitem zdrowiu.

Szyderczy uśmiech patrolującego był odpowiedzią na jego prośbę. Żandarm oddalił się bez słowa, a Antoni wyczekiwał na ubranie daremnie. Dreszcz wstrząsał nim coraz bardziej, w gardle odczuwał ostry ból, a przy poruszeniu kłucie w lewym boku.

Spojrzał na zegarek — była trzecia; siedział więc już godzinę we więzieniu w przemoczonem ubraniu. Zastukał ponownie do drzwi. Przy okienku zjawiła się twarz patrolującego, patrząc pytająco na Antoniego. Ten zapytał:

— Co jest z mojem ubraniem?

— A czy ja pilnuję pańskiego ubrania? Tam, gdzie je zostawiono, jest dobrze schowane.

— Ależ proszę mieć odrobinę zrozumienia, ja się tu zupełnie przeziębię w takiem przemoczonem ubraniu. Już mnie boli w gardle.

— Ho, ho! tu niejednego niejedno boli, a musi cierpieć, czegóżby i pan nie miał pocierpieć?

Antoni zamyślił się; nie wiedział jakie są przepisy więzienne, nie wiedział, jak daleko sięga władza i powinność takiego posterunkowego. Zapytał więc dalej:

— A kogo mógłbym prosić o przyniesienie mi ubrania?

— Nikogo. Tu jest pan za kratami i basta.

Posterunkowy już chciał odejść od otworu drzwi, gdy Antoni rozgoryczony zawołał:

— Ależ tu jest przecież okropnie zimno! Tu nie będzie więcej, jak 4 stopnie ciepła!

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się głos za drzwiami — specjalnie dla pana będziemy palić, co? i to jeszcze w początkach lata? Niech pan siedzi cicho, do rana już niedaleko! Jak deszcz z wiatrem ustanie, ogrzeje się na dworze, to i panu będzie cieplej.

Po tych słowach kroki oddaliły się od drzwi. Antoni usiadł ponownie bezradny na ławie. Do bólu głowy dołączyło się dzwonienie zębami z zimna, a przy każdem poruszeniu się czuł uderzanie w skroniach, jak młotkami. W dodatku zaczęło go już mocno drapać w gardle, tak, że nie mógł powstrzymać kaszlu, a przy każdym ataku kaszlu odzywało się nieznośne kłucie w boku i ból w głowie i skroniach. Przyciskał mocno palto do ust i oddychał przez nie; łagodziło to nieco dotkliwy ból gardła, ale kaszel nie ustawał.

Spojrzał na nędzne łoże więzienne, nakryte szarym kocem. Choć wstrząsnął nim dreszcz wstrętu na widok tego brudnego przykrycia, przemógł się jednak, zrzucił palto, otulił się kocem i ułożył na łożu. Za drzwiami znów przystanęły kroki, ktoś zajrzał do celi przez otwór w drzwiach, roześmiał się głośno i odszedł.

Ostry i cuchnący koc drapał Antoniego wprawdzie po szyi i rękach, bądź co bądź jednak przyniósł mu pewną ulgę; dreszcze ustępowały, po całem ciele rozeszło się miłe ciepło. Lecz to ciepło stawało się z każdą chwilą nieznośniejszem; czuł, że cały płonie w gorączce.

Przemocą wstrzymywał też kaszel, by unikać bólu w boku.

— Boże, Boże! — westchnął Antoni — pewnie dostaję zapalenia płuc.

Jeszcze i pragnienie zaczęło mu dokuczać. W kącie na krześle zobaczył miednicę, a pod niem dzban. Ucieszył się na myśl, że tam pewnie będzie woda, ale cóż... każde poruszenie sprawiało mu ból.

Tymczasem zaczęło dnieć. Antoni powitał to zjawisko z pewną ulgą. Strasznie znużony przymknął powieki, ale zaciężyło na nich coś jak ołów. Nie spał, wiedział, że ma zamknięte oczy, a mimo to widział wyraźnie jakiegoś ducha, stojącego na głowie i śmiejącego się okropnie. Antoni odczuł, że to z niego się ów duch wyśmiewa; chciał od niego odwrócić wzrok, ale nie mógł, a duch w dalszym ciągu wywracał koziołki.

Nie dosyć na tem. Antoni ujrzał więcej różnych duchów. Było ich pełno... nie mógł pojąć, jak się to wszystko mieści w tej małej celi!

Po chwili przypomniał sobie, że dla duchów mury nie stanowią przeszkody; wszak i tancerki przychodziły przez ścianę ku niemu. Chciałby tych duchów nie widzieć, a jednak wszędzie było ich pełno.

Były to duchy więźniów, zmarłych w tej celi samobójczą śmiercią. Przebywając w niskich sferach astralu, wciąż jeszcze odtwarzały i wciąż ponownie przeżywały ostatnie przykre sceny żywota.

Jeden z nich tłukł jakieś szkło, pchał do ust, a po chwili wił się w śmiertelnych boleściach.

Inny przysiadał przy tworzącej się ścianie, wyjmował z niej kawałki cegły, robiąc otwór do komina; następnie tamtędy znikał.

Inny trzymał się kurczowo krat, a szarpiąc niemi, chciał je wyłamać i następnie uciec przez okno.

Znów inny darł bieliznę na strzępy, wiązał kawałki i robił z nich powróz. Następnie zadzierzgnął go sobie na szyję, przymocował do krat i wieszał się, wysuwając potwornie język. Huśtał się tak chwilę, ale wnet improwizowany postronek się urywał, a on spadał.

Jeszcze inny wyciągał gwoździe z ławy i połykał je, robiąc też przy tem przykry grymas.

I znów ujrzał inny obraz, jak gospodarz karczmy otworzył kluczem drzwi do pokoju Antoniego, a pochyliwszy się nad walizkami, próbował je otworzyć wytrychem. Miał ich w ręku cały pęk. Nie udawało mu się to. Wkońcu nadwęrężywszy zamek otworzył jedną, poprzerzucał w niej nerwowo rzeczy. W tej chwili słyszał też Antoni wyraźnie głos gospodarza:

— A to jakiś złodziej-dżentelmen, albo jakiś bogaty drab.

Antoni poruszył się niespokojnie, lecz wtem uczuł ostre kłucie w boku, więc leżał dalej cicho. Przy każdym głębszym oddechu i tak odczuwał mocny ból.

Zmrużył znów powieki, ale już całkiem świadomie i w tym celu, by móc patrzeć, co dalej robi gospodarz z jego rzeczami. Ujrzał, że ten trzyma w ręce jakiś błyszczący przedmiot; nie mógł zrazu rozpoznać, co to jest, przedmiot ten kłuł go swym blaskiem w oczy. Wreszcie ujrzał wyraźnie, że to jego złota papierośnica,

której zresztą nie używał, bo już od kilku lat nie palił. Palenie porzucił dla zdrowia, a papierośnicę zatrzymał z powodu jej pięknego i drogiego wykonania. Na papierośnicy był lotos z drogich djamentów, a nad nim nimfa, również z drobnych drogich kamieni. Nimfa była taka powiewna, miła i wiotka, jak roślinka. To cacko schował gospodarz do kieszeni, a resztę rzeczy starał się z powrotem możliwie w porządku ułożyć do walizki, oglądając się wciąż niespokojnie na drzwi, które był zamknął za sobą na klucz. Antoniego to oburzyło, ale już też stracił gospodarza z ócz.

I znów ujrzał, jak przy rzece, niedaleko tego miejsca, gdzie go ciemny duch chciał strącić w przepaść do wody, gwałcił ktoś młodą dziewczynę. Było ich tam dwóch złoczyńców: jeden duch w ciele, a drugi bez ciała. Antoniemu było w jakiś sposób wiadomem, że dziewczyna wracała od chorej babki. Już w drodze do babki spotkał ją krawiecki czeladnik i zapytał, dokąd idzie i kiedy będzie wracała. Piętnastoletnie dziecko odparło otwarcie:

— Nie wiem, umyję babce podłogę, wypiorę pończochy, bo ona i w nocy śpi w pończochach. Bolą ją nogi, smaruje je często i dlatego jej trzeba częściej pończochy przepierać.

Antoni widział ją nietylko myjącą nogi babce, ale też krzątającą się przy naprawianiu pierzyny, by się pierze nie wysypywało. Co chwilę spoglądała na zegar, gdyż matka poleciła jej, by wróciła prędko, a w każdym razie bezwarunkowo jeszcze dzisiaj. Babka chciała ją zatrzymać, perswadując jej, że się obie zmieszczą

w łóżku, ale myśl powrotu zwyciężyła i dziewczyna późną porą opuściła babkę.

Na drodze widział Antoni czeladnika krawieckiego, dziwnie jakoś zmienionego. Twarz miał poczernioną, wąs przyprawiony, a kapelusz nisko spuszczony na oczy. Już nie szedł drogą, lecz czaił się obok drogi. Nadeszła dziewczynka, oglądając się trwożnie; szła szybko, niemal biegła.

O, jaki wstrętny, grozą przejmujący widok! Ciemny duch bawił się niechlujnie, a patrząc w stronę dziewczynki, aż podskakiwał z radości. Kilka razy uchwycił czeladnika za ręce i naciągnął mu kapelusz jeszcze bardziej na oczy. Już, już słyszeli przyśpieszony chód dziecka. Czeladnik poruszył się niespokojnie, a duch, wstrętnie obnażony, przykucnął tuż przy czeladniku i naraz obaj uchwycili dziewczynę, zatkali jej usta i ponieśli ku rzece.

— Ach! rzekł Antoni, nie chcąc dalej patrzeć — jak wstrętnem jest życie, ile to podłości jest na tym świecie!...

Tu usłyszał głos:

— Niestety i w świecie ducha! Tu w niższym świecie orgje są jeszcze straszniejsze, niż na ziemi. Tu duch gwałci ducha, a wpływ ten łączy się i z ludźmi.

Antoni westchnął, myśląc:

— Biedne dziecko, cóż ono zawiniło, że wpadło w takie sieci!

I usłyszał głos:

— To twoja powierniczka z poprzedniego życia, ona swoim wpływem pomagała ci do osiągnięcia celu.

do złączenia się z temi, które cię teraz prześladują jako zmory. Czeladnik krawiecki — to jej były narzeczony, którego porzuciła. Poprzysiągł jej zemstę. Patrz, jak go ta klątwa prowadziła aż do tego życia! A ten duch, który razem z nim gwałcił dziewczynę, to także jej dobry znajomy. Z powodu niego ona kiedyś porzuciła swego narzeczonego, bo był ubogi, a tamten był bogaty. Darowywał jej klejnoty, kupione za pieniądze, wygrane w oszukańczej grze w karty. Z powodu przegranej pozbawiło się kilku jego nieszczęsnych partnerów życia.

Patrz, ty będziesz posądzony o ten niecny czyn, żeś zgwałcił dziewczynę. To Karma, przez to niezasłużone oszczerstwo wyrównasz znowu coś złego z dawnych czasów, co cię z tymi ludźmi łączyło. Zły duch nie ma już prawa do tego młodzieńca (czeladnika). Przez podanie faktycznego stanu uwolnisz czeladnika od wpływu tego ducha, nie będzie go już pchał do dalszej zguby.

Powiedz spokojnie, kto jest sprawcą zgwałcenia dziewczyny, ale nie mów tego z oburzeniem. Weź także pod opiekę tę dziewczynkę, niebawem zawiozą ją do szpitala. W świecie ducha męczyła się ogromnie przez cały czas, w obecnem życiu jest już też na lepszej drodze.

Dawniej, przyjmując jej usługi, popychałeś ją niejako wraz z niskiemi duchami do zwodniczej rozkoszy — do złego. Pomóż jej teraz utrzymać się na dobrej drodze! Zaopiekuj się bodaj chwilowo nią i jej babką! Ta była dawniej jej matką i wylała wiele łez z powodu

swej córki. Początkowo cieszyła się z dobrej posady córki, ale jakże się później zmartwiła, gdy spostrzegła, w jaką zgniliznę życia córka jej wpadła! Trzeba ci wiedzieć, że niskie duchy zatruwały dziewczynę swemi fluidami przez ciało mężczyzny. I w tem życiu pokutują jeszcze w niej te fluidy. Ciało ma wątłe, płuca i serce słabe, a we krwi bakcyle tuberkulozy.

Antoni wzdrygnął się i zapytał w myśli:

— Jakto? Czyż wszyscy z podobną chorobą mają za sobą takie wstrętne życie?

— O nie — brzmiała odpowiedź — nie wszyscy, nie. Gdybyś mógł widzieć aurę ludzi podobnie chorych, zrozumiałbyś, które fluidy pochodzą z poprzednich żywotów tego rodzaju, a które są wytworem innych wypadków, warunków życia, spowodowanych Karmą. I ty nie chorujesz tylko przypadkowo ze zaziębienia, twoje stare „ja“ wali się w gruzy. Przepala się też wszystko w twoim organiźmie, przepalają się wszystkie magnetyczne fluidy, złączone tak z ciałem astralnem, jak i widzialnem, materjalnem; palą się w tej aurze wszystkie elementale, które już nie mają prawa do ciebie; pali się żądza, rzucona w tem życiu na ciebie przez te trzy istoty, przybierające postacie tancerek. Postać pierwsza, poprzedzająca zwykle trzy tancerki, jest już od kilku lat oddaloną od ciebie. Zjawisko niby jej — to już nie ona — to tylko fala przeżytych z nią uczuć, a to uczuć niższego stopnia, które się w twej bliskości niemal materjalizowały. Przekleństwo, rzucone przez nią — że niby ona głową załamuje futrynę drzwi i ta się wali i wraz z nią pada na ciebie,

to przekleństwo pali się teraz w twojej aurze. W tem życiu będziesz już wolny!

W silnej gorączce, dochodzącej do $41^{3}/_{10}$ stopni, jaką przechodzisz w tej chwili, nie mógłby twój duch zachować świadomości w ciele. Przez twoje cielesne oczy nie poznałbyś wyraźnie ani ludzi, ani przedmiotów, myśli ludzkie, trzeźwe, nie mogłyby świadomie przechodzić przez komórki mózgowe. Mówiłbyś nie do rzeczy, bez przytomności — majaczyłbyś, jak to mówią na ziemi. Widziałbyś więcej świat duchowy, niżeli świat ludzki. Któżby ci uwierzył, gdybyś im powiedział, żeś ze mną rozmawiał, gdybyś im opowiedział, coś tu widział?... Nazwaliby to krótko majaczeniem.

Antoni westchnął i zbliżył się do dobrego ducha. Ten wyciągnął do niego ręce, jak do objęcia, a Antoni, zbliżywszy się nieśmiało, pochylił głowę i wyszeptał:

— Boże! Boże!

Dobry duch uchwycił pochyloną głowę Antoniego i ustami dotknął jego czoła. Pocałowanie to rozjaśniło jeszcze bardziej przestrzeń naokoło jego ducha, głowa stała się lżejszą, otoczył go spokój i otucha. Spojrzał w szerokie przestworza. Ach, jak mu było dobrze!

— Gdybym już tak tu mógł pozostać! — pomyślał sobie.

— Nie, nie, mój bracie! Ty tu teraz nie możesz pozostać; pamiętaj, że się rozpoczyna twoje nowe życie. Umiera niejako przeszłość, ta zła przeszłość, ale w twem nowem życiu będzie się jeszcze odbijać echem, jak fale o brzegi morza. Teraz już możesz wrócić do ciała, płomień maleje, gorączka spada.

Antoni spojrzał wylękłym wzrokiem na miłego towarzysza. Żal i lęk wstrząsnęły wnętrzem jego ducha. Bał się iść do ciała, bał się iść do tego otoczenia, w którem znajdował się na ziemi. Obawiał się, czy zdobędzie się na tyle siły, aby walczyć z miłością i spokojem przeciw temu, co jeszcze ku niemu przypłynie. I odezwał się do ducha:

— Przyjacielu, nie przypominam sobie, gdziem cię już widział, ale odczuwam, że cię już dawno znam. Powiedz mi, powiedz, czy dobry Bóg nie oszczędziłby mi tych katuszy?! Czy nie mógłbym już tu pozostać? Tu niema sposobności do grzechu, tu jest błogi spokój. Nie odsyłaj mnie już na ten nędzny świat, świat pełen grzechu i zdrady!

— Ucisz się! — odrzekł duch i podniósł nad nim swe dłonie. Zdaj się na wolę Bożą, On ci pomoże! Nie myśl o pozostaniu w tej błogiej ciszy! Gdybyś teraz siłą woli porzucił twe ciało i nie wrócił do niego, nie byłbyś zwycięzcą zła. Ono prześladowałoby cię i za grobem. Najpierw nieszczęsne duchy starałyby się u władz utrwalić podejrzenie żeś doprawdy zgwałcił ową dziewczynę. Jak czarna chmura wlokłoby się to za tobą do świata duchowego.

A twoja matka! czyż ten twój ziemski anioł-stróż zasłużył na ten cios, aby taki cień rzucono w jej ducha, żeś umarł we więzieniu, że cię tam wrzucono za niecny czyn? Ludzie i niskie duchy stwarzaliby różne brudne domysły na poczekaniu. Patrz, jak przez usta pokojówki mówił nieszczęsny duch, że masz z cyganami jakieś nieczyste sprawy, że zadusili młodzieńca i rzu-

cili go tygrysowi na pożarcie, a pieniądze zabrali... Patrz, jak ksiądz uległ pokusie i zdradził tajemnicę spowiedzi — patrz jak to sprytnie zmieszano w jego głowie; przypuszczenie, żeś tu na ziemi zamordował 3 istoty, podał jako realną prawdę... Patrz, pokojówka zeznała, że widziała uciekającą cygankę ze sztyletem... Patrz, twoje ubranie już też badano i ma służyć jako corpus delicti, że przy zgwałceniu dziewczyny powalałeś i podarłeś ubranie.

Antoni zrozumiał swoje położenie i krzyknął:

— Cóż mam robić? Tyle złego, tyle złego!...

A duch odezwał się:

— I mnie jest przykro otwierać ci oczy na to szkaradne zło, lecz jakżebym cię mógł ustrzec, gdybyś nie wiedział prawdy. Idź w imię Boga! Przyjdziesz tu znowu po odwiezieniu z więziennego szpitala do lepszego otoczenia; pozostaniesz tu wówczaz ze mną 2 dni i 2 noce. Będziemy się modlili, byś nabrał siły do nowego życia, pouczę się, co masz omijać, byś znów nie upadł duchowo. Nie żądaj jednak więcej ode mnie, niż na to pozwala twoja Karma, której nie mogę odsunąć, ale chciałbym ją tylko złagodzić! Do tego dopomóż mi Bóg!

Antoni przyłączył się do ciała. Przeżycia w świecie ducha zatarły się w jego pamięci.

Zaczęło dnieć, była 5 godzina. Zrzuciwszy koc z siebie, wstał, potoczył się ku drzwiom i zawołał słabym głosem, by mu otworzono. Niebawem zjawił się posterunkowy przy okienku. Antoni prosił, żeby go przesłuchano, bo się źle czuje; gdyby zaś nie mógł być

zaraz przesłuchany, to prosi o lekarza. Na to dpowiedział posterunkowy:

— Gdyby się pan naprawdę źle czuł, nie stałby pan u drzwi. Co do przesłuchania, to nie prędzej, jak za 3 godziny ono nastąpi, gdyż teraz dopiero piąta.

Antoni chciał wrócić na posłanie, lecz będąc wyczerpany, potoczył się i upadł na ziemię. Mimo wysokiej gorączki i bólu w boku nie stracił przytomności umysłu. Czuł, że ta boleść cielesna nie jest jeszcze tak wielką, jak boleść ducha. O, jakże się czuł poniżony, zdeptany, jak robak! Leżał na brudnej podłodze i nie miał siły się podnieść.

Tymczasem miarowe kroki posterunkowego znów przy drzwiach ucichły, widocznie zaglądano przez okienko, bo po chwilce zgrzytnął klucz w zamku i do celi wszedł klucznik z posterunkowym. Pierwszy z nich chwycił brutalnie Antoniego za rękę, mówiąc:

— Co pan wyprawia? Wstań pan i nie symuluj choroby! My się tu znamy na tych sprawkach...

Urwał. Przyglądając się baczniej Antoniemu, ozwał się ostro do śmiejącego się głośno posterunkowego:

— Ależ ten człowiek jest rzeczywiście chory — a wziąwszy go za rękę, mówił dalej, ale już z większem podnieceniem:

— Przecież pali, jak ogień!

Klucznik pomógł Antoniemu położyć się na posłaniu. Niebawem przyszedł i lekarz więzienny, założył termometr i skonstatował 40 stopni gorączki. Zaraz kazał chorego przenieść do szpitala więziennego. Badając Antoniego w szpitalu, stwierdził zapalenie płuc w le-

wym boku i zapalenie gardła. Przy tak wysokiej gorączcze nie dopuścił lekarz do przesłuchania Antoniego, ale zato władze więzienne zapytywały telefonicznie w miejscu zamieszkania matki Antoniego, czy ma rzeczywiście syna w tej miejscowości. Po nadejściu twierdzącej odpowiedzi powstał w szpitalu i wogóle we więzieniu popłoch. Prędko polecono przewieźć Antoniego do szpitala miejskiego. Dla znieczulenia bólu otrzymał przed transportem injekcję.

Po otrzymaniu zastrzyku uczuł nagle, jak ciało przestaje mu ciężyć; krew zaczęła powoli krążyć i przy każdym obiegu, jakby wahając się, czy ma napłynąć do komórek serca, na progu serca błyskawicznie przystawała, a potem niejako przeskakując je, rozprężała arterje, jakby chciała trysnąć aż poza jego ściany. W głowie powstał niewyraźny szum, kłucie w boku zamieniło się w jakieś dziwne drapanie i pukanie, idące z płuc nad żebra gdzieś aż pod skórę.

Rozdział VI.

Początek letargu.

I stracił przytomność, przytomność ludzką. Zemdlał, swoich pięć zmysłów zostawił w rozpalonem ciele. Wszedł w inne czucie, w inne zmysły, daleko subtelniejsze i wyraźniejsze od zmysłów ciała materjalnego. Spojrzał jeszcze na nie, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego to ciało tak drży. Był od niego oddalony na cztery metry, zawisł nad niem, a miał wrażenie, że astralne stopy ma uwięzione w dachówkach szpitala; mógł jednak niemi wolno poruszać. Przez stopy był jeszcze złączony z ciałem, bólu już jednak nie odczuwał. Smugi magnetyzmu promieniowały dokoła ciała, a on patrzał przez dach i ściany szpitala na to ciało.

Wtem odczuł dotknięcie ramienia. Był to jego duch opiekuńczy. Przypomniał mu obietnicę, że po przewiezieniu go do miejskiego szpitala będą mogli spędzić razem dwie doby.

— Patrz — mówił, wskazując na jego ciało, leżące na łóżku w szpitalu — tam również będzie czuwał nad niem jeden z braci-duchów, bo opiekunowie w szpitalu nie potrafiliby go obronić od napaści i zniszczenia. Źle

się walczy nieprzyjaciołom z twym duchem, bo się często łączysz myślą z najczystszą siłą — z Bogiem.

Obok ciała ujrzał Antoni ducha o spokojnej twarzy, patrzącego do wnętrza ciała. Antoni zapytał zaciekawiony:

— Kto to?

Duch przy ciele nie spojrzał na Antoniego, tylko lekki uśmiech okrasił jego wargi. Słyszał zapytanie Antoniego. Zawisło ono nad głową ducha i igrało w jego aurze. A duch opiekuńczy ozwał się:

— To lekarz, twój przyjaciel. Przypomnij sobie, razem chodziliście do szkoły. Potem on poszedł na medycynę, a ty na filozofję i wówczas drogi wasze się rozeszły — ale za czasów szkolnych przyjaźniliście się. Będąc synem biednego tercjana i dorożkarza, nieraz przymierał głodem, boć w domu było jeszcze siedmioro rodzeństwa. Tyś lubił tego cichego, skromnego młodzieńca i nieraz zastanawiałeś się nad tem, skąd u tego chłopca taka wysoka inteligencja, poczucie piękna i bystry rozum.

Pamiętasz? Nieraz się sam za siebie wstydziłeś, widząc jego wyższość duchową. Ale on tą wyższością nie raził swego otoczenia — był dobrym kolegą nawet i dla tych, którzy trochę zgóry nań spoglądali dlatego, że biedny! Tobie nieraz pomagał w zadaniu szkolnem.

Wtem Antoni rozszerzonym wzrokiem ducha poznał kolegę.

— Karolu! — zawołał w duchu i wyciągnął ręce w jego stronę.

Lecz duch ochronny złapał go obiema rękami i przytulił do siebie, mówiąc:

— Nie, nie, teraz nie możesz iść do kolegi!

W tejże chwili ujrzał Antoni, jak Karolek popatrzył rozrzewnionym wzrokiem w jego stronę, a na jego powtórne zawołanie: „Karolu“ — trwoga odmalowała się w oczach przyjaciela, jakby się obawiał, iż Antoni wysunie się z objęć opiekuna i zbliży się do niego, a tem samem przyłączy do ciała. Podniósł tylko ostrzegawczo rękę, aby Antoni się nie zbliżał

Antoni patrzył zdumiony na obu. Ale duch opiekuńczy, otulając go jedną ręką, począł się z nim oddalać od szpitala. Domy stawały się coraz mniejsze. Nagle coś zadźwięczało, zagrało, coś frunęło obok nich.

— Co to? — pyta Antoni.

— Nie poznałeś? To skowronek!

— Ależ to dziwne! Nie widziałem nic, tylko taki płatek, jak liść, i tyle dźwięku z niego się wydobywało.

— Tak, bo też ptaszyna ta to naprawdę sam cudny dźwięk. Inaczej się odbija śpiew skowronka o uszy człowieka, a inaczej o uszy ducha. Przypominam sobie jeszcze, jak i ja słuchałem tego śpiewu niegdyś jako człowiek na ziemi; tak lubiłem ptaszęta, a szczególnie skowronki! To też kiedy się schylam ku ziemi czy to tu, czy na innym kontynencie, w tak zwanych ciepłych krajach, to te kochane stworzonka zataczają naokoło mnie kręgi, przyśpiewując mi.

Wtem znów dwa ptaki, błyszczące jak słońce, zaczęły się przed nimi unosić, igrając i wzlatując jeden ponad drugiego. Napełniały aury duchowe Antoniego

i jego opiekuna cudnym śpiewem. Antoni zauważył przytem ciekawe zjawisko, mianowicie przy wymijaniu się wzajemnem ptasząt strzelił zawsze mały snop iskier.

— Co to jest? — zapytał, a odpowiedź brzmiała:

— To sympatyczne promieniowanie ciał astralnych, tak zwane promieniowanie dusz. To miłe ciepło z duszek tworzy ów snop iskier. Kiedy strzelą te iskry, ptaszęta są najweselsze, najszczęśliwsze, czują w sobie pełnię życia.

Antoni zapragnął chwycić do ręki ten słoneczny płatek i przyjrzeć mu się lepiej, chciał bowiem wiedzieć, czy w tym płatku pozna kształty szarego ptaszka, skowronka. Lecz ledwo to pomyślał, cudna muzyka zaczęła cichnąć, a ptaszki jak wylękłe poczęły się oddalać, sprawiając tem Antoniemu dużą przykrość. Wówczas opiekun wyciągnął dłonie w stronę dwu znikających złotych płatków, a te, jakby unoszone wiaterkiem, zaczęły na nie opadać. Im bliżej były dłoni, tem bardziej cichły, jak zalękłe. Antoni pochylił się nad niemi, ale one wydały żałosny dźwięk, jak jęk bolesny.

Duch opiekuńczy jedną ręką trzymał te dwa złote płatki, a drugą odsunął lekko Antoniego, mówiąc:

— Nie dotykaj! Starłbyś ten złoty promień z tych ptasich dusz.

Antoni spojrzał odruchowo na swe ręce i skrzywił się boleśnie; zawstydzony opuścił je. Ręce były jakieś nie bardzo czyste, a pomimo, że dłonie i palce także promieniowały, to zwisały z nich jednak szare strzępy, jakby strzępy teleplazmy zwierzęcej i to teleplazmy dzikich, drapieżnych zwierząt.

Tymczasem opiekun objaśniał dalej:

— Gdybyś pogłaskał te ptaszęta, przygasiłbyś na ich skrzydłach magnetyzm słoneczny i ociężałe nie mogłyby się unosić wgórę ku słońcu, ale opadłyby na ziemię, jak schorzałe i nie wiem, czy na długo nie ucichłby ich błogi śpiew.

— To dziwne — powiedział Antoni — a gdybym tak na ziemi pogłaskał je swoją dłonią, czy to także spowodowałoby takie przykre następstwa?

— O nie, na ziemi na widok twój jako człowieka w ciele również by się spłoszyły, ale siedząc pod szarą grudą ziemi, do której upodobnione jest ich ciało, nie ujrzałyby tak dobrze twego ducha. Tu jesteś duchem, owiniętym w ciało astralne i tobie niknie ich ciało materjalne, a im twoje, bo zostawiłeś je na ziemi — więc ty widzisz ptaszęta w ich postaci duchowej i możesz tem samem ocenić ich duchową wartość, a one twoją... no i nic dziwnego, lękają się ciebie — dodał z pobłażliwym uśmiechem.

Dmuchnął raz i drugi na dwa stulone złote płatki i te, kołysząc się lekko, poleciały. Ale jakże się wymęczyły! Chciały wzlecieć w górę i nie mogły, opadając powoli ku ziemi.

— Czy im się co nie stało? — zapytał Antoni.

— Nie obawiaj się, to tylko twój wzrok hipnotyzuje je, paraliżuje lot i śmiałość śpiewu.

Antoni westchnął, lecz duch opiekuńczy dodał wesoło:

— No, głowa do góry, nie trać ufności i wiary w lepsze życie i lepszą szatę ducha. Jeżeli będziesz

słuchał dobrych rad, to możesz stać się czystszym ode mnie. Kiedy już będziesz mógł się tak lekko poruszać, jak ja, to dostaniesz innego opiekuna, a może i dwóch, jeśli taka będzie wola wyższa — to będzie zależało od zadania, jakie ci będzie przydzielone w świecie, albo w zaświecie i jakiego się podejmiesz z dobrej woli, zdając się w swej pracy na wolę Bożą.

Wtem odczuł Antoni w sobie jakieś drgnięcie; zauważył, że tak samo drgnął jego opiekun i skupienie odmalowało się na jego duchowej twarzy. Nastąpił wstrząs drugi, trzeci... Antoni odczuł jakąś dziwną obawę i jakby go coś ciągnęło w dół na ziemię. Lecz duch opiekuńczy przytrzymał go, mówiąc:

— Stań za mną, oprzyj się o mnie i nic a nic się nie bój. To jest niejako magnetyczny sygnał, magnetyczne drgnięcie.

Antoni usłuchał rady, stając za jego plecami. Kiedy położył dłonie na ramieniu duchowego swego przyjaciela, uczuł nowy wstrząs, odmienny od poprzednich; nie odczuwał już przy nim lęku.

Wtem znów odezwał się opiekun:

— A teraz patrz przeze mnie, patrz przez moją głowę. Czy widzisz tę smugę drżącą? widzisz tę falę?

Antoni patrzył zdumiony. Szeroka na 4 metry fala unosiła się od nich aż ku ziemi do szpitala na łoże, na którem leżało jego ciało. Tuż nad ciałem mocno się zwężała, tworząc dwa węzły; przez jeden węzeł przechodziła smuga drgającego magnetyzmu, która poczynając się w jego ciele, następnie jakby sznurkiem otaczała przyjaciela Karola, przez drugi węzeł przechodził,

ciągnąc się wzdłuż szerokiej na cztery metry fali magnetycznej, drugi wyrazisty sznurek, falując od jednego jej krańca do drugiego. Górny jego koniec sięgał aż do Antoniego i opiekuna — dolny znów owijał Karola.

— Co to jest, co to znaczy?

— To kontakt z twem ciałem. Karolek zmagnetyzował się z niem, by ci nieść pomoc, ja również. I ty naturalnie także jeszcze z niem jesteś połączony. A te wstrząsy pochodzą stąd, że obecnie lekarz szpitalny bada twój stan choroby, i dotknięciem swoich rąk miesza niejako swój magnetyzm z twoim. A że, badając twoje ciało, myśli przytem, iż godziny twoje są policzone, szarpie przez to nielitościwie samem centrum magnetyzmu i stąd te drgnienia. Staraj się o ile możności zachować neutralność w tej chwili, a ujrzysz sam wiele bez mojego tłumaczenia; tylko patrz uważnie przeze mnie i po tej fali na ziemię. Możesz dokładnie słyszeć i rozmowę, prowadzoną przy twem łożu.

I w tejże chwili usłyszał Antoni:

— Krążenie krwi powoli ustaje, tętno serca ledwo dosłyszalne... Nogi od stóp do kolan zimne... dłonie jeszcze ciepłe, ale już sinieją paznokcie.

— Dziesięć minut już w katalepsji... nic dziwnego! — odrzekł drugi lekarz. Gorączka ponownie podniosła się na 42 stopnie, a teraz takie nagłe opadnięcie pod stan normalny! Organizm przedtem wycieńczony, więc nic dziwnego, że się to skończy katastrofalnie.

Przy myśli „katastrofalnie skończy“ znów powtórzyło się gwałtowne drgnięcie i białawy sznur w środku fali magnetycznej zaczął się rzucać niespokojnie.

Wtem opiekun Antoniego zawołał w stronę fali:

— Nie! Nic takiego się nie stanie! Za wolą Bożą wyzdrowieje ciałem i duchem!

Myśl ta przesunęła się po fali, jak błyskawica, walcząc z myślą o katastrofalnym końcu Antoniego. Nadeszła jej z pomocą podobnaż myśl z dołu, od strony ciała, wysnuta przez Karola. W samym środku fali, pomiędzy Antonim, a jego ciałem obie zbawienne myśli zgniotły myśl lekarza, starając się pozbawić ją życia.

Doktór, patrząc w twarz ciała Antoniego, zmarszczył brwi i dodał półgłosem:

— A może, może... Ma teraz przełomową chwilę. Może przetrwa ten kryzys i będzie żył!

Ostatnią myśl: „i będzie żył" powtórzył także duch Karolka. Jak błyskawica znów poleciała środkiem magnetycznej fali, otoczyła drgającą jeszcze myśl o katastrofie i zaczęła nią rzucać, ta zaś malała, zwijała się w niekształtny kłębek i nikła — lecz nie znikła zupełnie. Antoni, choć z pewnym wysiłkiem, mógł jeszcze przeczytać w tym zwiniętym kłębku słowa lekarza — ale miał wrażenie, że ta myśl w tym kłębku jest tak zmięta, jak gdy zemnie się w drobną gałeczkę kawałek papieru, na którym napisane są pewne słowa, i wrzuci się to jako niepotrzebny już świstek, do kosza; podobnież i ta myśl zwinięta i porzucona zawisła w obrębie jego aury.

Odszedł doktór od Antoniego — został jednak lekarz-duch, t. j. Karolek przy jego ciele. Spojrzał na słabo promieniujące nogi; ręce również bardzo słabo promieniowały.

Tymczasem zbliżyła się siostra miłosierdzia. Dotknęła ręką nóg Antoniego, a następnie chwyciła jego rękę, szukając pulsu. A była to naprawdę istota miłosierna, cierpiała z cierpiącemi i cieszyła się radością powracających do zdrowia. W chwili, gdy trzymała rękę Antoniego, Karolek uchwycił swoją ręką jego drugą rękę i patrząc swojemi dobremi oczami na siostrę, łączył się niejako z jej magnetyzmem, przenosząc go na ciało Antoniego.

I zaraz krew poczęła lepiej krążyć, a nogi nawpół sztywne i bardzo chłodne zaczęły się zagrzewać prądem magnetycznym, przenoszącym się mocno od ciała z rąk dobrej pielęgniarki. Ona nie wiedziała, ile dobrego czyni, trzymając troskliwie rękę Antoniego. A nawet, gdy puściła jego rękę i usiadła obok łoża, magnetyzm z jej ciała przenosił się do ciała Antoniego, działając w niem zbawienniej, niż transfuzja krwi, jaką się praktykuje niekiedy u chorych.

Antoni zdumiony patrzył, jak z jego ciała pomału od głowy zaczęły strzelać w stronę Karolka ogniki magnetyczne, a otoczywszy Karolka jak błyskawica, przerzuciły się na siostrę miłosierdzia i biegły znów już w równej linji ponad jego piersiami: jedne w stronę siostry, drugie w stronę Karolka. Łączyły się na chwilkę w samym środku, to jest nad sercem leżącego jego ciała.

Siostra westchnęła raz i drugi i silne ziewanie zaczęło aż wstrząsać jej drobną główką; przymknęła powieki, myśląc w ogarniającej ją dziwnej drzemce:

— To dziwne! Kiedykolwiek usiędę przy chorym bardzo osłabionym, to prześladuje mnie to silne, nieprzeparte ziewanie i odczuwam takie niewytłumaczone dreszcze. O! — pomyślała, schylając się i głaskając ręką nogi: — I te nogi taksamo są zimne, jak u tego chorego, a ręce ścierpnięte i coś w nich lekko rwie, a po całej krwi coś goni, jak mrówki.

Wstała i oddaliła się od łoża. Z chwilą, gdy zbliżyła się do innego chorego, znikło to uczucie, natomiast odczuła znów inną zmianę w organiźmie, znowu bowiem trochę dolegliwości przeniosło się od chorego do jej ciała, kiedy tyko wysłuchała jego żalów, lub sama się wmyśliła w jego cierpienia. Do innych chorych nie płynął jednak magnetyzm z jej dłoni i aury tak celowo, jak do ciała Antoniego, bo tam kierował nim świadomie duch Karolka.

Antoni wiedział już jasno, ile dobrodziejstwa czyni dla niego Karol — i to nietylko dla ciała, lecz i dla ducha — rozumiał to już bowiem, że może w tem oczyszczonem i posilonem ciele zacząć nowe życie. To też powiedział:

— Karolu, ty dobry duchu, kiedy ci się odwdzięczę?!

Karol przy jego ciele drgnął i posłał mu ręką od ust całusa.

Wtem zwrócił się też do Antoniego opiekun, mówiąc:

— Możemy się wznieść trochę wzwyż — niebezpieczeństwo dla ciała twego minęło.

— A gdzie się teraz znajdujemy? — zapytał Antoni.

— Niezbyt daleko od ziemi, jesteśmy w tym obwo-

dzie ziemi, do którego nie mogą się już wznieść balony i samoloty z ludźmi, a jednak materja może się utrzymać, nie kierowana już ludzką ręką. Tu naprzykład rzucić może siła wiatru i grozą przejmujący wybuch wulkanu popiół, rozprószoną lawę ze wszystkiemi jej składnikami. Im większa siła wybucha, tem więcej osadza się tu tych składników i tem szybciej to następuje. Dolecą tu w takich zgrupowaniach, jak zostały wyrzucone z ziemi, ale następnie ulegają częściowej przemianie, i nigdy stąd nie spadają na ziemię takie, jakie tu zostały wyrzucone, a po części też i przez tutejszą atmosferę elektryczną wciągnięte. Spadają na ziemię, jako drobny pyłek, przybierając rozmaite kolory — według tego, jakie składniki w nim przeważają. Trwale tu zostać nie mogą, bo ziemia je przyciąga z powrotem, ale zwykle już nie spadają na to samo miejsce ziemi, skąd zostały wyrzucone, lecz gdzieś w znacznej odległości od miejsca wybuchu. Ziemia je ciągnie ku sobie, a kiedy elektryczność ziemi zacznie bardziej promieniować, i ściągną się chmury, wywołane, jak wiesz, ciepłem i wilgocią ziemi, zaczynają spadać te płateczki drobne, powodując elektryczny zamęt i sprzyjając wytworzeniu się wichru nad chmurami i niżej. Unoszone w tym żywiole są miotane, aż dostaną się w gęste chmury, a te ociężałe zrzucają w kroplach wody — nieraz w ulewie — ten popiół na ziemię, tworząc t. zw. błotnisty deszcz. Jeśli spadną nie do chmur, mogą spadać na ziemię jako popiół.

Czasem znów na ziemię spadają z góry kawałki lawy, lub różnych pojedyńczych jej części w postaci minerałów mniejszych lub większych. Dzieje się to

wówczas, gdy wyrzucone w górę nie dotarły do tego obwodu, miotane i rzucone znów na ziemię wichrem drugiego rzędu, który nie potrafi rozłożyć lawy w pierwiastki. Ta siła drugiego rzędu może dosięgnąć tylko do tej wysokości, jaka jest dostępna dla ludzi w różnych zbudowanych przez nich przyrządach lotniczych.

A teraz powoli przesuniemy się nieco wyżej. Uważaj dobrze, bo teraz przy przechodzeniu w sferę dalszą, uczujesz coś niesamowitego w ciele astralnem.

Nie dokończył jeszcze mówić, gdy już zaczęli się posuwać wyżej. Antoni zaczął odczuwać silne wydłużanie swego ciała astralnego — miał wrażenie, że jakaś siła ciągnie go wgórę, a inna wdół. Nie było to bynajmniej miłe uczucie. Ogarniało go z coraz większą siłą jakieś niesamowite drżenie i lęk przestrzeni, zmieszany z zawrotem głowy, jakiego się doświadcza na wysokich szczytach gór spadzistych, gdzie nie można bezpiecznie stanąć, bez trzymania się lub podparcia o coś.

Nagle zdało mu się, jakby został opasany czemś, co go całkiem swobodnie zaczęło unosić wgórę. Nie były to ręce jego opiekuńczego ducha — były to pasemka fluidyczne, splecione jakby w warkocz i owinięte dokoła niego w połowie ciała. Opiekun znajdował się już wyżej i zapomocą fluidarnej siły magnetycznej przyciągał Antoniego. Trwało to króciuchną chwilę — i już Antoni zawisł swobodnie u boku opiekuńczego ducha.

Odetchnął głęboko i, jak zauważył, odetchnął wraz z nim i opiekun. Zdumiał się, bo nie przypominał sobie, żeby oddychał od chwili odłączenia się od ciała.

Podniósł na opiekuna oczy, w których zabłysło zapytanie: „Gdzie się znajdujemy?“

— Przeniosłem się z tobą do sfery ciszy i to ciszy drugiego rzędu, by duch twój mógł odetchnąć, wypocząć i rozejrzeć się świadomie szerzej naokoło siebie.

Antoni odezwał się:

— Mówisz o sferze ciszy drugiego rzędu — a gdzie jest sfera ciszy pierwszego rzędu?

— Tę sferę masz za sobą. Jest to sfera, do której przechodzą ludzie zwykle po zaśnięciu, gdy zmysły ich cielesne stają się niewrażliwe. Mówi się, iż człowiek zapadł w sen; duch uwalnia się wówczas od ciała i przenosi do sfery ciszy, inaczej: świata snu. Nazwa: sfera ciszy, pochodzi stąd, że dla niejednego panuje tam istotnie cisza, o ile nie dojrzy obrazów życia, tętniącego tam, lub o ile mu one zostaną rozmyślnie z jakichś powodów zasunięte. Niektórzy zresztą nie pozostają w sferze snu, lecz przy pomocy innych istot, przychodzących już ze sfery duchów, udają się na dalszą wędrówkę w zaświecie.

Przypominasz sobie ów moment, gdy odłączywszy się od ciała, przesuwałeś się przez mury szpitala, a zauważyłeś, że nogi twoje jakby tkwią w dachówkach. Gdybyś był wówczas odchodził od zdrowego, a znużonego ciała i zauważyłbyś to, że nogi ci ugrzęzły, niejasna świadomość, co się z tobą dzieje, spowodowałaby pewne wzdrygnięcie. Zdarza się to nieraz, że ktoś przy zasypianiu doświadczy takiego uczucia; wzdrygnie się nagle, rzuci rękami, albo całym sobą na łożu. Zazwyczaj nie zdaje sobie sprawy, dlaczego się obudził, dla-

czego się przeląkł — kładzie to najczęściej na karb krążenia krwi w organiźmie, lub innej podobnej przyczyny fizjologicznej. Bywa też tak, iż ktoś odłącza się od ciała, a nagle ujrzy pędzące konie i usłyszy turkot wozu — i budzi się. Pędzące konie, czy wóz, to już najczęściej obraz z astralnego świata — a turkot może pochodzić z jakiegoś innego odgłosu, odbijającego się o bębenki słuchowe i zataczającego niepokojące kręgi aż do rzeszy snu. Toteż niejeden zdumiewa się przy przebudzeniu, że tak wyraźnie przecież mu się śniło, iż to i to wydawało jakieś odgłosy, a tymczasem zastał jakiś trzask, lub t. p., zupełnie skądinąd pochodzący, a tak złudnie łączący się z jego snem.

Antoni zaczął się powoli rozglądać, a zdumienie jego nie miało granic. Nie wiedział, gdzie patrzeć. Poprzednio myślał, że sam tylko unosi się ponad ziemię, z opiekuńczym duchem, a tu ujrzał na wszystkie strony całe morze duchów, do złudzenia podobnych do ludzi — pozatem różne zwierzęta, a czasami tylko jakieś paszcze z nieokreślonym wyrazem, głowy bez tułowia, tworzące jednak dziwną całość dla siebie.

Spojrzał na opiekuna, nie wiedząc o co pytać, gdzie patrzeć; lecz ten uśmiechnął się do niego dobrotliwie, mówiąc:

— Obserwuj to wszystko spokojnie, a o ile tylko możesz, neutralnie; nie staraj się wniknąć w istotę rzeczy tak, abyś się nie łączył z tem wszystkiem, nie zwracaj się z zapytaniem w żadną stronę, bo tem samem przyciągnąłbyś to ku sobie, a to niezawsze jest dobre. Chodzi mi bowiem nietylko o to, że różne larwy są

mniej lub więcej złośliwe, ale przyłączyłyby się i różne niepowołane siły, duchy i znalazłbyś się osaczony, w niebardzo miłem dla siebie towarzystwie.

Ja na chwilę od ciebie teraz odejdę, bo mam jeszcze inne zadanie — a ty obserwuj spokojnie. Możesz ujrzeć i dobre rzeczy, które ci się przydadzą bardzo na ziemi dla twego przebudzenia się duchowego w świadomym stanie człowieka, byś mógł jasno uprzytomnić sobie przyczyny różnych zjawisk, dotąd ci nieznane w świadomości ludzkiej, przyczyny niepokoju itd.

Antoni, słysząc, iż opiekun zostawi go samego, odczuł coś w rodzaju obawy, czy tęsknoty, oraz jakby chęć wrócenia do ciała. Zauważył to opiekun; położył mu ręce na głowie i zaczął się modlić. Lecz modlił się dziwnie cicho. Myśli modlitwy jasną smugą otaczały głowę Antoniego, rozlewając przyjemne ciepło po całym obrębie jego ducha.

Antoni wiedział, że duch opiekuńczy się za niego modli, że napełnia go też własną siłą duchową i wiarą w Boga. Westchnął znów głęboko, a uczuł, że westchnieniem tem łączy się z opiekunem. Myśl opiekuna, jego modlitwa, poprzednio dla Antoniego tak dziwnie nieuchwytna, zadźwięczała, czyła w głębi jego ducha — i już czuł, że wżywa się w nią, że wraz z opiekuńczym duchem jakby jednemi usty powtarza myśli w jednem tchnieniu, jakby zlany w jedno z nim w tej modlitwie.

A modląc się tak, zapomniał o otaczających go larwach, przeróżnych astralnych potworach i duchach, kręcących się pośród tego wszystkiego. Myśli ciepłe, jasne, życiodajne kłębiły się łagodnie i otaczały Anto-

niego, podnosząc go tak, że nie odczuwał najmniejszego ciężaru własnego. Czuł się lekkim, podtrzymywanym przez kłębiące się naokoło niego myśli, kołyszące jego ducha, a na twarz jego padało nieziemskie światło, spokojna jasność. Wydawało mu się, że w tym świecie ducha powstały jakieś okna, przez które świeci to łagodne słońce i przynosi z sobą orzeźwiający prąd uzdrowienia duchowego i rozradowania.

Wtem odezwał się do niego opiekun:

— Idę; ty zaś bądź złączony myślą z tym orzeźwiającym prądem, a nic niepowołanego nie dostanie się do aury twojej, oraz do tej, którą ci zostawiam.

— Do mej i do twej aury... — powtórzył Antoni i zaczął się bacznie sobie przyglądać. Zauważył, iż jest odgraniczony od otoczenia pewnym kręgiem, za tym zaś, jeszcze bardziej nazewnątrz, znajduje się drugi, częściowo w jego krąg wchodzący, szerszy i jaśniejszy: krąg jego opiekuna.

Ten odezwał się:

— Widzisz ten krąg naokoło siebie jeden i drugi? One bronią dostępu do ciebie niepowołanym siłom. Możesz być spokojny — w tym kręgu jesteś bezpiecznym: masz tu jakby „swoje miejsce", z którego możesz spokojnie obserwować wszystko, co się poza kręgiem dzieje.

Antoni spojrzał jeszcze, pytając wzrokiem, kiedy wróci jego opiekun?

— Nieobecności mojej przy tobie nie mogę oznaczyć godzinami — odrzekł tenże — choć zresztą i tu się mierzy czas, ale nie zegarem, jak na ziemi. Lecz ja

będę się kierował innym miernikiem. Nie mogę ciebie tu pozostawiać długo, gdyż chciałbym, żebyś podczas twojego letargu na ziemi, w który zapadło już twoje ciało w szpitalu, zwiedził tu tyle, ile tylko będzie mógł duch twój uświadomić sobie po powrocie do ciała. Dodam jeszcze, iż na ziemi za wielką chyżość uchodzi ta, jaką osiągnąć można w samolocie; tutaj lot przez ocean wykonać można z szybkością błyskawicy. Lecz teraz zostawię cię już. Będę miał kontakt z tobą: oto uwiążę cię sobie — dodał z uśmiechem — abyś nie spadł na ziemię, lub, co byłoby może jeszcze gorsze, pomiędzy te larwy złośliwe. Bo jeślibyś wpadł pomiędzy nie, ciągnęłyby cię w różne strony, każda ku sobie, rozrywając twoje słabe ciało astralne.

Znów uczuł się Antoni uwiązanym w pasie wstęgą, której drugi koniec znikał wraz z duchem opiekuńczym.

Rozdział VII.

W świecie larw. Walka z mocarzami piekieł.

Został sam. Zrobiło mu się przykro. Uczucie tęsknoty miało ten skutek, iż krąg ochronny zaczął się zwężać. Różne potwory, maski, larwy i duchy stały się żywsze i miał wrażenie, że zbliżają się ku niemu. Widział wyraźnie, jak ocierają się o zewnętrzny pierścień, lecz żadne z nich nie potrafiło przerwać pasa ochronnego, choć mocno już nacierały. Pas ochronny je widocznie parzył — więc za dotknięciem rzucały się nerwowo, a przez to trącały się wzajemnie.

Antoni widział to wszystko. Drżał z początku z obawy, że już zostanie porwany między nie, lecz niebawem odetchnął — poznał, że ten dziwny świat, na który patrzy, nie zwraca na niego uwagi i nie widzi go. Odetchnął z ulgą — i zaraz też zauważył, że pierścień się rozszerzył i zajął poprzednią przestrzeń; on też uczuł się pewniejszym w tem kole, larwy stawały się mniej groźne i mniej wyraziste.

Zaczął się rozglądać śmielej. Zauważył, że przestrzeń, w której larwy przebywały, ma szczególny odcień, słabo zielonkawy; pływały w tem środowisku, jak

ryby w akwarjum. Głowy miały podobne do głowy ludzkiej — niektóre tak do złudzenia przypominały twarz człowieka, że Antoni aż zadrżał ze wzruszenia, na myśl, czy nie są to ludzkie duchy, duchy zmarłych ludzi. Tak pragnąłby zapytać o to swego opiekuna, lecz tego nie było.

Właśnie przesuwały się koło pierścienia ochronnego trzy takie głowy. Jedna miała twarz kobiecą, wskazującą na wiek około 24 lat; druga głowa miała twarz starej kobiety, o zmarszczonem czole i mocno zagiętym nosie, sięgającym do kończystej brody; trzecia głowa — była to głowa mężczyzny, cała zarośnięta ni to wąsami, ni kolcami. Twarz młodej kobiety płynęła leżąco, twarz starej kobiety o złośliwym wyrazie była nad nią nachylona, twarz zaś z dzikim zarostem bardzo prędko uwijała się dokoła obu tamtych głów, śmiejąc się ustawicznie i długim językiem dotykając czoła dziewczyny. Głowa tejże za każdem dotknięciem języka poruszyła się nerwowo, jakby jakiś owad usiadł jej na czole. Od głów wszystkich trojga ciągnęły się jakieś strzeliste ogony; raz zarysowywały się wyraźniej, to znów nikły w szybko tworzących się fałdach jakiejś dziwacznej fluidarnej materji.

Antoni zapomniał o przestrodze. Żal mu się zrobiło osaczonej głowy kobiety; choć nie widział w niej wiele ruchu, była bowiem jakby zamarłą, pomyślał, jakim sposobem możnaby ją uwolnić i przyjrzeć się jej bliżej. Lecz wszystkie trzy głowy znacznie się już tymczasem oddaliły. Antoni pomyślał: „Puśćcie ją, niech będzie wolną!“

I stała się rzecz dziwna: zaczął się kołysać w pierścieniach, a twarz kobiety, już nie leżąco, ale zwrócona ku niemu przypłynęła, jak strzała, do pasa ochronnego, lecz na skraju tegoż zatrzymała się. Teraz dopiero przyjrzał się jej rysom.

Ładna była — jakąś niesamowitą pięknością — tylko oczy — te oczy przedtem przymknięte, były teraz szeroko otwarte i jedno większe, niż drugie. W lewem oku miała dwie źrenice, a blask ich zielony skierowany był wzajemnie na siebie; drugiem wpiła się w Antoniego.

Pozostała nieruchomą, lecz oko... to oko świdrowało poprzez kręgi pierścieni ochronnych i przepalało mu mózg. Czuł się jak pijany, zielony blask oka plątał mu myśli, przytępiał świadomość — już nie widział nic, tylko wszędzie, wszędzie oczy! Zielone oczy wirowały w ochronnym pasie, napełniając czemś duszącem i palącem atmosferę naokoło Antoniego. Już miał wrażenie, że tysiące oczu zielonych przelewa się przez jego ducha — aż naraz wszystkie oczy znikły, ale mu się zdało, że usadowiły się w jego głowie i ulatują z niej prawą stroną. Dostał jakby zawrotu głowy i zaczął się kręcić w swojem kole ochronnem koło wypuszczonych niby przez niego ócz — a to tak, jak kręciła się ta niesamowita głowa starca dokoła głowy, którą chciał uwolnić.

Wtem odczuł, jakby go ktoś zatrzymał w tym niesamowitym tańcu. Był to duch opiekuńczy. Ten uwolnił go z hipnotycznej mocy larwy — lecz spojrzał na niego przytem z lekkim wyrzutem. Antoni zrozumiał, co mu opiekun tym wzrokiem mówił; chciał go prze-

prosić, lecz ten już trzymał go opartego na sobie, a odwracając go twarzą od siebie, powiedział: — Patrz!

Antoni doznał ponownie dziwnego zawrotu. Znikły larwy ze wszystkiem, co je otaczało i żyło z niemi, ujrzał natomiast swoje ciało, a przy niem przyjaciela: ducha Karolka. Widział, jak ten szybkiemi ruchami magnetyzuje jego ciało, w kierunku wprost przeciwnym temu, w jakim on kręcił się przed chwilą wśród zielonych oczu. Karolek był czegoś smutny i niespokojny; lecz nagle zwrócił się w stronę jego i opiekuna. Antoni ujrzał wyraźnie, jak Karolek na nich patrzy; przestał magnetyzować, dziękując wzrokiem opiekuńczemu duchowi, że już powrócił do Antoniego.

Opiekun odezwał się:

— Zadałeś dużo pracy Karolkowi przez to, że nie usłuchałeś mojej rady; a ja też musiałem pośpieszyć ci z pomocą, nie dokończywszy zadania. To też zabiorę cię ze sobą, a stamtąd posuniemy się dalej.

Antoni wiedział, że znów unosi się w przestworza — lecz nie widział nic nad olbrzymią przestrzeń, wypełnioną fosforyzującemi meteorami, przecinającemi im ciągle drogę. Tak chętnie zapytałby, gdzie się znajdują i skąd się biorą te ogniste strzały, smagające go, jak pręcikami — lecz pamiętny, że opiekun ma inne zadanie, które śpieszy wykonać, wstrzymał myśli, skierowane pytająco w jego stronę.

Opiekun jednak odczuł je wyraźnie i odrzekł, że i o tem się dowie, gdy tylko znów znajdą się w tej sferze.

Nagle Antoni usłyszał wyraźnie jakieś głosy i trzaskania, tak, że odniósł wrażenie, jakoby już był w ciele i słyszał je słuchem ludzkim. Pomyślał, że widocznie powracają na ziemię. Czem bardziej zbliżali się do zagadkowego miejsca, tem silniej dolatywało doń jakieś mnóstwo ostrych dźwięków, jakby odgłos tysiącznych fabryk, puszczonych w ruch.

Znów cisnęło mu się na usta pytanie:

— Gdzie jesteśmy?

Opiekun odrzekł:

— Właściwie w tej samej sferze, gdzieśmy byli, tylko w innem miejscu. Jesteśmy w świecie myśli, stwarzającej cuda techniki.

Spójrz tu na to ogromne pole myśli ludzkich — jak one się łączą z myślami tych, którzy tu żyją. I tak te duchy i ludzie na ziemi żyją sobie obok siebie, w zgodzie niby, choć jakby głusi i niemi dla siebie nawzajem. Zresztą duchy po największej części widzą dobrze ludzi, natomiast ci rzadko, bardzo rzadko potrafią dostrzec duchy. Patrz, te wszystkie machiny, od najmniejszych do największych, to dzieło zarówno jednych, jak i drugich.

Są takie pola myśli, gdzie duchy, kochające się w pięknie, mianowicie duchy artystów, którzy niegdyś żyli na ziemi, łączą się dalej z ludźmi i gdzie tylko znajdą podatne medjum, roztaczają w jego aurze myślowej swoją aurę myśli. I człowiek taki, nie przeczuwając nieraz nawet, że ma zdolności medjalne, sam zdumiewa się nad własnem napozór dziełem. Wierzy, że

to on je stworzył, a jednak nie może wyjść z podziwu, skąd mu się wziął taki pomysł.

Lecz my nie znajdujemy się w owem polu myśli. Jesteśmy w dużo groźniejszym okręgu działania. Tu przebywają duchy, które już od setek i tysięcy lat nie zradzają się na ziemi. Są tu niejako za karę, bo siali ongiś zgubę nietylko dla siebie, ale i dla bliźnich. Nie uznając mocy Boga, zapominając o miłości do Ojca — sami siebie uważali za bogów. I wielu z nich ugrzęzło w tem polu myśli. Trzyma ich tu po największej części ich własna zła wola, w którą zakuli swego ducha przez swoje czyny na ziemi i następnie przez nieczyste swe myśli, stwarzane już tu, w świecie działania tychże. Te myślowe ich twory przybierają kształty różnych turbin, okrętów i przeróżnych maszyn i przyrządów, jakiemi tylko posługują się na ziemi ludzie.

Spójrz na tego ducha potężnych rozmiarów, który tam siedzi, jakby na tronie. Patrz, jak on złowieszczo płonie i jak groźnie patrzy przed siebie. To Nero. Wyładował on swoją energję twórczą na ziemi w sposób bardzo niedobry. Nie znasz zapewne całej grozy jego ostatniego życia ziemskiego, w którem to nosił imię Nerona — w każdym razie jednak zachowało się w historji coś z jego żywota , pełnego rozkoszy i okrucieństwa i trwa to do dziś jeszcze zapisane w księgach na ziemi.

Żył swojem życiem, rozkoszował się stworzonym przez siebie rajem. Groźnym magicznym wpływem wymusił niejako dla siebie zaklęciem wolność działania, powtarzając sobie cicho w myślach: „Ja panem, ja bogiem jestem, innego boga mi nie trzeba! Ja sam świa-

tem rządzić potrafię, a siedzibę moją w raj zamienię! Aniołami mojemi niechaj będą najśliczniejsze kobiety świata — a w obszernych salach i parkach niech zabrzmi boska muzyka, muzyka częstokroć nawet skomponowana przeze mnie — przez boga Nerona. Nie chcę żadnej innej ekstazy, żadnego innego błogiego spłynięcia, jak tylko spłynięcia z śliczną kobietą w upojnej rozkoszy, do czego pomoże mi wino, śpiew, muzyka...“

O, wiele, wiele byłoby ci trzeba odkryć z życia Nerona, byś zrozumiał teraz sens jego cierpień! Nero przedewszystkiem pozostawał pod wpływem innych złych duchów, jak ich na ziemi nazywają. Oni to obsypali go złotem i sławą, oni uczestniczyli w każdej uczcie, wydanej na cześć Nerona, lub też wydanej przez niego dla otoczenia, oni pilnowali, by rozkosz, użycie szło w parze z pięknem, aby tem pewniejszem było ich zwycięstwo. A celem ich — posiąść ducha ludzkiego dla potęgi piekła — dla potęgi własnej.

Nero odszedł ze świata — i oto widzisz jego ducha. Siedzi sobie na tronie i groźnie patrzy przed siebie. Nie ma koło siebie kobiet, wina, muzyki, nie ma ani jednej róży, ani jednego listka z wawrzynowych wieńców. Opuściły go demony ze swoją twórczością na ziemi — choć nie wszystkie, nie! Odwiedzają go jeszcze, lecz już pewne siebie, że on z ich mocy teraz się nie wyrwie, że zaprzedał im się, słuchając i wykonywując na ziemi sugerowane mu przez nich postępki, — zostawiają go jego własnej woli, otoczywszy go jednak wprzód magicznym kręgiem swej mocy.

I oto Nero zamiast muzyki słyszy tajemnicze war-

czenie motorów i różne niepokojące odgłosy. Wciąż się zrywa — woła, krzyczy, lecz nikt go nie słyszy; zamiast kobiet-aniołów, jakie tulił w swoich objęciach na ziemi, widzi dokoła larwy."

Przy tych słowach Antoni drgnął. „Larwy? — pomyślał — czy takie same, jakie mnie chciały wciągnąć w pułapkę?"

I pełen ciekawości pytał dalej:

— Jakże one powstały i skąd się tu wzięły? Czy to są duchy?

— O nie, nie są to duchy zmarłych ludzi, ale są przez nich stworzone. Lecz opowiem ci o tem, gdy odsuniemy się nieco od tego ducha.

Antoni drgnął niespokojnie, bo Nero właśnie wstał, patrząc strasznie; piersi podnosiły mu się gwałtownie, a z ócz leciały iskry, przeszywając, jak błyskawica, przestrzeń daleko przed nim. Duch opiekuńczy przytulił Antoniego do siebie, mówiąc:

— Nie bój się, Nero nas nie widzi — znam sposób na to, aby nas nie widział. I oto poznasz moje zadanie, do którego śpieszyłem, zostawiając cię w tem magnetycznem kole, gdzie popadłeś pod hipnotyczny wpływ larwy. Bądź spokojny i nie ruszaj się z miejsca; jesteś znów w ochronnym pierścieniu. Nie dbaj na żadne krzyki i nie bój się o mnie, ani o siebie — myśl o dobrym Ojcu, Bogu. On ochroni nas od złego, bo walczę i walczyć chcę zawsze w Jego imię. Walczę bronią miłości przeciw wszelkiej złości ducha, a jeśli się walczy taką bronią, to się zawsze zwycięży, chociażby się wyruszyło do boju z najsilniejszym wrogiem.

Podniósł dłonie i skierował je w stronę ducha Nerona. Począł się modlić.

Duch Nerona ugiął się, wyrzucając straszne przekleństwa. Nastała ciemność, przeszywana tylko płomienistemi błyskawicami, od których wzniecił się pożar. Antoni nie mógł dojrzeć, co płonie, widział tylko, iż jest przeraźliwie jasno i duszno. Rozlała się krwawa łuna, wśród niej zobaczył swego opiekuńczego ducha. Lecz obok niego dostrzegł zaraz całe grono duchów doń podobnych. Płynęło od nich łagodne światło, które zaczęło się rozszerzać, gasząc straszną łunę.

I usłyszał dźwięczne myśli, sypiące się na głowę Nerona i do jego aury:

— Ucisz się i nie rzucaj przekleństw! Nie pomożesz sobie niemi, przeciwnie jeszcze bardziej się obciążysz i przedłużysz swoje duchowe więzienie, do którego zawarłeś się sam z pomocą tych, którzy cię kusili na ziemi. Neronie, spójrz na twe ostatnie ziemskie życie! Czyż tak trudno ci na podstawie niego uświadomić sobie, do czego doprowadziła twoja własna wola? Czyś nie zrozumiał jeszcze, jakiej ofiary żądają od ciebie ci, co cię w to piekło wciągnęli? Ci, co jeszcze dłużej od ciebie walczą przeciwko miłości Bożej?

Neronie, pomagamy ci, byś przypomniał sobie wolną ojczyznę ducha i dawną twą dobrą wolną wolę! Tam inne życie panuje — życie z dobrotliwym Ojcem. Przychodzimy do ciebie i będziemy i nadal przychodzić, by ubezwładnić siłą miłości twoją wolną złą wolę. Wolna wola — to najcenniejszy skarb, jakim Ojciec nas wszystkich obdarzył — a jakże źle

nim szafujesz! Z dobrej wolnej woli uczyniłeś złą — i w dodatku całkiem poddajesz się wpływowi innych duchów, gorszych od siebie. Widzimy, że już nie zdajesz sobie sprawy, jak dalece jesteś owładnięty zgubną myślą. Chcą, byś złączył się z nimi na wieki — sugerują ci, byś pomagał im w pracy nad wynalezieniem zgubnej maszyny, zapomocą której możnaby było stopić po kolei pewne metale i minerały, wzniecić pożar tychże, spalić atomy wraz z zawartemi w nich składnikami. Chcą uczynić z ziemi wielkie cmentarzysko, przeistoczyć ją gruntownie, zniszczyć na niej wszelkie życie, spalając nietylko ciała ludzkie, ale rozkładając przy pomocy ujarzmionych przez nich sił przyrody na ziemi i w jej obwodzie także ciała astralne wszystkich tych, którzy są dla nich niewygodni.

Neronie, przez urzeczywistnienie tego straszliwego pomysłu zapadlibyście się w jeszcze większą otchłań ciemnoty, złości, nieświadomości i boleści bez końca! Wiedz, że dla ciebie niema innego wyjścia, jak powrócić do Ojca — i iść znów w świat, lecz w pokorze, tłumiąc pożogę myśli zgubnych. Musisz odcierpieć wszystko w pokorze, co złego narobiłeś niegdyś na ziemi — boć nie zostało jeszcze zniesionem stare, odwieczne prawo Karmy i reinkarnacji — które nie Bóg nam narzucił, tylko my sami — i sami je też znieść musimy. I zniesiemy — tylko dobrej woli... Bóg nam pomoże!

Przyjm, Neronie, do wiadomości, że wolnej woli nie będzie już można długo tak używać dowolnie na złe, jak używano jej poprzednio. Zostaliście ograniczeni w swej wolnej woli, której używacie na szkodę dla

siebie i swych bliźnich. Oto schodzimy całemi rzeszami i dotrzemy do najdalszych i najniższych waszych myśli, a będziemy przeszkadzali waszej nieszczęsnej robocie...

Wtem ujrzał Antoni nową łunę, w której ukazały się, jak mu się zdawało, okrutne, rozbestwione larwy. Unosiły się z błyskawiczną szybkością w ciężkiej czarnej chmurze — to znów przeszywały tę ponurą chmurę krwawe błyskawice. Uczuł się, jakby otoczony tą niesamowitą falą i trwożny smutek chwycił kurczowo jego ducha. Zapomniał, że ma nie ruszać się z miejsca i nie dopuszczać do siebie bojaźni, w modlitwie szukając oparcia. Zapragnął szybko przenieść się ku opiekuńczemu duchowi, bo poznał, iż to nie są larwy, lecz ziejące złością duchy — czarne, jak heban, aż lśniące w swej czerni. Jakże bardzo różniły się od nich tamte duchy modlące się, o ciałach delikatnych, ledwo dostrzegalnych, utkanych jakby z mgły porannej, oświetlonej blaskiem słońca.

Lecz ledwo się trochę poruszył, już wpił w niego oczy demoniczny duch. Antoni uczuł ukłucie jakby sztyletem — lecz w tejże chwili już śpieszył ku niemu duch opiekuńczy. Wyciągnął obie dłonie nad głową czarnego ducha, mówiąc:

— Odstąp od niego w imię Boże!

Duch uchylał głowę na wszystkie strony, jakby go palono, ale nie ruszał się jeszcze, rycząc przeraźliwie, jak dzikie zwierzę:

— Co, co? Komu wolno?! Kto śmie zbliżać się bezkarnie tu, gdzie panuje nasze prawo?! O, nie, ten ptaszek nie pójdzie już na ziemię! Wiemy, czego wy

chcecie! Takich sobie tu bierzecie — na świadków, co? Ciało zostawił na ziemi — i tam ma zdradzać nasze tajemnice po powrocie! Oho, my wam pokażemy, że jeszcze mamy jakąś moc — i to większą niż wy!

Tu zaczął się jakby wycofywać, patrząc jednak ciągle Antoniemu w oczy. Spojrzeniem tem przeszywał mu całą głowę. Antoni nie widział już nic, tylko te oczy, ciągnęły go one za sobą. Opiekuńczego ducha już nie widział, ale słyszał wyraźnie jego myśli. Mówił on:

— Panie, Ojcze nasz miłosierny, daj mi siły, bym mógł zgnieść zakusy tego nieszczęsnego ducha i uwolnić Antoniego!

Panie! Niech się dzieje Twoja święta wola!

Antoni, módl się!... Antoni, za mną... za mną...

W tym samym momencie krzyczał także czarny duch; podchwytując i zmieniając jego myśli, wołał:

— Antoni, nie bój się mnie! za mną! Antoni, za mną!

Antoni odzyskał na chwilę niejako władzę sam nad sobą i krzyknął:

— Precz ode mnie, szatanie!

Krzyknął to tak gwałtownie, że się aż sam przeląkł swego głosu, który się rozległ, jak huk piorunu. Duch pochylił się, jak gdyby chciał swoją głowę uchronić przed falą odgłosu. W tejże chwili duch opiekuńczy uchwycił niejako spojrzenie Antoniego i już zdobył przewagę: wpływ jego zaczął silnie działać, przyciągając Antoniego w jego stronę. Antoni odczuł ogromną ulgę. Słyszał jednak jeszcze krzyk duchów, a głównie tego już trochę pokonanego.

— Co, ja? Mnie szatanem zowie? Niech tylko wyzywa naszego pana nad pany, to ja mu jeszcze mogę pomóc i na pewno umilkłby na wieki, nie znalazłby już swego ciała na ziemi, a to, które ma, z tem dalibyśmy sobie już radę!...

Antoni już, już chciał na to odpowiedzieć, lecz Duch opiekuńczy dawał mu do zrozumienia, żeby milczał, bo widział, że Antoni podniecony teraz trochę gniewem owego ducha, mógłby znów wpaść pod jego wpływ. Wiedział bowiem, że w największej walce ze złem, chociażby się ono przejawiało przez niezliczone mnóstwo duchów, można zawsze zwyciężyć, jeżeli się tylko nie dopuszcza ku sobie złowieszczej zawieruchy. Dla niedopuszczenia tejże nie wystarczy własna dobra wola. Wiedział on, że zawsze w takich wypadkach trzeba się łączyć z wolą wyższą, wolą Boga. Wiedział już to i Antoni, lecz nie był jeszcze dostatecznie silnym, by sobie to przypomnieć w walce ze złem, narzuconem mu przez niższe Moce duchowe. Rozmyślnie też działały te niższe Moce, aby Antoni nie mógł sobie uprzytomnić, jakiej broni ma użyć, by się przed niemi obronić i był niejako otoczony kurzawą złości. Dlatego też duch opiekuńczy dawał mu znaki, by milczał, by się raczej zamknął w sobie, a on sam za niego wysłał myśli w tę stronę:

— Niech wszystko zło zniknie! Niech spokój zapanuje! Niech wola Twoja, Panie, zwycięża!

I zamilkły złowieszcze głosy i krzyki; Antoni odetchnął swobodniej; zaczął oddychać niejako razem z opiekuńczym duchem.

Przyjrzał się bliżej swemu opiekuńczemu duchowi

i zrobiło mu się go żal, że mu zadaje tyle pracy; równocześnie odczuł ogromną radość na myśl, że go kocha jego opiekuńczy duch. Wiedział to już przedtem, ale teraz coraz jaśniej sobie to uświadamiał.

I już gdzieś zaczęli się posuwać.

Antoni miał wrażenie, że się oddalają od miejsca, gdzie staczał walkę, lecz nim się zdołał rozejrzeć, odczuł, że przystanęli. Duch opiekuńczy rzekł:

— Ufam, że tu będzie miejsce bezpieczniejsze, gdyż jesteśmy w kole, które utworzyły nam dobre bratnie duchy, widząc, że ciężką walkę staczamy z tymi, którzy cię tu chcieli osaczyć. Zrobili nam to koło magnetyczne, torując nam drogę do niego. I spójrz! — mówił dalej — widzisz stąd jeszcze dobrze nieszczęsnego ducha Nerona. Takich nieszczęśliwców jest tu niezliczone mnóstwo, ale nie myśl, żeby ich było więcej, niżeli pogodnych, dobrych duchów, żyjących w całym kosmosie. One żyją także i na ziemskim świecie w postaci ludzkiej. Wiele z nich w ofiarnej miłości tak w tym świecie, jak i poza obrębem tej ziemi, pomaga żyjącym na ziemi i w zaświecie, bądź to jako widzialni, bądź jako niewidzialni przyjaciele.

Oni to, wędrowcy świata, działają na ziemi, gdzie i ja żyłem i pewnie będę jeszcze żyć, pomagają tam słabszym od siebie, — a także tłumią zarzewie buntu tu, w świecie astralnym. Każdy pracuje według swoich sił. Nie myśl, że do pracy jesteśmy powoływani jakiemiś rozkazami. Owszem jest rozkaz, lecz inaczej się go wyczuwa, inaczej odzywa się on w duchu, niżeli rozkazy do podwładnych u was na ziemi i na niższym planie

ducha. Tu niejako każdy sam sobie nakazuje, jak ma pracować, a pracy jest wiele.

Tam na ziemi pracujecie najczęściej w dzień, a w nocy odpoczywacie. Jakże jednak nieraz wygląda ta wasza praca za dnia! Komuż służycie, dla kogóż pracujecie? Oj, wielki to znak pytania!

W nocy ma ciało odpoczywać po pracy, ma nabierać siły z przyrody, a duch co? Czyż także ma leżeć nieruchomo w tem ciele?

Patrz, twoje ciało, znajdujące się teraz na ziemi w letargu pod opieką, powróci do nowego życia. Przeżyłeś jedno życie, zaczniesz drugie, nowe. Na nowe życie padną jeszcze cienie przeszłości. Ty walcz z temi cieniami jedynie miłością i sprawiedliwością, wypływającą z miłości, a te ostatnie lata twego życia na ziemi rozpromienią się wkrótce. Nie dla ciebie wszelkie używanie z kielicha rozkoszy życia ziemskiego, lecz praca, bracie, czeka tam na ciebie. Komórki twe, teraz nawpół zamarłe, trudno będzie tak ożywić, by ze wstępem do nowego życia mogły do nich popłynąć z przyrody orzeźwiające siły, byś się czuł zupełnie silnym i zdrowym. Twoje ciało pozostanie już wątłem; będzie to dla ciebie, jako ducha, bardzo dobre, nie będziesz już musiał walczyć z tem złem, któremu podlegało twoje ciało z braku silnej woli i świadomości swej Karmy. Nie będą cię już na ziemi prześladowały zmory, nie będą z ciebie ssały prany życia, nie będą rozrywały teleplazmy twego astralnego ciała.

Być może, że będą przychodziły inne zmory: duchy,

chcące ci przeszkodzić w pracy, jakiej się podejmiesz wśród duchów w zaświecie dla dobra bliźnich.

Wiedz, że po twojem przebudzeniu się, czyli przyłączeniu się do ciała, duch twój będzie dniem i nocą patrzał świadomie w świat ducha. Gdy zaczniesz pisać wspomnienia z letargu, nawiążesz z nami jawny kontakt i nieraz będziemy mogli z tobą porozmawiać.

Co się zaś tyczy twej pracy w świecie ducha — nie będzie ona taką, jak np. moja, której świadkiem byłeś niedawno, gdy ubezwładniałem nieszczęsne myśli Nerona. Wskażę ci pewnie taką pracę, do której będzie zdolny twój duch.

Po tej myśli zapatrzył się duch opiekuńczy przed siebie w zamyśleniu. Antoni nie mógł uchwycić jego myśli, nie wiedział, nad czem on duma. Duch opiekuńczy zapomniał niejako przez chwilę o Antonim; rozmawiał w myślach sam z sobą, zdając wszystko na wolę Bożą. Antoni odczuwał powagę chwili, nie pytał o nic, aż opiekun sam ponownie zwrócił się ku niemu, a położywszy mu końce palców prawej swej ręki nad oczyma, na czole, zaczął niemi delikatnie poruszać, jakby Antoniego głaskał, mówiąc przytem:

— O, zbudź się, zbudź, Antoni ze snu swego błędnego życia na ziemi! Zbudź w sobie uśpioną wiarę, zbudź w sobie ufność w Boga! Niechże myśl nasza zawsze doleci do twego ducha!

Pamiętaj — zawsze, gdy zło w jakiejkolwiek postaci na cię uderzy, czy to na ziemi, czy też w zaświecie, — walcz z niem miłością, walcz siłą pogody ducha!

Pamiętaj, że chociażby przypłynęła jaka straszna,

ciemna fala, chcąca cię pochłonąć, nie pochłonie cię, jeżeli powiesz: „W imię Boże!“ — To imię obroni cię przeciw tej fali! Wiedz, że z zaświata wiele duchów przyziemnych spostrzeże, że ty ich też widzisz i słyszysz, że świadomie przeciw ich złu walczysz. I ci zechcą cię oplątać w swoje sidła, lub inną drogą zmęczyć myśli i spokój twego ducha! Wiedz, że po każdej większej lub mniejszej walce, w której odniesiesz zwycięstwo bronią miłości, duch twój stanie się silniejszy i czystszy. Im zaś więcej walczyć będziesz dla dobra bliźnich, tem więcej zbledną cienie twej Karmy i znów inni chętnie podzielą się twą Karmą, tak, że ci niewiele pozostanie do wyrównania.

Przy tych słowach i pod wpływem palców opiekuna odczuł Antoni na czole rzeźki powiew, jak gdyby okąpał się w czystej, mile chłodnej, źródlanej wodzie. W myślach zgadzał się z opiekunem i przyrzekł mu spełnienie tych wszystkich dobrych wskazówek.

Dziwnem uczuciem napełnił się duch jego. Odczuwał jakąś dziwną pełnię, której bladem wyobrażeniem może być uczucie, jakiego się doznaje, siedząc przy bogato zastawionym stole wśród świeżo zerwanych róż, w miłem wyczekiwaniu na dobranych gości. Nie, to tylko małe okruchy tej pełni, tej radości, jaką Antoni odczuwał w tej chwili.

Niebawem ujrzał błyskawicznie zbliżające się duchy, a to te same, które widział w walce ze złem naokoło Nerona. Porozumiewały się, wymieniwszy kilka myśli, że byłoby dobrze, gdyby częściej mogły wpływać na tych nieszczęsnych, którym jeszcze za mało było roz-

lewu krwi na ziemi, więc wymyślali inne tortury, już nietylko dla ciała widzialnego, lecz i astralnego i dla ducha.

Chcą znieść prawo Karmy, bo się boją, że przez cierpliwe oczyszczanie się w niej ludzi będą coraz bardziej rzedły ich szeregi.

Pomimo, iż w dalszym ciągu starają się utrudnić wyrównywanie Karmy, to jednak wśród trudu i znoju czas ucieka, a z nim pierzchają i dawne przewinienia, wyrównywane z cierpliwością w cierpieniu.

Prawo Karmy było wywołane przed wiekami nie z woli Boga, ale za wiedzą Boga. Nie znamy dokładniej tej strasznej tajemnicy ducha, którą otoczyło się piekło, ale wiemy tyle, że sprawiedliwość Karmy jest im niewygodna już od dłuższego czasu, a to od chwili, kiedy i na nich przychodzi pora spłacać stare przewinienia. Teraz chcą bez woli Bożej stworzyć nowe prawa, a zniszczyć stare prawo Karmy i reinkarnacji. Lecz Bóg wszystkich miłuje i nie pozwala na dalszy, już niemal ostateczny upadek ducha.

Dosyć ciężki bat zgotowały sobie już pokolenia ludzkie na siebie w postaci prawa Karmy i chłostają się nim wzajemnie. A często, bardzo często wymierzają nim ludziom chłostę z własnej woli duchy, dążące do nowego dzieła zguby. Chcą one przez takie samowolne dręczenie zbudzić w nich możliwie jak największy żal i rozgoryczenie na ciężki los, a co za tem idzie, wywołać bunt przeciw prawom wyższym. Wiedzą bowiem dobrze, że gorycz i bunt, to pierwszy stopień do zejścia między nich, między upadłe duchy.

A jednak przed wszystkiemi dziećmi Bożemi, choćby najbardziej zbuntowanemi, jest życie wieczne; wszystkie mogą dobrowolnie zrzucić z siebie depresję duchową, ponieważ jeszcze są z Bogiem złączone i Bóg czuwa nad niemi. Upadłe duchy wiedzą i widzą, że moc Boża jest wielka, większa niżeli ich własna moc, ale się nie chcą z tem pogodzić, uparcie pragną iść za swą własną wolą i zerwać nici łączności z Tym, który im dał życie. I oto skierowywują swą wolę przedewszystkiem na pierwsze swoje dzieło, t. j. materję bez względu na to, czy to jest ta, w której duch żyje, jako w ciele, czy ta, po której stąpa jego noga. Widzą, że czem tylko mogli, uszczęśliwiali ludzi na ziemi i już im sił nie starczy w pogoni za różnemi wynalazkami, które wciąż inspirują ludziom i często przez ich ręce dążą do urzeczywistnienia tychże. Widzą także, jak duch niespokojny w ludzkiem ciele nie zadowala się tem, co mu jest podane jako oparcie duchowe, ucieka niejako od tego i wciąż szuka i szuka.

Widzą też, jak z roku na rok szerzy się w świecie t. zw. sekciarstwo. To grupy i grupki jednakomyślących ludzi łączą się wzajemnie w poszukiwaniu prawd ducha. I pomiędzy nich biegną chyżo, badając ich myśli, badając ich sumienie, a często sami im inspirują nazwę sekty, by ich bodaj na chwilę zadowolić i czemś jeszcze zająć. Wysilają się wśród nich na współżycie z nimi, żeby tamci im tylko z drogi nie zeszli.

A jednak z tego dziwnego chaosu świata niejeden duch ulatuje w górę, a oni nie mogą mu postawić gra-

nicy w jego wzlocie ducha, jeżeli ten ktoś się ocknął i woli wracać do Boga.

Antoni niemal oniemiały słuchał tych jasnych słów prawdy, cichutko skłonił głowę na ramię opiekuńczego ducha i przyglądał się, a raczej zawisł spojrzeniem na dobrych duchach, w ich kręgu. Pierwotnie myślał, że przemawiają tylko do opiekuna, lecz ani się nie spodział, jak wyczuł i zrozumiał, że tak samo do niego odnoszą się ich myśli. Odczuł lekkie drżenie wyrzutu sumienia przy myśli, która się w nim ozwała, że on to swoją nieostrożnością i swoją lekkomyślnością przeszkadzał im podczas wysiłku w celu ubezwładnienia złych myśli, które inni wraz z Neronem wysyłali. Jego myśli natychmiast odczuto w gronie dobrych duchów. Odpowiedzieli mu miłem spojrzeniem, lecz także i westchnieniem. Antoni wyczuł w tem dobrze, że pierwsze westchnienie, — to wybaczenie jemu; drugie zaś — to niejako ubolewanie nad nim samym, jako nad słabym, bezradnym duchem. Antoni zawstydził się czegoś i w tym też momencie udało mu się spojrzeć głębiej w samego siebie. Wyczuł dokładnie, że zna te wszystkie dobre duchy, wyczuł, że mu są bliższemi od jego krewnych na ziemi.

— Czy wszyscy, wszyscy są krewnymi? — zapytał sam siebie.

— Matka, matka, — zawołało coś w jego głębi.

Spojrzał przed siebie i chciał zbadać, jak bardzo to uczucie szacunku i miłości do matki, jest podobne do uczucia tej miłej pewności, jaka towarzyszyła miłości do dobrych duchów. Lecz ci już się oddalali, a na ich miejscu zarysowywała się postać matki. Wiedział,

że duch opiekuńczy znajduje się jeszcze przy nim, lecz też odczuł, że ten nawet najmniejszą myślą nie oddziela go od matki.

Tkliwe oczy matki wpatrywały się w Antoniego. Boleść malowała się na jej pięknej twarzy. Chociaż Antoni cierpiał na widok bólu w jej twarzy, przypomniał sobie jasno obraz inny, to jest matkę, żyjącą jeszcze na ziemi.

Tak, to ta sama twarz, te same ruchy, te same spojrzenia, lecz jakże przedziwnie subtelne, miękkie i łagodne! Ta twarz na ziemi przywiędła, choć o tych samych klasycznych rysach, — tu nie miała zmarszczek: anemiczna bladość tu zmieniła się w jasną woalkę na twarzy. Twarz tryskała życiem, każdy magnetyczny nerwek oznaczał drganie w duszy. Odczuwał daleko większą siłę tęsknoty do tej matki, pragnienie przytulenia się do niej, niżeli jako człowiek na ziemi do tej samej matki w ciele.

Ona wyciągnęła ręce do niego, jak gdyby go chciała do siebie przytulić, a on chciał się już, już rzucić w jej objęcia. Duch opiekuńczy wstrzymał go myślą, stanął niejako pomiędzy nim, a matką. Antoni uświadomił sobie, że opiekun ma widocznie jakiś słuszny powód do tego i pomyślał:

— Mógłbym łatwo uczynić coś niewłaściwego, coby mogło zaszkodzić mnie lub matce; tu są pewnie inne prawa, więc nie...

Antoni nie dokończył myśli, bo opiekun się odezwał:

— O, nie, kochany, nie stawałbym pomiędzy wami, nie przeszkadzałbym wam w uścisku, tak jak nie bro-

niłby tego nikt z innych dobrych duchów, znających ogrom miłości, znających tę potęgę radości życia; wchodzi tu w grę coś daleko ważniejszego; odczuł już to poniekąd duch twój.

— Spójrz, Antoni! Twoje ciało leży tam w szpitalu na ziemi w letargicznym śnie. Zaniepokojona wczorajszem telefonicznem wypytywaniem się o ciebie, wybrała się matka natychmiast w drogę. Po przybyciu na miejsce, powiedziano jej, że jesteś w szpitalu. Spójrz, oto tam stoi przy twojem łożu, a lekarze są zdania, że duch twój już opuścił ciało, żeś już umarł. Nie przypuszczaj tej myśli ku sobie o „zaśnięciu na wieki“, bo z chwilą, gdy zaczniesz przysłuchiwać się rozmowom w szpitalu, napłyną te myśli i mogłyby działać niepokojąco na ciebie. Postaram się połączyć cię z tem ciałem tak, żebyś mógł słyszeć zapomocą pasm flujdycznych ich rozmowy i byś mógł po przebudzeniu się na ziemi przypomnieć sobie twój stan obecny. Lecz uważaj, Antoni, uważaj nareszcie i bez mojej wiedzy, ani bez mego skinienia nie zbliżaj się ku ciału! Stąd zobaczysz i usłyszysz wszystko dobrze, bo twoje ciało astralne posiada pewnego rodzaju stację odbiorczą. Obok stacji odbiorczej posiadasz także stację nadawczą. Połączę cię teraz z tamtymi koło twego łoża. Ty usłyszysz ich dobrze; natomiast ciebie tylko Karolek wyraźnie usłyszeć może. Usłyszy nie tylko dźwięk myśli, lecz i całe uczucie w niej zawarte.

Matka zaś nie będzie ciebie mogła słyszeć, bo jej przeszkadza to drugie ciało o pięciu zmysłach, a astralne nie prześwietliło jeszcze tego ciała grubego i nie mogłaby

sama dowolnie usłyszeć głosu twego ducha, chociaż cię duchem odczuwa, że jesteś i nie chce wierzyć, że nie żyjesz.

Nie zdaje sobie sprawy z drgnięć magnetycznych, które cię łączą z ciałem, nie wie, że ty patrzysz na nią i słyszysz ją. Natomiast duch Karolka ożywia w niej stanowczą myśl, że nie umarłeś, lecz jeszcze żyjesz i tem zagłusza inne myśli o twojem zaśnięciu na wieki. Jest to poniekąd potrzebne, by ich powiadomić i przez inne oznaki na twem ciele, że duch twój nie odszedł jeszcze na wieki, że ożywia jeszcze to twoje ciało. Inaczej przeszkadzaliby nam twoi najbliżsi w twej wędrówce tu z nami, bo chcieliby sprowadzić twoje niby zwłoki pod dach matki. Tam odwiedzaliby cię jako zmarłego, dotykaliby twego ciała, głaskali i całowali. W ten sposób łączyliby się z tobą, a tem samem zatrzymywaliby mnie i ciebie w wędrówce tu w zaświecie. A tak pozostanie jeszcze twoje ciało w szpitalu pod obserwacją, a wszelkie inne zabiegi, przedsiębrane przez lekarzy, by przywołać twego ducha ku ciału, nie będą nam już tak przeszkadzały, jak płacz, narzekanie i wołanie cię po imieniu przez szereg osób, związanych z tobą jako krewnym na ziemi.

Przyjazd matki był nieunikniony. Ona przez twoje cierpienie z tobą związana ma mieć karmiczny udział w twem obecnem cierpieniu, gdzie właściwie ty nawet tak bardzo nie cierpisz. Jej serce kraje się z bólu, bo myśli o twojej przedśmiertnej męce, przeraża ją twa niemal zastygła twarz, odczuwa lęk przed nieznanym nie-

przyjacielem, zmorą, o której boi się wspominać przy lekarzach.

A jednak zmysły ludzkie każą jej wierzyć, żeś umarł, gdy patrzy na zsiniałe, zimne twe ciało, na zesztywniałe niby zwłoki. Widziałeś ją, matkę, tu przed króciuchną chwilką; to jej duch wraz z astralnem ciałem przeniósł się tu na chwilkę w pobliże ciebie. Wyciągając swe dłonie w twą stronę na łożu, łkała:

— Antoni, synu mój biedny...

I padła zemdlona na twoje piersi. Tem samem złączyła się z flujdami twego ciała astralnego i przeniosła się duchem w pobliże nas; w tobie ozwało się wówczas to dziwne, słodkie uczucie miłości ku matce. Kiedy spojrzałeś przed siebie, ujrzałeś ją w tem miejscu, gdzie przedtem były dobre duchy. To ona podczas omdlenia odłączyła się od ciała.

Patrz, już ją do ciała przywołali, podając jej do wąchania orzeźwiające krople; nacierają jej twarz i ręce zimną wodą. Teraz jeszcze pielęgniarka szpitalna podaje jej drżącą ręką wodę do ust, posadziwszy z pomocą innej pielęgniarki na wygodnem krześle. Głowę ma opartą na piersiach tej dobrej pielęgniarki, obdarzonej tak silnym magnetyzmem i uprzytomnia sobie, co się to z nią dzieje i gdzie się znajduje.

Patrz, tam biegnie lekarz jeden i drugi. Właśnie mieli naradę co do twego zagadkowego skonania. Kiedy otworzyli przymknięte twoje powieki, stwierdzili, że źrenice zgasły już na zawsze.

Rozdział VIII.

Śmierć czy letarg?

Aby przez to niejako sugestywne twierdzenie nie zostały przerwane magnetyczne pasma, łączące Antoniego jeszcze z ciałem, kładł Karolek natychmiast po odsunięciu rąk lekarza swoje dłonie na jego czoło, a dmuchając mu leciuchno pomiędzy oczy, powtarzał:

— Żyje! żyje! nie umarło ciało!

Powtarzał to cichuteńko, jak gdyby się bał zbudzić go ze snu wiecznego. Czynił zaś to dlatego, aby Antoni nie odczuwał jego myśli i nie przerywał swej wędrówki w zaświecie. Jego myśli: „On żyje, żyje, nie umarł, tylko śpi", kołysały Antoniego jakby dziecko do snu.

Przy tych myślach i przez zetknięcie się jego z tem ciałem, ciało Antoniego błyskawicznie zatraciło poprzednią martwotę. Nozdrza zadrżały lekko, a powieki też się poruszyły.

Zauważył to lekarz, który stał obok, patrząc bezmyślnie przed siebie. Nim jednak zdołał zwrócić uwagę swego kolegi na to zjawisko, nozdrza już przestały drżeć i powieki znieruchomiały również. Obaj lekarze wszczęli małą sprzeczkę; jeden twierdził, że Antoni dopiero co

skonał, że jeszcze teraz były ostatnie drgnienia, ostatnie oznaki życia. Drugi zaś twierdził, że Antoni już od dwu godzin nie żyje. Kiedy pierwszy zauważył, że dobrze widział, że się nie myli, roześmiał się drugi, mówiąc:

— Ależ, panie kolego, co się panu dziś w głowie przewróciło? Przecież pan chyba wie, że to reakcja krzepnącej krwi. Czyż pan jeszcze mało widział podobnych wypadków, że trup rękę podnosił, głową zatrząsł, albo formalnie wydobywał z piersi jakieś głosy? To ostatnie skurcze nerwów. Gorączka była u niego bardzo wysoka. Jeżeli ktoś w silnej gorączce wyzionie ducha, to ciało jeszcze przez kilka godzin zatrzymuje ciepłotę. bo ciepłota krwi spada powoli.

Na to odezwał się jego kolega:

— Ależ ten nie zmarł w gorączce, gorączka przecież przed zapadnięciem w letarg nagle spadła.

— W letarg? w letarg? — pytał już nerwowo drugi. — Co pan ma zawsze z tym letargiem? Często pan coś o letargu wspomina i każdego umarłego bada skrupulatnie, bo go widocznie podejrzewa o letarg. Nawet stare baby, wierzące w różne gusła i głupstwa, nie są tak śmieszne, jak pan ze swoim letargiem.

Na to odpowiedział tamten:

— Ależ panie, panie kochany, kolego, nie unoś się pan tak bardzo! Czyż mało jeszcze jest dowodów, że grzebano ludzi żywych?

— Nie, nie — odpowiedział drugi — nie chcę obalać wierzeń pana. Co do mnie wprawdzie nie miałem jeszcze takiego zdarzenia, żebym kogoś żywego był uznał za zmarłego; przedewszystkiem w tym wypadku jednak

bardzo śmiesznem wydaje się twierdzenie pana, że ten człowiek dopiero teraz umarł. Ja panu powtarzam i twierdzę, że on już umarł przed dwoma godzinami. Krew jego jest już z pewnością miejscami skrzepnięta. Przed śmiercią miał już pewnie zakażoną krew, zresztą — zresztą, sekcja zwłok wszystko wykaże; nie badałem od początku stanu jego choroby.

W międzyczasie, kiedy sprzeczali się na temat śmierci Antoniego, duch Karolka znów miłością i wysiłkiem woli ścierał z twarzy ciała Antoniego te myśli „umarł, umarł“, które jak ślimak znaczyły swoją drogę po jego twarzy. A kiedy już od domniemanego trupa chcieli odejść, zadrżały ponownie jego nozdrza i poruszyły się powieki. Poprzez trupa sięgnął lekarz do swego kolegi, szarpiąc go niemal za rękaw. Ten zdumiony i zniechęcony spojrzał na niego i spostrzegł, że wzrok jego jest skierowany w stronę twarzy Antoniego. Zauważył przytem wyraźne drżenie nozdrzy, zauważył, że odchylone usta przymknęły się i powoli zaczęły się układać jak do gwizdania. Lekarz utrzymujący, że Antoni już od dłuższej chwili nie żyje, pobladł, ale niebawem potem wystąpił mu rumieniec aż na czoło. Kolega zaś jego wodził ożywionym wzrokiem po zastygłej twarzy, a dobywszy lusterka, przytrzymywał je przed ustami Antoniego. Na lusterku utworzyła się lekko dostrzegalna rosa. Triumfująco podniósł lusterko niemal aż do nosa swemu koledze.

— Co to jest? Nie mówiłem, że ten człowiek przecież żyje!

Kolega wziął lusterko w rękę, ścisnął kurczowo

w dłoni, a przyglądając się tej lekkiej powłoce pary, nie mógł jakoby zrozumieć, że ta powłoka na szkle ma oznaczać życie, życie w zmarłem ciele. Spojrzał znów na twarz Antoniego, lecz nie zauważył już żadnego drgnienia. Wszystko wyglądało zastygłe, zamarłe, jak poprzednio, z wyjątkiem ust, które nie powróciły do poprzedniego układu. Lekko wydęte, świadczyły jeszcze o owej chwilowej zmianie. Lekarz odezwał się:

— No, i cóż pan, panie, czy pan mi teraz przyzna rację, że się nie myliłem?

Ten, oddając mu lusterko, odpowiedział:

— No, w takim razie trzeba tu coś robić; jest to naszym obowiązkiem, jeżeli mamy takie dane, by „nieboszczyka“ przywrócić do życia.

Zaczęło się badanie serca. Wsłuchiwano się, czy ono nie daje jakiego znaku życia. Badano także krew, w jakim stanie się znajduje.

Przystąpiono do sztucznego oddychania. Wówczas duch Karolka mial wiele pracy, bo znów zapadł wyrok, że Antoni już naprawdę nie żyje. Jeden lekarz spoglądał z niechęcią na trupa, bo go wciąż prześladowała myśl kolegi, że jest w błędzie, że Antoni żyje. Po pewnej chwili podszedł sam ku domniemanym zwłokom Antoniego, ale nie mógł sobie przypomnieć, po co właściwie tam przyszedł. Nie wiedział, że działa w tej chwili pod wpływem ducha, który podczas walki w astralu wykrzykiwał, że on i jemu podobni odbiorą Antoniemu ciało na ziemi, a z tem co ma, też sobie dadzą radę. Rzucał się tak na tej fali nienawiści, a myśląc o zostawionem przez Antoniego ciele na ziemi, wpadł niejako

w falę kłótni pomiędzy obu lekarzami. Aż krzyknął z radości, zauważywszy, że jeden z lekarzy złem okiem patrzy na ciało Antoniego. Ten duch sugerował lekarzowi myśli:

— Przekonaj się, przekonaj się nareszcie... masz przecież prawo do tego... przekonaj się, że Antoni nie jest w letargicznym śnie, lecz że już jest trupem! Przekonaj tego niedowiarka, który się robi mędrszym od ciebie! Zanurz nóż w sercu trupa, a przekonasz się, że w tem ciele niema już ani drgnień! Przekonaj się!

Lekarz, nie będąc znów tak złym, a raczej tylko nerwowym, wyczerpanym, nie słyszał głosu złego ducha. Wpływ tegoż podziałał jednak, potęgując w nim niechęć do kolegi, która przeniosła się i na trupa, kiedy przystanął przy nim. Stojąc, chciał sobie przypomnieć, poco właściwie przyszedł do Antoniego. Wówczas także i duch Karolka odezwał się do lekarza, kiedy tenże uchwycił myśl, by się przekonać ostrzem noża, czy jest jeszcze duch w tem ciele. Karolek począł wysyłać myśli:

— Nie czyń tego, na co ci się to przyda? Nie czyń tego! Gdybyś to jednak uczynił, miałbyś wielkie nieprzyjemności. Miałbyś także wyrzut sumienia, żeś popełnił zbrodnię.

Duch we fali złości usłyszał, a potem już i ujrzał nietylko myśli, przeciwstawiające się jego niecnym zamiarom, lecz ujrzał także i ducha Karolka. Zasyczał w złości:

— O wy łotry przeklęte! Że wy też wszędzie jesteście! Tużeś się przyczaił przy tem śmierdzącem ciele?

Pilnujcie! pilnujcie!... No, ale coś ja wam jednak zostawię na pamiątkę.

I zaczął niemal wywracać koziołki przed głową lekarza, a jedną myślą, tak jak piłką, uderzył w jego głowę.

— Uderz, uderz trupa! jak się ma ruszać, niech się rusza, a ciebie nie niepokoi!

Ta nędzna myśl, jak piłka, odbijała się od głowy lekarza. Wreszcie kusiciel usiadł mu na ramieniu, a nogami zaczął tupać po jego piersiach, wymyślając mu od osłów itd. i zatruwając tem dalej aurę myśli lekarza. Ten nie słyszał tego wszystkiego, ale że ignorował myśli o duchu, nie wierząc, żeby się człowiek składał z ciała i duszy — czepił się tego wpływ niższy i „uderz, uderz“, odczuł lekarz w swej świadomości. Przekonany był, że to są jego własne myśli. Przystąpił więc bliżej, nachylił się nad twarzą Antoniego i rzekł niejako sam do siebie i do trupa drwiąco:

— No, złóż jeszcze usta jak do gwizdnięcia i gwizdnij, a uwierzę w ducha.

Lecz twarz Antoniego dalej pozostała nieruchoma, zato prawa ręka lekarza zadrżała, jak gdyby niechęć do kolegi i do domniemanego trupa wraz z niewiarą w duchy wlała się w nią. Sam zadrżał na całem ciele, nie wiedząc, co się z nim dzieje. Niechęć stopniowała się i zamieniała w wyraźną myśl: „Uderz, uderz trupa!“ Nim się spostrzegł, wymierzył niski duch przez jego rękę potężny cios w twarz Antoniego, aż się głowa trochę przesunęła. Z nosa spłynęły na wargi dwie krople krwi.

W tej chwili została także ręka lekarza uwolniona. Niski duch odskoczył od lekarza i oddalił się z szatańskim śmiechem. Karolek wysilał się, by przeszkodzić uderzeniu, lecz widząc już błyskawiczny ruch ręki, sam drgnął niespokojnie; żałował, że owego ciosu nie zatrzymał na sobie. Duch niski tak zmącił lekarzowi myśli, że ten był niemal nieprzytomny, nieświadomy tego, co się stało.

Kiedy już duch pierzchnął, przyjrzał się Karolek spustoszeniu; usilnie przez niego trzymane magnetyczne prądy od głowy Antoniego zostały przerwane, ale nie zniszczone. Z westchnieniem nawiązywał je ponownie, a gdy zauważył, że głowa świeci magnetycznie, jak przedtem, tj. przed uderzeniem, uspokoił się. Czuł się znużony po tej walce i w modlitwie szukał pokrzepienia. Lekarz tymczasem gestykulował żywo rękami, rozmawiając w niepokoju ducha sam z sobą.

— Ależ to niegodziwe! Cóż ja uczyniłem! Naprawdę nie znam siebie... Nigdybym nie powiedział, żem zdolny do takiego czynu! Ach, brrr... — powiedział, otrząsając się — gdyby mnie tak kto widział, jak uderzyłem trupa, powiedziałby, że jestem albo warjatem, albo niebezpiecznym sadystą. Oj, cobym dał za to, żeby się to nie było stało!

Odczuł przytem niechęć sam do siebie.

— Ach! jak to człowiek musi uważać sam na siebie, by w jakiejś głupio obrażonej dumie nie żądać dla niej takiego zadośćuczynienia.

Naprawdę, gdybym mógł zetrzeć z myśli ten czyn, tobym nastawił swoją twarz, żeby mi to pierwszy lepszy

chłystek z ulicy oddał dwukrotnie z powrotem, i to nie tylko w obecności jednego kolegi, ale wszystkich, którzy się znajdują w szpitalu.

Wtem ozwał się dzwonek. Lekarz nie wiedział, kogo wzywają, lecz wybiegł z sali, jak gdyby to jego wołano, zostawiwszy znów samego domniemanego trupa.

Karolek modlił się, nie zwracając już uwagi na wyrzuty sumienia tego lepszego „ja", pochodzące z głębi ducha doktora, a skierowane przeciw niższym instynktom zwierzęcym w nim.

Mijały godziny. Lekarze skonstatowali, że Antoni już absolutnie nie żyje, bo powieki się już nie zasunęły, ani nozdrza więcej nie zadrżały. Antoni patrzał zdumiony na to wszystko. Spojrzał też na opiekuńczego ducha, pytając:

— Co? matka? matka moja? jest ona tam teraz rzeczywiście?... Minęła chwila... a ja ją tam jeszcze widzę..

— Tak, tak, obecnie jest twa matka przy twojem ciele; podchodzi ku niej lekarz, by jej oznajmić, kiedy umarłeś. Jak widziałeś, lekarze byli różnego zdania co do twej śmierci. Ten twierdzi, że już nie żyjesz od sześciu godzin.

Antoni ujrzał wyraźnie tego samego lekarza, który go był uderzył w twarz, jak trzymał jego matkę pod ramię i chciał ją przy pomocy owej dobrej pielęgniarki wyprowadzić z sali, by się prędzej uspokoiła. U drzwi wyrwała im się z rąk i z rozpaczliwym krzykiem rzuciła się znów ku ciału Antoniego, wołając rozdzierającym głosem:

— Antoni! mój kochany, drogi synu! Nie, to niemożliwe... Antoni! Antoni! jedno jedyne słóweczko... otwórz swoje dobre oczy... spojrz na mnie... raz jeden jeszcze... Antoni, powiedz, co cię chce tak przedwcześnie strącić do grobu!

Antoni odczuwał, że ten głos matki straszliwem, bolesnem ostrzem przebija jego ducha. Czuł wyraźnie, jak go opiekuńczy duch chce do siebie przytulić i niejako zamknąć w swojem objęciu... Duch Antoniego wyrwał się jednak siłą woli z objęć opiekuna i podążył ku matce. Ta miała właśnie ręce na jego skroniach, podtrzymując mu w ten sposób głowę i skraplając łzami bladą jego twarz.

Kiedy Antoni chciał przemówić do matki, uczuł się dziwnie sztywnym, skostniałym, uczuł ciężar, bezwładność i brak tchu; wydawało mu się, że jeszcze chwilka takiej męki, a będzie musiał w niej zginąć. Sam nie wiedział, kiedy się przyłączył do ciała. Jak chętnie opuściłby teraz to ciało! Każda sekunda w niem wydawała mu się długą, ciężką i bolesną.

Już odczuł ręce matki, tulące go do siebie. W straszliwej udręce chciał wzywać pomocy matki, by mu pomogła wydobyć się z tego ciężkiego stanu, ale myśli jego nie przeszły przez usta. Słyszał sam siebie i łudził się, że matka go też słyszy, lecz ona go nie słyszała i wiła się dalej w bólu na jego piersiach.

Tymczasem Karolek wraz z opiekuńczym duchem działali na pielęgniarkę, by usunęła matkę od ciała Antoniego. Po krótkim wysiłku udało się jej stanąć pomiędzy ciałem Antoniego, a szlochającą matką. Nad-

szedł też właśnie lekarz, który był poprzednio twierdził, że Antoni jest w letargu i ten stanął po drugiej stronie ciała Antoniego, przypatrując się uważnie jego twarzy. Szukał w niej jakiego znaku życia, wyczekiwał, czy znów nie zadrżą powieki. Oprócz łez matki, nie zauważył na twarzy żadnej zmiany. Sam nie wiedząc, dlaczego, ocierał twarz z owych łez. Starannie ocierał i czoło. Wydawało mu się, że wytworzyły się na niem jakieś dziwne, zroszone zmarszczki. Zastanawiał się więc, czyby to był objaw życia, lub czy też tylko ślady łez jego matki.

Ależ te zmarszczki!...

Po starannem i dokładnem otarciu całej twarzy, znów wpatrywał się w nieruchome rysy Antoniego, a splótłszy palce na piersiach, i nie zwracając już uwagi na szlochanie matki, pomyślał:

— Boże, jeżeli on jest rzeczywiście tylko w letargicznym śnie, to trzeba całą siłą woli działać, by nie doszło do pogrzebania tego ciała, chociażby już nawet i trzy dni od jego śmierci upłynęło. Byłaby to niemała kompromitacja nie do darowania, gdyby się tak zbudził przed zabijaniem wieka u trumny.

Gdy tak rozmyślał, zauważył najwyraźniej, że czoło Antoniego znów jest zroszone, nawet i na górnej wardze dostrzegł kropelkę rosy. Nie wiedząc, co robi, podbiegł do matki Antoniego, uchwycił jej drżące ręce w swoje i całując je, rzekł podniosłym, lecz stanowczym głosem:

— Pani, czcigodna pani hrabino, niech pani nie płacze... niech pani nie traci nadziei w Boga... Mam

wrażenie, że syn pani nie umarł jeszcze, lecz jest w letargicznym śnie!

Hrabina patrzała na niego osłupiałym wzrokiem, jak gdyby nie rozumiała, co do niej mówi, — myślała, że to są tylko słowa pociechy.

Nie... od każdego innego mogłoby to być uludną pociechą, lecz lekarz, ten chyba wie, co mówi. Ma do tego powody, by ją mdlejącą podeprzeć taką pociechą.

Uspokoiła się. Ucichły głośne jęki i narzekania z jej ust, lecz łzy spływały dalej cienkim strumyczkiem po twarzy. W niemem oczekiwaniu patrzyła na lekarza, co ten jeszcze powie. Ten wskazał ręką na czoło i usta Antoniego, mówiąc:

— To niechybna oznaka, że syn pani jeszcze żyje. Teraz trzeba przedewszystkiem spokoju i jeszcze raz spokoju, gdyż wszelkie gwałtowniejsze wstrząśnienia, a przedewszystkiem rozpacz pani utrudniałyby rozniecenie tego mdłego płomyka życia w jego ciele.

Hrabina prosiła na litość Boską, że stłumi wszystek płacz i narzekanie, byle ją tylko zostawić przy synu, by i ona mogła pomagać do jego ocknięcia się, gdyby tego zaszła potrzeba. Musiała się jednak zgodzić na opuszczenie go, a czyniła to w nadziei, że będzie mogła później choć jedną dobę czuwać nad nim wraz z pielęgniarką i lekarzem i wyczekiwać dalszych oznak życia, o ile się jeszcze zjawią.

Zaczęto więc zastosowywać wszelkie środki, by Antoniego przywrócić do życia, lecz wszystko niejako bez rezultatu. Biedna matka nic do ust nie brała, oczu nie zmrużyła, zamilkła i wylękłym wzrokiem wpatrywała

się w twarz Antoniego. Zabrakło jej już łez, a myśli przesuwały się z zawrotną szybkością w chaotycznym splocie przez jej głowę.

Zjawił się znów drugi lekarz, przez którego rękę wymierzył był niski duch cios w twarz Antoniego. Chociaż poprzednio wyszedł był naprzeciw matki wraz z kolegą i podparł ją ramieniem, to jednak myśl o krzywdzie, jaką wyrządził jej synowi, nie dała mu spokoju i szybko zawrócił, gdyż czuł, że nie mógłby spokojnie spojrzeć w jej twarz. Gdy kolega go zawiadomił, że się znów pokazały wyraźne oznaki życia na twarzy Antoniego, zaniepokoił się, jak gdyby się obawiał, że po przebudzeniu się, po przywróceniu do życia będzie może pamiętał owo uderzenie w twarz.

Toteż i teraz znów szybko odszedł od ciała Antoniego. Postanowił zwołać konsyljum lekarskie w sprawie śmierci Antoniego. Matka, czuwając tymczasem z pielęgniarką, modliła się gorąco, by jej syn wrócił do życia i przyrzekała, że go natychmiast zabierze do domu, że rok rocznie dochód z wiśniowego sadu obróci w całości na cele dobroczynne, że pieniądze odda do domu sierot na polepszenie ich doli i na ich kształcenie. W myślach podwyższyła jeszcze tę kwotę, bo sądziła, że dochód z dwunastomorgowego ogrodu byłby za mały na ten cel.

Tak, wszystko była gotowa dać za życie i zdrowie Antoniego. Lecz zimna trwoga ściskała jej serce na myśl, co uczyni, jeżeli znów powrócą zmory. Patrząc trwożnie na Antoniego, pomyślała:

— Wszak to pewnie sprawki tych ciemnych Mocy,

w które mi tak trudno było uwierzyć. Wyczerpały go one do ostateczności i porzuciły martwe już ciało. Lecz nie, nie! nie martwe jeszcze... Antoni powróci!...

I znów cicho załkała:

— Boże! Boże! czegoż się doczekałam... i co jeszcze trzeba będzie przetrwać!

Więc jakiś płomyk życia tli jeszcze w tem ciele, lecz gdzież duch, gdzież jest duch? Boże, pewnie stacza walkę z jakiemiś strasznemi zmorami! Czyż zwycięży? Czyż one go tam nie ujarzmią na wieki? Boże! jakiejże tu mocy użyć, aby go wyrwać z tego strasznego otoczenia! Ja jestem tu bezradna, bezbronna... A lekarze, czyż zrozumieliby te niezwykłe sprawy duchowe, gdybym im wszystko opowiedziała o poprzednich przeżyciach Antoniego? Czy potrafiliby przywołać jego ducha, wyrwać go ze szpon zmór, wogóle przywrócić go do życia i odgrodzić, aby zmory nie miały do niego przystępu?

Te i tym podobne myśli snuły się jej po głowie; wiedziała jednak, że na to nikt nic nie poradzi.

— Czy nikt? czy nikt? — ozwało się silnie w głębi jej duszy. Był to głos ducha Karolka.

— Czyż niema Boga? Owszem, jest Bóg, Bóg-Duch Święty. Twoje oko nie widzi Go, tak jak nie widzisz ducha twego syna, tak jak nie widziałaś i nie widzisz ponurych zmór. Bóg dobry i miłosierny wysłucha twoich próśb i pomoże ci, tylko wierz mocno, że Antoni wróci! Módl się, by zwyciężył te zmory, gdyby jeszcze ku niemu, chociażby nawet i w innej formie, chciały powrócić!

Wierz, on powróci do ciebie po wykonaniu tam swego zadania.

Wtem hrabina drgnęła, myśląc:

— Co to jest? co się to dzieje? Boże, słyszę przecież wyraźnie, jak gdyby jakiś głos we mnie przemawiał. Co to jest?

Tem samem przerwała niejako dalszy tok myśli — myśli ducha Karolka, który sugestywną siłą przenosił je do jej ducha. Ostatnia myśl: „gdy spełni swoje zadanie“, znów się odezwała, lecz nim zdołała pomyśleć, jakie zadanie ma tam jej syn dziś do spełnienia, usłyszała wyraźnie inne myśli, niby dalszy ciąg poprzednich:

— Gdy spełni swoje zadanie, powróci do nowego życia i opowie ci wiele, co się dzieje po tamtej stronie świata. Teraz jest poza ciałem, nie odczuwa bólu ciała, żyje innem życiem, pełnem wrażeń, świadom twej obecności przy nim. Wie on napewno, że powróci.

Hrabina, pod wpływem tych myśli pochyliła w zadumaniu głowę, a mając ręce złożone, jak do modlitwy i przyciśnięte do ust, powtarzała w głębi ducha jeszcze raz każdą myśl Karolka jak na utwierdzenie. Ducha jej ogarnęła pewność, że syn wróci i wyzdrowieje. Odetchnąwszy swobodniej z ufnością spojrzała przez okno na lazurowe niebo, szepcąc jeszcze:

— Dziej się Twoja święta wola, Panie!

Karolek odetchnął również z ulgą, szepcąc:

— Dziękuję Ci, dobrotliwy Ojcze, żeś mi dał tyle siły, że myśli moje zostały usłyszane i odczute w głębi jej ducha.

Myśli Karolka schodziły się z myślami matki na punkcie wiary, że Antoni wróci, a przez to miał już Karolek z nią dobry kontakt, jak z pielęgniarką i z jednym z lekarzy. Cieszył się z tego, że tyle osób już wystarczy do niesienia pomocy, gdy Antoni będzie powracał do ciała.

Rozdział IX.

Miara czasu na ziemi i w zaświecie.

Tymczasem Antoni, będąc w większej łączności z ciałem, zrozumiał i pojął wiele. Poznał bowiem, że przez przyłączenie się do ciała nawet błyskawiczne wywoła się w w niem pewne zmiany, jak kropelki potu na twarzy, poruszanie powiek i t. d. Odczuwał również, że im bardziej zbliża się do ciała, tem większy ciężar spada na niego w postaci braku tchu, niejasności myśli, do czego dołączał się wpływ bólu matki i jej myśli, tak że chwilowo nie wiedział czy śpi, czy mu się to wszystko tylko śni. Wołanie matki: „Antoni, mój kochany Antoni, zbudź się!", wywoływało w nim złudzenie, że rzeczywiście śpi, a matka budzi go z długiego snu, jednak powieki były ciężkie, a ciało nieruchome. W chwili, kiedy matka, rozpaczliwie łkając, tuliła twarz swoją do jego twarzy, odczuwał dziwną boleść ducha i ciała astralnego. Boleści ciała fizycznego nie odczuwał zupełnie, było zimne i zesztywniałe. Boleść ciała astralnego pochodziła stąd, że duch opiekuńczy razem z Karolkiem przerwali kontakt ducha jego z matką; przez przytulenie się do Antoniego przyciągała ona jednak i przytrzy-

mywała ducha wraz z astralem w zimnem ciele. On odczuwał to przyciąganie jako miłość synowską do matki. Duch opiekuńczy i Karolek wiedzieli, że przyłączenie się do ciała w niewłaściwym czasie mogłoby mieć niepożądane skutki ze względu na zdrowie cielesne i ze względu na wzrost rozbudzenia zupełnej świadomości ducha Antoniego, który miał na razie jeszcze pozostać poza ciałem. Antoni znał przyczyny, dla których go lekarz uderzył ręką w twarz, widział jasno całą walkę, niechęci jednak doń żadnej za to nie odczuwał, przeciwnie współczuł z nim. Widział bowiem, że dla doktora niemożliwością jest uniknąć jego matki, spojrzeń jej wielkich, niebiesko-siwych oczu, zaczerwienionych od łez. Widział, jak ogromnie paliły go jej spojrzenia. Wiedział też, że gdyby opiekun i Karolek nie chcieli, to nie zezwoliliby jemu, Antoniemu, na objawianie jakichkolwiek znaków życia przez sztywne już ciało. Postanowił więc nie zbliżać się do niego, panować nad sobą siłą własnej woli, by patrzeć trzeźwo i o ile możności nie dać się porywać wołaniem matki, by nie przysparzać opiekunom niepotrzebnej pracy. Wiedział i widział to duch opiekuńczy, na co Antoni patrzy, o czem myśli i ozwał się łagodnie:

— A teraz możemy się spokojnie oddalić. Nie pójdziemy do Nerona, ani jemu podobnych. Wstąpimy do niego, gdy już będziesz powracał do ciała. Teraz przeniesiemy się tam, gdzie cię poprzednio zostawiłem, gdzie cię to otoczyły larwy, o których myślałeś, że to duchy zmarłych ludzi.

Antoni odczuł falowanie i nie mógł sobie zdać sprawy, czy płynie z opiekuńczym duchem, czy te fale, które wyczuwał, płyną niewidzialnie obok nich. Czuł dokładnie ruch kołyszący, jak gdyby siedział w łódce na spokojnem jeziorze i był unoszony, nie oddziałując na kierunek jazdy ani wiosłami, ani nawet myślą. Zapytał więc opiekuna, skąd ta szybka zmiana, że odczuwa taką cudowną lekkość. Ten odpowiedział mu:

— Owszem, jesteś lżejszy; zatracać będziesz coraz bardziej świadomość niesienia ciężkiego ciała. Wiesz przecież, że zostawiłeś je na łóżku w szpitalu. Lecz postanowiłeś także nie przejmować się tem wszystkiem, co je otacza na ziemi, ani płaczem matki, ani rozmową, toczącą się na temat twej śmierci, czy letargu. Zdałeś to na wolę Bożą i to cię odciążyło. Zaczynasz sobie uświadamiać w duchu, że nie działa tu tylko nasza wola, lecz wola wyższa, której się trzeba poddać. a ty poddajesz się chętnie. Tem samem lekkość twego ducha podwaja się; z większą świadomością będziesz patrzył na niejedno zjawisko, pamiętając o wszystkiem nawet po przyłączeniu się do ciała, kiedy rozpoczniesz nowe życie na ziemi.

Wtem odczuł Antoni, że przystanęli; zdziwiło go przytem spostrzeżenie, iż kołyszące ruchy trwają w dalszym ciągu, wobec czego zapytał znowu w myśli:

— Czyż ten ruch nie ustanie? Któż to mną kołysze i gdzie są te niewidzialne fale?

Odpowiedź brzmiała:

— Te kołyszące fale, będące przejawem ustawicznych drgań, są wszędzie. Jest to wielki znak życia,

wypełniający cały wszechświat. Nie zauważyłeś tego tak dokładnie zaraz po odłączeniu się od ciała, bo świadomość twoja była wtenczas jeszcze przyćmiona.

Na całej niemal kuli ziemskiej, gdzie ludzie żyją, kierują się miernikiem czasu, który monotonnem „tyk-tak, tyk-tak“ znaczy jego drogę. Temu „tyk-tak“ odpowiada rytmiczne bicie waszego serca. „Tykanie“ zegara słyszycie, chociażby już w waszem ciele ustały wszystkie funkcje; gdy dźwięki i odgłosy nie dolatują już do waszego słuchu w chwili konania, to owe monotonne „tyk-tak, tyk-tak“ trwa i bywa często chwytane słuchem fizycznym człowieka, choć duch odłącza się już od ciała zmarłego. Aczkolwiek nie słyszy już wtórowania swego serca owemu tykaniu, to zato w poszumie tysiącznych odgłosów odczuwa i słyszy dźwięki chociażby najmniejszego zegarka. Przy odłączaniu się bowiem od ciała wpada duch w falę dźwiękową, która jest odbiciem tykania wszystkich zegarów na ziemi.

Bardzo często zdarza się, że duch umierającego zatrzyma wskazówki zegara. Niejednokrotnie stanie zegar nietylko w pobliżu umierającego, lecz nawet u krewnych, o których on w owej chwili pomyśli. Z szeregu rozmaitych przyczyn tego zjawiska przeważa to, że duch, odłączając się od ciała, słyszy to „tyk-tak“ tak głośno, jak gdyby ktoś uderzał młotkiem o młotek. Znalazłszy się na fali dźwiękowej tykania wszystkich zegarów świata i męcząc się w niej, pragnie wydostać się z niej jak najprędzej.

Często duch opiekuńczy umierającego, lub duchy dawniej zmarłych jego krewnych, już cokolwiek świadome w swej ojczyźnie ducha, same chwytają za wskazówki i wstrzymują bieg zegara. Tem samem jeżeli zegar w bezpośredniej bliskości zmarłego nie tyka, ostre fale dźwiękowe, dla przeciętnego takiego ducha niemiłe, zostaną przygłuszone, a nawet stłumione.

Czasem także duch opiekuńczy własnowolnie zatrzymuje zegar w biegu, mówiąc:

— Z chwilą zatrzymania zegara jest także twoje życie skończone. Nie ten czas będzie tobą kierował, odzyska on swoje znaczenie dla ciebie dopiero przy ponownem twem przyjściu na świat.

Nieraz tu i ówdzie zatrzymuje zegar u jego bliskich krewnych, którzy Karmą lub sympatją są z daną osobą złączeni, dając im przez to znak, że ten już na ziemi nie żyje.

Zdarza się także często, że żyjący na ziemi po śmierci jakiejś osoby bezwiednie i bezmyślnie zatrzymują wskazówki zegara. Czasem robią to bez określonego celu, niekiedy myślą o spokoju wiecznym, o głębokim śnie lub ciszy dla umarłego. Inni myślą, że umarły życzy sobie, by zegar stanął, bo w niektórych wypadkach po czyjejś śmierci zegar sam stanął bez pomocy ludzkiej ręki. Jeszcze inni zatrzymują zegar na znak żałoby.

Podobnie, jak na ziemi macie miarę czasu, której odbiciem jest też przyziemna fala dźwiękowa wyżej wspomniana, podobnież i tu mamy miarę czasu, przejawiającą się przez ciągłe drgania kosmiczne, wysy-

łane z całego wszechświata. Możecie wstrzymywać sobie zegar, możecie tłumić fale dźwiękowe dźwięków słabiuteńkich i dźwięków mocnych, wybijających godziny czasu, lecz tutaj, gdzie czas różnie przez różnych bywa mierzony, żadna ręka tego wiecznego ruchu wstrzymać nie zdoła.

Wiele tu jest duchów zupełnie już świadomych, jednak jeszcze przyziemnych, które kierują się czasem, oznaczanym przez fale dosyć silnie promieniujące z innych gwiazd, złączonych z ziemią, na której leży obecnie twe ciało, i liczą się z wpływem wzajemnym gwiazd na siebie. Po części mają rację, bo i światy (gwiazdy) tworzą pewne zgrupowania, harmonizujące z sobą; takie światy, zgrupowane w jednym kręgu, nie wszystkie oddziaływują na siebie dobrze. Nie tyle wiedzą o tem astronomowie, żyjący na ziemi i w zaświecie, ile tak zwani astrologowie. O ich zapatrywaniach na życie i na siły kosmiczne, rządzące się niejako autonomicznie pod kierunkiem pewnej siły wyższej, którą jednak oni rzadko kiedy poznają i uznają — opowiem ci później więcej i wskażę, jak się ta sprawa w istocie przedstawia. Ale zrobię to dopiero po twoim powrocie do ciała, kiedy już spokojnie będziesz się mógł od niego odłączać pod dachem twej matki i w pełni świadomości duchowej będziesz mógł spisywać nasze myśli, kiedy będziesz mógł być na jawie z nami w łączności, w zupełnej świadomości ducha, gdzie ci już nie będzie ciało przeszkadzało, chociażby się i duch nie odłączył od niego. Będziesz mógł patrzeć na nas cielesnemi twemi oczyma.

Rozdział X.

Powstawanie larw.

Piekło i czyściec.

To drganie, o którem mówiliśmy, jest to jakby bicie serca Kosmosu — serca nigdy nie umierającego. Niebawem ujrzysz pokrewne zjawisko nieustannego ruchu we wszechświecie. Ujrzysz takie same larwy, jakie oglądałeś już w czasie poprzedniej wędrówki. I one są w ciągłym ruchu, żyją, nie mając jednak jasnej świadomości duchowej, są obdarzone nawpół zwierzęcemi instynktami, a są różnego pochodzenia.

Tu ujrzał Antoni ogromną ilość larw, podobnych do tych, które już widywał. Wydawało mu się, że stoi wraz z opiekuńczym duchem na wysokiem obserwatorjum i patrzą razem na morze głów z niewyraźnemi i niekształtnemi tułowiami. Wszędzie było ich pełno. Antoni zapytał:

— Skądże się one tu wzięły i jak powstało ich życie?

— One nie są tworem Bożym — objaśniał duch opiekuńczy — ich twórcami są ludzie na ziemi. Życie ich jest smutną zagadką, jest bolesnym objawem nadużycia i spaczenia cudownych zdolności twórczych, danych przez Boga człowiekowi, stworzonemu na Jego

obraz i podobieństwo. Choć życia nie otrzymały z rąk Bożych, to jednak — ponieważ Bóg jest wszędzie i we wszystkiem jest Jego tchnienie — i w nich jest maleńka Jego iskierka. Atoli zło, tkwiące w nich, ta brzydota i cierpienie, pochodzi od ich bezpośrednich twórców, od niższego „ja" ducha ludzkiego, działającego przeciw woli Bożej.

A larw tych jest tak wiele — więcej, niż wszystkich ludzi na ziemi, ludzi w ciałach i bez ciał. Życie ich jednak nie jest wieczne. Ich śmierć, ich unicestwienie zależy również od człowieka, ale od człowieka duchowo uświadomionego, znającego prawo życia i żyjącego według woli Bożej. Zniszczenie tych larw jest bolesne zarówno dla larw, jak i po części dla tych, którzy im dali życie. Widzisz, że małe stworzenie, jak n. p. komar, broni się rozpaczliwie, jeżeli je uchwycisz za jego liche skrzydełka. Lęka się niebytu, broni się przed śmiercią. Z człowiekiem-olbrzymem stacza walkę, opiera się cienkiemi nóżkami, chce się wyrwać z niebezpiecznej dla niego ręki, rozgląda się trwożliwie, dokądby odlecieć po uwolnieniu się, gdzieby się ukryć. A cóż dopiero te nieszczęsne larwy. Widzisz ich wyraźne podobieństwo do ludzkiej twarzy? Dobrze, że człowiek-duch, świadomy praw wyższych, może im nietylko na ziemi odbierać życie, ale i tu w zaświecie może je przynajmniej ubezwładniać, by nie czyniły wielkiego spustoszenia. Lecz niestety, mało jest tych ludzi świadomych, wiedzących, co tworzą poza widzialnemi czynami na ziemi, co tworzą poza swemi myślami. Nieświadomi wiecznego życia ducha, jakie ono jest w rzeczywistości, opu-

szczają swe zastygłe zwłoki i przenoszą się do ojczyzny duchowej. Duch opiekuńczy ma nieraz wiele pracy. Ma on czuwać nad ludźmi żyjącymi na ziemi, nad ich czynami i myślami. Widzi cały ich dorobek duchowy, musi się ku nim przedzierać przez ten dorobek nieraz niemiły, stworzony bądź to w nieświadomości, bądź też w zupełnej świadomości zapomocą siły czarnej magji. Lecz i nieświadome tworzenie złego polega na podstępnem wytwarzaniu tegoż przez ciemne moce duchowe, przeciwstawiające się woli Bożej. I oto patrz na niebezpieczne dzieło człowieka, żyjącego na ziemi w nieświadomości spraw boskich, nieznajomości prawa Karmy i reinkarnacji. Widzisz to morze głów, lecz to nie są wszystkie. Jak powiedziałem, jest ich więcej, niżeli ludzi, żyjących jeszcze na ziemi, jest ich więcej, niżeli ludzi, przebywających w nieświadomości w astralnym świecie po swej ziemskiej śmierci. Jest to niemal najsmutniejszy obraz w dziejach nieświadomości ducha ludzkiego.

A teraz opowiem ci, jak one powstały, skąd się tu wzięły i jakie jest ich życie.

Wiesz, że ciało ludzkie promieniuje. Te promienie — to przejaw magnetycznej siły, to twórcze molekuły, które ściąga z przyrody magnetyzm ludzki razem z magnetyzmem zwierzęcym, znajdującym się w sporej ilości również w człowieku. Człowiek żyjący na ziemi promieniuje stosownie do swego trybu życia. O ile nie zasila swego organizmu mięsem zabitych zwierząt i ptaków, nie podnieca swego organizmu alkoholem ani tytoniem, nie oszałamia ciała astralnego narkotykami,

nie tworzy w takiej pełni tego, co tworzą ci, którzy czynią odwrotnie.

Żebyś lepiej zrozumiał, co ci chcę powiedzieć, wskażę ci to na naocznych przykładach. Nie włączaj tylko swoich myśli ni domysłów, a ujrzysz wszystko tak, jak się to tworzy, ujrzysz nowo tworzące się larwy.

Spójrz, na ziemi zapadła już noc. Nie szukaj tam swego ciała, ni tych, którzy je otaczają. Dla ciebie nie istnieją oni teraz, chociaż jeszcze masz z nimi kontakt.

Spójrz! Widzisz tam tego otyłego pana? Z trudem podnosi się z krzesła, odkłada cygaro, przed nim na stole mięso i wino. Na talerzu leżą ogryzione kości pieczonej gęsi, obok wódeczka. Oto tam dalej wypróżniona butelka z wina, obok talerzyk z resztkami jarzyn, z kapustą i kluseczkami.

Widzisz, jak jego twarz płonie, z niechęcią już patrzy na pozostałe resztki. Przed dwoma godzinami oblizywał wargi na widok stołu bogato zastawionego do kolacji. Na stole znajduje się także bukiet konających kwiatów, na którym tylko przelotnie spoczęło oko lubieżnego człowieka. Odstawił je na bok, by mógł lepiej patrzeć w twarz rozmawiającej z nim towarzyszki.

Przygodna miłość. Spójrz, czy miłość tych dwoje łączy! Widzieli się po raz pierwszy w pewnym sklepie, do którego weszła za nim, podpatrzywszy już poprzednio u niego gruby portfel i brylantowe pierścienie na czerwonych, grubych i krótkich palcach.

Kiedy wychodził ze sklepu, ona nibyto chciała wyjść przed nim, lecz potknęła się na progu i chwyciła się owego starszego pana. Ten nie dbał o to, że mu teczka

wypadła z pod ręki, tylko podtrzymał nadobną pannę, by nie upadla i by co złego jej się nie stało.

Jej mocno wykarminowane usteczka dziękowały mu za grzeczność, tłumacząc swe potknięcie zawrotem głowy. Pomocnik sklepowy podał tymczasem tekę właścicielowi i chciał mu przytem dać do zrozumienia, żeby się panienką nie przejmował, bo on ją zna, że to jest panienka z ulicy. Lecz ona tak wdzięcznym wzrokiem spojrzała na bankiera, że go niemal zahipnotyzowała. Bankier odebrał mechanicznie teczkę i wyszedł za piękną dziewczyną na ulicę. W mieście miał pozałatwiać pewne sprawunki, ona zaś była w mieście „w przejeździe". Jedzie w tę samą stronę, co i bankier.

— Ależ to się dobrze składa, będę mógł pani towarzyszyć, czy pani pozwoli?

— Owszem, będę panu niewymownie wdzięczna. Teraz miałabym pewnie głowę potłuczoną o futrynę, gdyby mnie pan nie był podtrzymał.

On tłumaczył się niezręcznie, że się nic wielkiego nie stało. W głowie przebłyskiwała mu już myśl:

— Ta mała jest trochę za śmiała, albo za naiwna — jedno z dwojga.

Mocno wykarminowane usteczka i wydekoltowana, zanadto krótka sukienka, nie wskazywały na to, iżby to był niewinny podlotek.

— Zresztą zobaczymy — pomyślał sobie.

Zaproponował jej pójście na kawę albo na szampana.

— A, to na szampana! Kto tam będzie pił kawę!

I już oboje siedzieli przy stole. Kelner skłoniwszy nisko głowę w uszanowaniu przed błyszczącemi bry-

lantami, myślał o sutym napiwku i zacierając ręce, zapytał grzecznie, czem mógłby służyć.

Bankier wiedział, czego ma żądać. Poprosił o sutą kolację najlepiej w separatce. Po kolacji udali się na spoczynek.

Zostawmy ich samych na chwilę, bo tam na ziemi ½ godziny czy godzina posuwa się żółwim krokiem, a tu przez ten czas możemy jeszcze zobaczyć co innego. W danej chwili znów na nich popatrzymy, byś mógł zrozumieć powstawanie larw.

* *
*

A teraz pokażę ci inny obrazek.

Widzisz tam tę niewiastę? Jest w tym samym wieku, co tamta przy bankierze. Patrz, jak szczerze patrzą jej oczy, a usta niekarminowane mówią o miłości i mówią prawdę, bo kocha szczerze. A z jaką powagą patrzy przed siebie mężczyzna, który przy niej stoi!

Dwa lata upłynęły od ich spotkania się na ziemi. Zaraz przy pierwszem spotkaniu się odczuli, że nie są sobie obojętni. Dawne pasma miłości wysunęły się z mgły starej przeszłości, zajaśniały nowym blaskiem, ożyły i otuliły oboje ponownie złotą wstęgą miłości. Zapomnieli w swej ludzkiej świadomości, że już niegdyś żyli razem na ziemi i byli tą wstęgą złączeni. W głębi ducha żyła ta tajemnica i zgłaszała się o swoje prawa. Nie zapomnieli też o tym jasnym węźle ci, których oko ludzkie dostrzec nie może. Oni to, kierując okolicznościami, spowodowali ich spotkanie przed 2 laty, aby się mogli złączyć na wspólne życie, piękniejsze od poprzednich, by uszlachetniali swego ducha, by z ja-

śniejszą świadomością zbliżali się do Boga i mogli kiedyś powiedzieć: „Jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boga — będącego Duchem, którego wiecznem życiem jest świat ducha."

Spojrz, przed nimi leży welon ślubny, dziś ich miłość została ulegalizowana, niejako zatwierdzona przez władze kościelne. Ksiądz i rodzina dali im błogosławieństwo na wspólną drogę życia.

Przy tej wzniosłej dla nich chwili byli i inni — goście niewidzialni — znający ich oboje z dawniejszego wspólnego życia na świecie i w zaświecie. Ci również im błogosławili.

Spojrz teraz tam dalej od nich na to ciemne chmurne tło! Widzisz, jak się tam poruszają larwy? Brak im energicznych ruchów i złowrogiego blasku ócz. Oczy ich, jak bez źrenic, są mętne, oślepłe, nie widzą nic naokoło siebie.

Larwy pełzają po sobie; silniejsze i ruchliwsze przygniatają słabsze. Te ostatnie giną powoli, rozpływając się na tle tej dziwnej nocy w ciemno-szarą mgłę.

Larwy, to teleplazma tych dwojga, z której się wytworzyły w szeregu ich poprzednich istnień na ziemi podczas wspólnego, nierozsądnego zlewania się razem w jednym uścisku, gdzie się wcale nie troszczyli o to, co się dzieje z najlepszą siłą ich ogranizmu podczas miłosnego przytulania się ku sobie.

Kiedy po odejściu od ciała częściej wpadali duchem pomiędzy te ponure larwy, owijające się koło ich ciała astralnego, a szczególnie koło szyi i nóg, za-

częli się zastanawiać nad swoją niedolą i błagać Boga o pomoc.

Na ich wołanie przybyły dobre duchy i wytłumaczyły im przyczynę ich udręki. Zmęczeni bardzo w otoczeniu larw, obiecywali poprawę i prosili o wyzwolenie z tej męki.

Przyszli na ten świat znowu. Dobry los tak zrządził, że się spotkali i zło naprawili. Za zrządzeniem dobrego losu są już po raz drugi złączeni na ziemi.

Przed zeszłem wcieleniem życzyli sobie przyjść na świat jako brat i siostra i pozostać do śmierci w bezżeństwie. I rzeczywiście, pomimo pokus trwali silnie w swem przyrzeczeniu, chociaż nie pamiętali w ludzkiej świadomości, że złożyli takie przyrzeczenie jako duchy.

Pamiętali o tem za to inni, ci niewidzialni i posilali ich w dobrych zamiarach. Zadanie jednych i drugich było trudne, bo larwy, obdarzone raz życiem, chciały dalej żyć kosztem tych dwojga. W dodatku, oprócz własnych larw czatowały na nie duchy, świadome złego, jak zresztą na niejednego w świecie czatują, by używać rozkoszy kosztem najlepszych sił, jakie tylko może wyprodukować organizm ludzki. Lecz gdyby tylko ten widzialny organizm ludzki! To jest właściwie siła więcej tego drugiego ciała, ciała astralnego, w którem duch przebywa jeszcze długo w zaświecie. Siła ta, to najlepszy łącznik ducha z ciałem astralnem i ciała astralnego z widzialnem ciałem ludzkiem.

Gdy w tem życiu znów się ze sobą spotkali — niby przypadkiem i znów dawna miłość ich ożyła, czuwaliśmy nad nimi, by do tych szlachetnych uczuć nie

wplątało się coś zwierzęcego. Pozostał im więc miły obraz ich narzeczeństwa — z niego mają czerpać siły w małżeństwie. Ostatnio myśleli i rozmawiali wiele na temat wspólnej przyszłości, na temat przyszłego wzajemnego pożycia w małżeństwie. Ślubując sobie zgodne współżycie, wyszeptali prawie jednocześnie: „Do tego dopomóż nam Bóg!“

Tem samem otworzyli nam podwoje swych serc, a my mogliśmy im wlewać otuchę do życia, orzeźwiać ich piękne, pełne nadziei, myśli i tworzyć z nich wieńce w ich aurze. Mogliśmy ich obdarzać magnetyczno-dźwiękową siłą, rozszerzając ich miłość wzajemną na miłość do całej ludzkości.

Niewiasta i tak niezłego serca stała się przez tę miłość jeszcze lepszą. I on także zerwał ze wszystkiem, co mogło go kusić do złego, stronił od kolegów, odrębnie zapatrujących się od niego na życie i użycie. Jeżeli nie mógł wyjść na przechadzkę z ukochaną, to wolał sam rozkoszować się pięknem przyrody, niż spędzać czas w towarzystwie kolegów. Gdy się z nią czasem niespodzianie spotkał w czasie takich samotnych spacerów, porozmawiali serdecznie, by po chwili w cichej zadumie utonąć wzrokiem w sklepieniu niebios, zasianem gwiazdami. Myśli ich zgodnie biegły w bezkresną dal, w nieokreślonej tęsknocie do czystszych, lepszych krain. Wzrok ich cielesny nie wybiegał ponad to, co ujrzeć może każdy, obdarzony tak samo zdrowemi oczyma, jak oni — zato duchem wyczuwali wiele, choć nie zdawali sobie jasno sprawy, skąd im przychodzą takie różne piękne myśli, gdy patrzą wgórę.

Takiemi szlachetnemi uczuciami oddalali od siebie wampiryczne siły, których niestety jest wszędzie dosyć na ziemi.

Kiedy duch opiekuńczy wspomniał o wampirycznych siłach, Antoni stracił z ócz niewiastę z jej towarzyszem, a ujrzał bezdenną przepaść, pełną cieni, w których nie rozeznawał osób, tylko widział ich ruchy. Lecz duch opiekuńczy rzekł:

— Nie szukaj teraz tych różnych groźnych wampirów! Opowiem ci o nich w innej stosownej chwili. Spójrz teraz, niewiasta klęka i modli się, drży wśród modlitwy, zdając sobie sprawę z powagi chwili i nie dziwię się, że jej myśli nie płyną dziś tak spokojnie, jak zwykle płynęły. Wiem, dziś będzie klęczała długo, może dłużej, niżeli w inne dni. Myśli jej, płynące zwykle jedna po drugiej jak śliczne kwiaty, splatające się we wieńce — te myśli będą jej się urywały, nie będą też dziś tak ślicznie harmonijnie ułożone.

Tymczasem on stoi w zadumie, patrząc z drżeniem przed siebie. Od tej chwili jest jej mężem, jej opiekunem, jej bratem, jej wszystkiem tu na ziemi.

Patrz, jak kilkanaście duchów patrzy na nich chmurnym wzrokiem. Wiedzą one, że tych dwoje ma dziś znamienne chwile w życiu, że weszli na nową drogę życia, na wspólną drogę małżeństwa. Te nieszczęsne ciemne duchy cieszyły się już podczas ich długiej znajomości na ziemi na ową chwilę, kiedy narzeczeni padną sobie w objęcia, pozwalając na całkowite wyładowanie a później zapłonięcie swego magnetyzmu, spływającego z każdego nerwka i rozszerzają-

cego się na ciało astralne, wypuszczając z siebie w ten sposób nieświadomie teleplazmę, w której tym ciemnym duchom tak dobrze.

Patrz, ona się modli; jej modlitwa jest dziś inna, odmienna od modlitw w innych dniach. W tej modlitwie budzi się jej uśpiona świadomość duchowa. Patrz, widzisz ten wielki łuk pomiędzy urwanym pacierzem a niedomówionym dalszym jego ciągiem? Widzisz?

— Tak — odrzekł Antoni, ucieszony, że może wszystko widzieć tak dokładnie.

— Gdybyś chciał, mógłbyś słyszeć myśli i ich wyraźne brzmienie. Czy domyślasz się, dlaczego powstał ten łuk i dlaczego się jej urywają te myśli?

Spójrz na te niechętne twarze duchów! Nie podoba się im jej modlitwa, niepokojąca ich zresztą zawsze, gdy się wybiorą gdzieś na łup, a zastaną swą upatrzoną ofiarą przy modlitwie, lub w jakiej spokojnej zadumie.

Te duchy odprowadziły ich ze sali, gdzie zostawili rozbawionych krewnych, do sypialni, a nie mogąc znieść modlitwy, przerwały jej myśli, działając na nią przez jej ukochanego w nadziei, że on będzie mniej odporny na ich inspiracje. Patrz, jak mu sugerują, by ją już porwał w objęcia. — W tejże chwili zbliżył się też do nich ich duch opiekuńczy, o którego istnieniu w ludzkiej świadomości niewiele wiedzą, ale wierzą w istnienie aniołów, djabłów, Boga i wielu świętych w niebie.

Ona właśnie swą modlitwą: „Aniele-Stróżu mój, Ty zawsze przy mniej stój“, przywołała go w tej chwili ku sobie. Z powodu sugestywnej siły duchów ciemnych, tłumiącej jej myśli, nie przeszła już druga połowa pa-

cierza przez jej usta. Zaczęła więc wzywać anioła-stróża, lecz i ten tok myśli jej przerwali, a śmiejąc się trącali się wzajemnie, kpili z jej modlitwy, a tem samem przerywali jej modlitwę, mówiąc: „Ona w poślubną noc wzywa Anioła-Stróża!“

Ona odczuła gorąco na twarzy, nie mogła się modlić; jakaś trwoga i wstyd, zmieszany z obrzydzeniem, przerwały tok jej myśli do reszty. Sądziła, że te uczucia i ten niepokój są jej własnym niepokojem.

Tymczasem duch dobry podniósł nad nią swe białe ręce, lśniące czystym magnetyzmem w kolorze różowozłotawym i zaczął się za nią modlić. Ona zaś położyła znużoną głowę na krawędź łóżka i tem samem duch jej uwolnił się lekko od ciała i mógł lepiej pojąć i zrozumieć myśli jej opiekuńczego ducha.

Nieszczęśliwe ciemne duchy oddalały się od niej, a trącając się wzajemnie, pokazywały sobie język.

Duch opiekuńczy spuścił myślowo zasłonę naokoło tych dwojga, tak że zniknęli z ócz ciemnym duchom. A te, nie mogąc ich dostrzec, ani dosłyszeć ich myśli, zaczęły się kłócić między sobą i oskarżać jeden drugiego.

— Przyszliśmy za bardzo blisko do nowożeńców...

— Było trzeba czekać w oddaleniu, a nie wtrącać się w głupią jej modlitwę.

Antoni widział oddalające się duchy, ale nie mógł wyraźnie dosłyszeć ich rozmowy i tematu kłótni. Opiekun rzekł do niego:

— A teraz uważaj, usłyszysz całą ich rozmowę, połączę cię z niemi.

Nad głową Antoniego a następnie naokoło grupy duchów zakreślił ręką koło od strony lewej w prawą, potem połączył te kręgi życzeniem, by Antoni mógł słyszeć ich rozmowę. Myśl opiekuna podziałała błyskawicznie, Antoni natychmiast usłyszał każdą ich myśl.

— Było trzeba czekać w oddaleniu i nie wtrącać się w jej głupią modlitwę.

— Ja nie wiem, że też się jeszcze nie nauczyłeś, iż przerwanie modlitwy kończy się dla nas zawsze fiaskiem, o ile się przez to chce coś zyskać dla siebie.

— Dla siebie, dla siebie — przedrzeźniał ze złością drugi — tylko dla siebie, co? a wy nie byliście przy tem? nie czekaliście, by wam się coś przytem dostało?

— By nam się coś dostało! — powtórzyło z gniewem kilka innych duchów. — Patrzmy, jakie prawo rości sobie do tej niewiasty!

— Tak, mam prawo, a to większe, niżeli sobie myślicie. Znam ją dawniej od was. Ja już dawno za nią chodzę, a wy przyczepiliście się tylko do mnie.

— No, no, z tem twojem prawem, to tak pewnie nie będzie wszystko w zupełnym porządku — odezwał się ktoś inny z ich grona. — Gdyby tak było i miałbyś jakie prawo, to nie ukrytoby ci ich przed nosem.

— Co? To z mego powodu? — krzyczał dalej duch. — Z powodu was, bo was tu tyle przyszło. Tyle na dwie istoty!

I znów odezwał się inny:

— Nie było się trzeba chwalić przed nami, że dziś jest wesele! Nie było się trzeba tak głośno cieszyć na

użycie przy nich podczas uczty i nocy poślubnej. Przyszliśmy się więc popatrzeć, jak ci się będzie powodziło.

— Milcz! — krzyczał dalej duch — wynoście się ode mnie, bo wam karki powykręcam, że nie zobaczycie na krok przed siebie.

— Ho, ho, spróbuj! — wołali inni. — Ty myślisz, że już nic nie potrafimy?

Duch zamilkł na chwilę. Zaczął przemyśliwać, a myśli topił rozmyślnie we swem wnętrzu, ukrywając je, by ich jego towarzysze nie odgadli. Ale Antoni i jego duch opiekuńczy widzieli je i rozumieli, chociaż one nie dolatywały ku nim przez falę magnetyczną i nie były głośne. Duch myślał o tem, jakby się pozbyć niemiłych dla siebie w tej chwili towarzyszy, bo chciał koniecznie powrócić do nowożeńców, by skorzystać z wyczekiwanej chwili ich połączenia się. Zaczął więc znowu perswadować towarzyszom:

— Dlaczego nie pozostaliście tam pomiędzy podochoconymi na sali? Przecież tam moglibyście się też zabawić dowoli. Dlaczego przywlekliście się za mną? I tak teraz z tego nic nie macie.

— I ty także nie — odrzekł któryś z nich butnie. — Chciałeś sam używać, więc za karę też z tego nic nie masz.

— Za karę? Za jaką karę? Któż mnie śmie karać?

Duch opiekuńczy przerwał kontakt z nimi, mówiąc do Antoniego:

— Zostawmy ich i spójrzmy na nowożeńców. Teraz połączę cię z nimi. Spójrz, w jej oczach są łzy, a naokoło nich ledwie co przez nich wytworzone myśli.

Podczas gdy Antoni i duch opiekuńczy zajęci byli obserwowaniem nieszczęsnych duchów, toczyła się między nowożeńcami taka rozmowa. Po krótkiej, posilającej modlitwie, po oddaleniu się duchów, odezwała się młoda małżonka do męża:

— Naprawdę, tyle się mówi zwykle pomiędzy koleżankami o ślubie, każda niemal pragnie zamążpójścia, każda cieszy się na swój dzień ślubu. I ja cieszyłam się na ten dzień, a jednak od samego rana jest mi tak smutno, że z trudem się utrzymałam, by nie wybuchnąć płaczem i to w chwili, kiedy naokoło byli wszyscy weseli i bawili się dobrze. Nie wiem, czyby to było przeczucie czegoś złego? Znam cię przecież, siebie też dostatecznie; wiem, żeś człowiek dobry, że mnie kochasz; wiem, że nie bylibyśmy zdolni do niewierności małżeńskiej. Cóżby to więc mogło być? Przez cały dzień snują mi się po głowie różne myśli. W rozmowie z krewnymi i gośćmi weselnymi myślałam wciąż o czemś innem, a nie o tem, o czem rozmawiałam.

Z pobladłą twarzą patrzał oblubieniec na swą młodą żonę. Młodą — bo on liczył lat 40, a ona 18.

Myśl o gwałtownem porwaniu jej z klęczek w objęcia odleciała już od niego, u niej też mocny napływ krwi do głowy ustąpił zaraz po oddaleniu się nieproszonych, niewidzialnych gości. I on zaczął również zbierać w głębi ducha rozrzucone myśli o Bogu, wiedząc, że w Jego rękach znajduje się los człowieka. Próbował także pomodlić się, ale nie mógł myśli skleić w całość. Gdy zaś żona na niego spojrzała, poruszał szybko wargami, udając, że się modli. Ona — jak

widziałeś — przerwała mu tę udawaną modlitwę. Wiedziała, że jej mąż jest nadzwyczaj pogodnym i dobrym człowiekiem, ale modlić się nie umie; zwierzył się jej z tego krótko przed ślubem. To też ona, domyślając się, że mu modlitwa trudno przychodzi, powstawszy z klęczek od łoża przerwała mu ją tokiem swych wynurzeń.

Pod wpływem tych jej słów pobladł i zatrwożył się. Nie spodziewał się od żony takich słów, i to w obecnej chwili. Ujął ją za obie ręce i długo wpatrywali się w siebie wzajemnie. Obojgu zaczęły się powoli staczać łzy po twarzy. Nie mogąc ze wzruszenia wydobyć z siebie ani słowa, pochylili się ku sobie jak dwa kwiaty; łzy ich łączyły się na ich przytulonych policzkach.

— Widzisz, w ludzkiej nieświadomości sami nie wiedzą, dlaczego płaczą — rzekł opiekun. — Cała głęboka tajemnica ukryta jest na dnie ich ducha. Oni stwarzali niegdyś jeszcze żyjące, ale już konające larwy. W przedsięwziętej w zaświecie, a następnie dotrzymanej na ziemi należytej czystości jako brat i siostra, ubezwładnili je; gdyby w obecnem życiu nadal pozostali w czystości, nietylko poginęłyby larwy, ale zatarliby za sobą ślady, po których je odnajdują różne duchy, jak naprzykład te, które widziałeś przed chwilą w kłótni, że nie osiągnęły zamierzonego celu.

Płakali oboje, nie wiedząc, że to pod wpływem drżenia ducha, ujarzmionego w ciele, w którem tak trudno wykonać dobre przedsięwzięcia, gdyż na to ciało fizyczne lepi się tyle złego, na ciało astralne uderza tyle różnorodnych uczuć, napływających z zewnątrz, a w ten sposób sączy się to niejako wszystko do krwi

i przykuwa ducha do materji, do ziemi. Jeżeli się do tego dołączy sprytne, przewrotne działanie nieszczęsnych duchów-kusicieli tak w ciele ludzkiem, jak i astralnem, to wtedy jest bardzo podatny grunt do tworzenia nowej Karmy.

O tem dowiesz się dokładnie innym razem. Za wielkie to jest pole działania, abyś mógł zrozumieć jego ogrom, zestawiony tylko w kilku myślach.

Posłuchajmy, co on jej powiedział, gdy się ich łzy razem złączyły. Mówił do niej nieświadom tego, co niegdyś przeżyli, co niegdyś stworzyli i co sobie postanowili w zaświecie — a jednak w słowach jego ujawniło się w znacznej mierze przeczucie istotnego stanu rzeczy.

— Moja ukochana — zwierzał się — moja jedyna, pewnie przyjmiesz to ze zdumieniem, jeżeli ci powiem, że pomimo iż mi dobiega 40 rok życia, o czem zresztą wiesz, nie miałem w objęciach żadnej kobiety. Nie wiem, co to są zmysłowe rozkosze. Życie płciowe znam tylko z kilku lichych podręczników. Przeczuwam ogrom znaczenia życia płciowego; zawsze mnie raziło, gdy w towarzystwie rozmową czy śpiewem znieświęcano to dziwne misterjum Przyrody. Przez ten akt, dotąd mi nieznany, daje się przecież początek życia niewinnemu dziecku, które może wyróść na dobrego mężczyznę, czy też taką cnotliwą i w Boga wierzącą niewiastę, jaką w tobie poznałem. Trzeba przecież wierzyć, że do tego ciałka, powstałego z nasienia naszego ciała, ześle Bóg ducha.

Wiem, że podłożem twego dzisiejszego smutku jest coś, z czego sobie nie możesz zdać sprawy. Może twoja czysta dusza lękała się jakiego zbryzgania podczas naszego całkowitego zbliżenia. Żal ci twej czystości, twej niewinności, bo nie wiesz, co za nią wzamian otrzymasz — czy pełne zrozumienie...

Przerwał, spuściwszy głowę; ona patrzyła na niego szeroko rozszerzonemi oczyma i po chwili rzekła:

— Mów, mów mój drogi, mów w imię Boże! Czuję, że spada mi jakiś dziwny ciężar z serca. Z głębi ducha mego wydobywasz mi moje utajone myśli, z któremi nie mogłam się ni z koleżankami, ni z nikim podzielić, nie zrozumianoby mnie. Nawet przed tobą nie mogłam ich wyjawić, bo mi na to nie pozwalał wstyd. Może to był wstyd niewłaściwy, fałszywy, ale trudno, tak jesteśmy wychowane.

— I ja nie ośmieliłem się rozmawiać z tobą na ten temat; bałem się, że się obrazisz. W dodatku wydawało mi się ciągle, że jeszcze jesteś dziecinna, żebyś może nie zrozumiała, co i mnie nie jest dosyć jasne. Wiele już też sam wycierpiałem pod tym względem. Wśród znajomych musiałem nieraz udawać, że się rozumiem na tych sprawach, by nie być przez nich wyśmianym i wykpionym jako mężczyzna nienormalny, który nie wie, co to jest uścisk kobiety. Wypadało się przyznawać do rzeczy, których nie było.

Po opuszczeniu takiego towarzystwa miewałem zawsze ponure sny, którym towarzyszyło podniecenie cielesne. To też unikałem wszystkich takich wesołych znajomych, zamykałem się w domu, a czytając książki

do nocy, nie odpowiadałem na stukania do drzwi — udawałem, że mnie niema w domu, żem wyjechał.

Po poznaniu ciebie martwiłem się, aby cię kto nie zranił twierdzeniem, że pewnie miewałem kobiety u siebie, bom się przed kolegami zamykał.

Następnego dnia zwykle dokuczali mi koledzy takiemi docinkami: „Któż tam u ciebie świecił w mieszkaniu, skoroś wyjechał? Cicha woda brzegi rwie!"

Takie i tym podobne docinki dręczyły mnie dobitnie wówczas, gdy już ciebie poznałem.

— Masz rację,... nieraz bywało mi smutno; nieraz płakałam, gdy mnie koleżanki zapytywały o twe poprzednie znajome, które miały bywać u ciebie... Wiem, że ludzie nieraz kłamią, wiem, że wolny czas poświęcają na plotki i ploteczki....

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Po krótkiej chwili milczenia ciągnął młody małżonek dalej:

— W zagadnieniu życia płciowego kryje się jakaś wielka tajemnica, którą trudno pojąć prostym rozumem ludzkim. Nie chciałbym sobie igrać z temi siłami, nie chciałbym się też zniżać do poziomu zwierzęcości, a już wiele razy mogłem mieć w życiu sposobność do skosztowania tego owocu ze zakazanego drzewa.

Niejednokrotnie bolałem nad tem, że tak często jako wynik płochego użycia tu i ówdzie rozwija się nasienie — płód ludzki — a sami ludzie przy pomocy operacyj i różnych środków trujących nie chcą dopuścić zarodka do życia i rozwoju, aby dziecię przyjściem swojem na

świat nie dało świadectwa ich często płochej miłości, ich lekkomyślności. Takich wypadków u zwierząt się nie spotyka.

Wierz mi, że zbrzydło mi to niegodziwe postępowanie ludzi, postawionych nieraz na wysokich stanowiskach, tak iż postanowiłem lepiej nie pozwalać na powstawanie wszelakich chuci w moim organiźmie i siłą woli kierowałem krążeniem krwi, jeżeli ta zanadto zaczynała mi uderzać do głowy i nasuwać takie niezdrowe, marzycielskie myśli. Broniłem się natychmiast przed temi myślami, starałem się wtenczas myśleć o czemś wyższem, czystszem i zwykle w takim wypadku uzyskiwałem spokój.

Nieraz siedząc w towarzystwie, czasem już trochę podchmielonem, wychodziłem niepostrzeżenie bez pożegnania, bo nie mogłem znieść tej brudnej atmosfery, jaka się wytworzyła pod wpływem ich dwuznaczników, skierowanych pod moim adresem, jako kawalera do wzięcia. Wyszedłszy stamtąd, biegłem formalnie w pola, na łono przyrody, i dopiero po kilku głębokich oddechach odzyskiwałem równowagę ducha. Nieraz miewałem ochotę zgromić całe towarzystwo za ich niesmaczne dowcipy, ale najczęściej w takich wypadkach kierowałem rozmowę na inne, przyzwoitsze tory. Musiałem więc słuchać ich uwag, żem się minął z powołaniem, żem był powinien zostać księdzem, a nie inżynierem.

Dopiero po poznaniu ciebie wyczułem odrazu w tobie istotę odmienną od tamtych kobiet, które mi się

plątały w drodze. Nieprzeparta moc ciągnęła mnie ku tobie. Chciałem z tobą obszerniej pomówić o moich zapatrywaniach na życie i na użycie, byś się może na mnie nie zawiodła. Twoje czyste, anielskie oczy mówiły mi niejako, że się rozumiemy. To też dziś zechciej odpowiedzieć na moje pytania! Czy chcemy uczynić drugi ślub, drugie wzajemne ślubowanie naszych duchów?

Ksiądz spełnił swoje zadanie, bez jego ceremonji trudno byłoby nam iść przez życie, taki już tu jest porządek rzeczy na ziemi. Myślę, że teraz my powinnibyśmy powiedzieć sobie coś na całe życie i dążyć do spełnienia tego zobowiązania. To, że cię kocham, że cię bardzo kocham, na to chyba nie muszę ci przysięgać; wiem też, że i ty mnie kochasz, bo inaczej nie zdecydowałabyś się iść ze mną na wspólną wędrówkę życia. Takbym chciał, żeby pomiędzy nami nie było żadnych cieni, żeby zawsze między nami było pełne zrozumienie wzajemne. Wiem także, że los nasz jest w ręku Boga, a jeżeliby na nas spadło jakie cierpienie, to je znośmy bez szemrania i zdani na wolę Bożą. Przedewszystkiem pamiętajmy, byśmy się nie łączyli w celu wzajemnego użycia, ale w tym celu, by dać życie zdrowemu potomkowi, któryby żył Bogu na chwałę, a ludziom na pociechę. Z chwilą, gdybyś zapadła w ciążę, powinnaś mi o tem bezzwłocznie powiedzieć, bo nie chciałbym być gorszym od zwierzęcia. Jest prawdą, że uderza na mnie czasem jakaś dziwna chęć użycia, w której nie poznaję się nawet, ale na szczęście jak szybko się zjawia, równie szybko ją w sobie zwalczam. Przed chwilą

n. p. o mało nie zapomniałem o swojem niemal świętem przyrzeczeniu, iż nigdy nie wezmę w objęcia kobiety, póki jej nie powiem swego zdania o uścisku miłosnym. Już chciałem cię porwać z kolan w objęcia i zapomnieć o świecie całym, a może i o Bogu.

I oto moja spowiedź! Uczyń z nią, co chcesz, ale czyń tak, żeby było dobrze i żebyś i ty mogła spokojnie patrzeć w przyszłość. Sądzę, że przez takie współżycie nie oddalilibyśmy się chyba zbytnio od woli Bożej; ona to powinna nami kierować, a nie zachcianki tego świata, zgnilizna moralna i podłe, zwierzęce chuci człowieka.

Antoni był do głębi wzruszony tem, co słyszał od nieznanego mu człowieka na ziemi. W myslach zapragnął spotkać się z nim tam na ziemi, gdy powróci do ciała, gdy się zbudzi z letargu. Duch opiekuńczy podchwycił te myśli i rzekł:

— Dobrze, spotkasz się z nimi na ziemi i będziesz mógł także poznać ich rozkoszne dziecię o dobrych, szeroko otwartych oczach, patrzących z uśmiechem na świat cały. Pamiętaj, za króciuchną chwilkę będzie pierwszy początek tworzenia się jego ciałka. Duch, przeznaczony na ich pierworodne dziecię, znajduje się tutaj w zaświecie.

* *
*

A teraz spójrzmy na tych dwoje osobników w hotelu, których też złączyła rzekomo wzajemna sympatja i „miłość".

Antoniego wprawiła w zdumienie ogromna szybkość, z jaką mógł się przenieść myślą z jednej miej-

scowości do drugiej. Ujrzał szczupłą niewiastę, zaledwo widoczną w objęciach bankiera. Obok nich leżały porozrzucane na ziemi poduszki. Stan pościeli przedstawiał istne pobojowisko, pozwalając się domyśleć, że dwoje nieprzyjaciół stoczyło tam zawziętą walkę. Teraz trwali oboje w spazmatycznym uścisku, zwinięci niemal w kłębek. To tylko ich ciała fizyczne; ciała natomiast astralne w konwulsyjnych drganiach rozlatywały się niemal w strzępy, a wciskając się w siebie wzajemnie staczały między sobą dziwną bójkę. Walka ta odbijała się i na ciele fizycznem; całując się, gryźli się wzajemnie. Bankier miał już na sobie podartą koszulę — było to dziełem jej wysmukłych, cienkich paluszków. Tu i ówdzie na szyi i na ramionach mężczyzny pozostawiły jej paznokcie ślady w postaci czerwonych pręgów.

— Spójrz teraz — rzekł duch opiekuńczy — pomogę ci, byś mógł szybko i jasno ujrzeć ich otoczenie fluidarne. Widzisz wyraźnie ten słup ognia, buchającego od nich szeroko i wysoko — to płonący magnetyzm dwu ciał. Płoną ciała astralne, a płomień ten przedziera się gwałtownie i przez ciała fizyczne, otwierając ich potne pory. Lecz to nie jest tylko ich własny płomień — to płoną w ogniu namiętności także duchy, wlokące się stale jak cień za ową dziewczyną po kawiarniach i po ulicy. I bankier ma również swoje wampiry. Spójrz, jaka między nimi walka! Każdy chce być jak najbliżej magnetycznego ogniska, by móc narozkoszować się wchłanianiem magnetyzmu, wydobywającego się z ginącego nasienia.

Teraz następuje chwila tak zwanego spłynięcia — wzajemnego złączenia się cielesnego i astralnego, a tem samem wyrównania się magnetycznych prądów obojga. Patrz uważnie, widzisz, co się w tym płomieniu dzieje? wszystkim ich niewidzialnym towarzyszom rozkoszy udziela się ta fala wyrównania. Zmęczeni, senni, upadają w pobliżu aury tych dwojga.

Nastała pozorna pustka naokoło bankiera i dziewczyny, lecz w ostatnich językach magnetycznego płomienia ujrzał Antoni wyraźnie formujące się jakieś dwie głowy, podobne do głów tych dwojga, ale pozbawione tułowia, o ramionach ledwo się zarysowujących. Podczas tego aktu powracały wszystkie strzępy ich ciał astralnych do pierwotnych kształtów. Antoni słyszał jeszcze spazmatyczne jęki, wydobywające się z ust dziewczyny, jak również ochrypłe, zwierzęce sapanie oszołomionego bankiera. Rozeznawał dobrze, że właśnie podczas tych jęków zaczęły się tworzyć owe dwie głowy, podobne do bankiera i jego towarzyszki. Stopniowo zarysowywały się coraz wyraźniej, ale też oddalały się od ciała swych twórców. Za głowami powstawały kontury ramion, rąk i częściowo tułowia.

Antoni myślał, że to widocznie dwa duchy, mianowicie, że dziewczyna została zapłodniona i powije pewnie bliźnięta.

— O, nie, mylisz się — zaprzeczył duch opiekuńczy z uśmiechem — to nie są żadne duchy: to są larwy.

Natrętny owad pasorzytniczy, pluskwa, potrafi żyć na ziemi całe lata bez pożywienia, gdy się usadowi gdzieś w ścianie w małej szczelince i tam zostanie za-

murowana warstwą wapna, czy gliny. Gdy po kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu miesiącach ta cienka powłoka odpadnie i do pluskwy dostanie się większa warstwa nieczystego powietrza, odpowiadająca warunkom jej życia, wyłazi powoli ze swego ukrycia i szuka znów pożywienia.

Larwy porównać można do pewnego stopnia z takiemi zamurowanemi pluskwami. Żyją one tu kosztem swoich twórców, pasorzytując na nich. Z chwilą rozkładu ciał tychże po śmierci zastygają larwy, ustają ich ruchy, a podtrzymuje je przy życiu tylko jeszcze fluid ciała astralnego ich twórców. A kiedy duch znów pójdzie na świat i przyoblecze ciało fizyczne, budzą się i larwy, powracają do życia i żyją dalej kosztem danego osobnika, o ile ten swojem postępowaniem pomaga im do dalszego życia.

Dwoje tych ludzi stworzyło teraz dwie niebezpieczne larwy. Przyjrzyj im się, jak one trwają w konwulsyjnych uściskach, a w ruchach ich widać coś takiego, jak gdyby się chciały wzajemnie drapać. Hipnotycznie do siebie przykute wzrokiem, a jednak dziwnie obco na siebie patrzą.

Poznałeś tedy naocznie, jak powstają larwy.

Nagle zadrżał Antoni z trwogi, przyszło mu bowiem na myśl, że i z niego zapewne natworzono w tem życiu wiele larw w czasie wampiryzacji. Lecz duch opiekuńczy uśmiechnął się lekko, uspokajając go:

— Nie, Antoni, nie martw się. Ty nie przyczyniałeś się świadomie do łączenia się z temi wampirycznemi istotami. Z obecnego życia nie masz tu żadnych larw.

By larwy stworzyć, by im dać warunki do życia, do tego jest niezbędne ciało fizyczne, a te wszystkie istoty, gwałcące cię, były to istoty bezcielesne — miały tylko astralne ciała. Pod wpływem ich działania na ciebie wytworzyło się coś innego, o czem pomówimy innym razem.

Lecz spójrzmy raz jeszcze na owych przygodnych znajomych w hotelu, byś miał dosadny obraz, jak wygląda i jak się kończy miłość u ludzi tego pokroju.

Nasyciwszy magnetyzmem swoim tyle wampirów, stworzywszy z teleplazmy swej te obrzydliwe larwy, na których twarzach jest wyryte piętno chuci — wydawszy z siebie tyle energji, leżą teraz obok siebie słabi, bez ruchu, z mocno podsiniałemi oczyma.

Czy widzisz tamte trzy duchy? Dla nich już nie starczyło rozkoszy. Przemyśliwują teraz, jakby tym dwojgu spłatać za to jakiegoś figla. Mają już plan gotowy i nie trzeba wielkiego wysiłku z ich strony, by przesłać dziewczynie telepatycznie myśli, żeby zabrała bankierowi pieniądze i ulotniła się z niemi. Sama dziewczyna jest duchem ciemnym, niełądnym, choć w dosyć przystojnem ciele kobiecem.

Chwila t. zw. upojenia minęła, na oboje przyszło coś w rodzaju obrzydzenia. Ona spojrzała w twarz bankiera, ale on na nią nieco obco; jednak jedno i drugie siliło się na uprzejmą i słodką rozmowę.

Dziewczyna, udając, że musi wyjść, zarzuciła na siebie szybko ubranie, a pod pretekstem, że zapomniała chusteczki do nosa i że chce ją sobie pożyczyć od bankiera, zaczęła jej natarczywie szukać po jego kieszeniach, a mianowicie takich, gdzie się jej zazwyczaj nie

nosi. Bankier, zaniepokojony śmiałością dzewczyny, wstał z łóżka, ale ta zręcznym ruchem trąciła go w piersi, aż upadł, a porwawszy z kieszeni jego portfel, wybiegła z nim prędko za drzwi. Nim bankier ochłonął z przerażenia, ona już była na ulicy. Na jego gwałtowne dzwonienie przybiegła służba — oświadczyła mu jednak, że nie może odpowiadać za jego żonę, gdyż ją jako taką przedstawił przy zamawianiu pokoju na jedną dobę.

Tak skończyła się przygodna miłość bankiera w hotelu.

Zatrzasnąwszy za sobą drzwi hotelu sądził, że na tem się jego przygoda skończyła. Nie wiedział, jaki dorobek pozostał mu po niej w astralu, nie wiedział też, że się z niego wyśmiewają złe duchy... — no i służba hotelowa, która się odrazu domyśliła, że owa żona, to tylko przygodna miłość z ulicy.

* * *

Więc wiesz już, skąd wzięły się larwy? Teleplazma ciał dwu istot, złączonych w uścisku, tworzy larwy różnych kształtów, więcej zwierzęcych, niżeli ludzkich. Wśród larw tych unoszą się języczki płomieni, z których one czerpią siłę do ciągłego ruchu, do życia. Te płomienie, to magnetyzm ludzki wraz z domieszką magnetyzmu zwierzęcego, którego człowiek wiele posiada. Zrozumiesz teraz zapewne, dlaczego to na ziemi przedstawiają sobie piekło z takiemi płonącemi językami. Boć istotnie larwy — to skrawek piekła. Niejeden z mieszkańców ziemi widział je już i niejeden je jeszcze

zobaczy — inna rzecz, że nie zdaje sobie sprawy z tego, co widział, nie wie, co oznaczają te głowy. Widział piekło, widział płomienie i męczące się wśród nich duchy. A jeśli nie piekłem, to nazwie to miejsce mąk czyśćcem.

Chociaż te larwy-wampiry nie wydają głosu, zrozumiałego dla ludzi, to jednak wyją i jęczą zwykle na tej samej fali dźwiękowej, do której zostały wrzucone w czasie zwierzęcego uścisku swoich stworzycieli na ziemi. Stąd opowiadania o duchach jęczących w piekle, czy w czyśćcu.

Gdy ktoś na ziemi odłączy się od ciała i rozgląda się wzrokiem ducha — czy to we śnie, czy to w transie — spotyka najczęściej te straszne zjawiska, o ile się nie zdoła wzbić szybko poza ich sferę. Niejedno medjum opisuje je, albo i rysuje, a nie rozumiejąc, co widziało, określa to jako obrazek z piekła, czy czyśćca.*)

Patrz, jak te dwie nowonarodzone larwy łączą się bezwiednie z morzem innych larw, dokąd są przyciągane potężną siłą właściwych im oparów magnetycznych.

Podobnie, jak dziecina mała nabiera na siebie często z aury rodziców wiele ich instynktów, przyzwyczajeń i różnego rodzaju siły dla ducha, tak i te larwy otrzymują mniejszą lub większą dozę natury swych stwórców.

Gdy duch idący na świat przyobleka się w ciało, otrzymując je z przyrody, z którą mają kontakt jego rodzice — to ciało to tworzy się nietylko pod wpływem

---

*) W Polsce do takich medjów należy Grużewski. (Przyp. Wyd.)

właściwości danego ducha, lecz i właściwości rodziców, z którymi jest Karmą złączony i u których nie bez przyczyny rodzi się. Zależnie od tych różnych czynników otrzymuje ciało zdrowe, chore, lub tylko ze zarodkami jakiejś choroby.

Odbiegłem nieco od tematu, chcąc ci dać chociaż króciutkie wytłumaczenie kwestji dziedziczności.

* * *

Pokazałbym ci jeszcze innego rodzaju larwy, podobne do poprzednich, larwy, które również błądziły między tamtemi, a których się tamte boją. Lecz musisz być silny, pogodny, musisz wysyłać obronne myśli, gdyby od ponurych larw szedł na ciebie lęk. Wysyłaj wówczas myśl: „W imię Boże nic złego mi się nie stanie!"

Spójrz teraz tam, skąd rozchodzi się czerwono rdzawe światło. Widzisz tę głowę olbrzymiej wielkości? Jest o wiele większa od głowy przeciętnej larwy i jest jakby odcięta od szyi. Usta są szeroko otwarte, a wystające oczy patrzą z przeraźliwą zgrozą przed siebie. Głowa jest w ciągłym, rozpaczliwym ruchu i rzuca się wśród larw na wszystkie strony. Przy niej uwiązana jest zapomocą teleplazmy, jakby sznurkiem, druga głowa, również dziko patrząca przed siebie.

Te dwie głowy, to również larwy. Zostały one stworzone przez zbrodniczego sadystę, który zwabiwszy ofiarę do siebie, rozmyślnie zatarł za nią wszelkie ślady, by się nikt nie dowiedział o jego zbrodni. Nietylko zgwałcił swoją ofiarę, ale po zaspokojeniu swych chuci pozbawił ją życia. Zbrodnicza myśl pozbawienia jej życia była

przewodnią siłą, gdy ją wabił w swoje sidła. Nieszczęsna ofiara poczuła już swoją zgubę podczas gwałcenia, a to w chwili, kiedy złączyły się ich fluidy i zaczęły się rozszerzać, zlewając się ze sobą. Gdy wytwarzały się larwy, podobne do nich obojga, strach i zgroza przed śmiercią odbiła się w głowie jednej z larw, czyniąc ją potworną i wielką, strach ją bowiem rozszerzył. Druga głowa, złączona z nią, została przy pierwszej ujarzmiona. Spójrz, jak dolna warga tej drugiej głowy nieprzyjemnie zwisa; jest tylko wydęta, zgrubiała i większa, niżeli cała górna połowa głowy, tak, że ma wygląd języka nawpół z ust wysuniętego. Powstało to stąd, że przy gwałceniu swej ofiary wpił się ustami w jej szyję, a przegryzłszy tętnicę, połykał chciwie jej ciepłą krew. Jego ofiara nie była też zupełnie niewinną istotą, to też głowy obu larw, będących ich odbiciem, są razem jakby sznurkiem związane. Sadysta miał wiele innych zbrodni na sumieniu, jego sprawki wyszły na światło dzienne i skazany został na śmierć przez powieszenie, obecnie na ziemi nie żyje. Te niby związane głowy gonią pomiędzy innemi larwami, budząc wśród nich niesamowity postrach. Patrz, gdziekolwiek tylko te dwie głowy się zjawią, inne mniej niebezpieczne larwy odsuwają się od nich w przerażeniu.

Po powieszeniu zbrodniarza dolna warga, przedtem bardziej wydęta i sztywna, opadła teraz, zwisła.

Podczas tego opowiadania odczuwał Antoni w głębi ducha dziwny chłód. Wszystkie obrazy, wszystkie szczegóły, związane z ohydnym czynem i aktem śmierci na szubienicy, stanęły jaskrawo przed jego duchem.

Zrobiło mu się ogromnie smutno, wydało mu się, że nie może oddychać wiecznym rytmem życia. Czuł się słabym i ociężałym. Zauważył to duch opiekuńczy i przytulił go szybko do siebie, mówiąc:

— Tak, tak, mój kochany, trzeba wiele siły i przytomności ducha, t. j. tej jasnej świadomości, by spojrzeć na to piekło astralnego świata. A to jeszcze nie jest dno piekła. Dno piekła jest tak straszne, że i ja boję się dłużej patrzeć na to życie, skierowane świadomie przeciw woli i miłości Boga. Takie życie, to dzieło szatana. Wszak i te larwy mają wiele podobieństwa do dzieła tych duchów, najniżej upadłych, tylko, że ci, którzy je tworzą, nie mają zupełnie jasnej świadomości tego, co tworzą, gdzie i w jaki sposób się ze swemi tworami znów spotkać mogą. Są oni mniej lub więcej pod silną sugestją piekła, tej mocy, która zna potęgę swej twórczości i słabe strony ducha niewcielonego i człowieka na ziemi.

Na owem dnie piekła nierzadko spotyka się mężne duchy, pod których przewodnictwem powstał ten nieszczęsny dorobek ludzkości, albo raczej okrutnego zezwierzęcenia w człowieku. Jeżeli t. zw. zbrodniarz ma na sumieniu więcej ofiar, to i ci wielmożni z państwa piekła mają tam dzięki niemu więcej skarbów, pomnażając jego dorobkiem swój majątek, jaki przedstawiają te larwy i inne podobne twory.

Podobnie, jak niegdyś w dawnych czasach wielkość i potęgę człowieka oceniano według tego, ile posiadał owiec, bydła i innych zwierząt, tak i ci przywódcy piekła oceniają swoją potęgę według ilości larw i myślo-

wych potworów, elementali i t. d. Im więcej larw ma kto z nich pod swojem przewodnictwem, tem mężniejszy jest i bogatszy; im więcej jęczących, narzekających i cały świat przeklinających duchów ma pod swoją władzą, tem więcej czuje się taki władca zadowolony.

Teraz nie pozwolę ci tam patrzeć, ani ci nie będę objaśniał korzyści, jakie mają ze stworzonych larw i do czego ich używają, bo nie chcę zmrozić twego ducha.

Antoni rzeczywiście odczuł tak niesamowity lęk w duchu, że na ziemi można to w przybliżeniu nazwać zmrożeniem krwi w żyłach.

— Zasuniemy teraz ten nieszczęśliwy obraz dorobku szatana i ludzkości, a przeniesiemy się do innej atmosfery duchowej. Odprowadzę cię na spokojne i pogodne miejsce i opuszczę cię na chwilę, gdyż mam inne zadanie przed sobą.

Rozdział XI.

Kwiaty astralne.

Antoniemu znikły larwy z przed oczu, zaczął swobodniej oddychać. Wydawało mu się, że wyszedł z dusznej, ciemnej komory, gdzie w ciemności zjawiały mu się niby w gorączce te różne larwy i potwory. Uspokojenie i otucha wlewały mu się do duszy. To miłe uczucie wzmagało się coraz bardziej, aż doszło do stanu błogości, jaki uczuwa dziecię, gdy kochająca matka tuli je wśród pieszczot do piersi.

Odetchnął głęboko. Odczuł, że duch jego się rozszerza. Podniósł ręce, jak to czyni człowiek, gdy się przeciąga po przebudzeniu ze snu na ziemi. Podczas wdychania odczuł przedziwną wibrację — potężną woń. Zdumione jego oczy rozszerzyły się, a on ujrzał kwiaty olbrzymiej wielkości, jednak — o dziwo — pozbawione wszelkich liści i korzeni. Tak jak larwy poruszały się i żyły, tak i w nich tętniło życie, z tą różnicą jednak, że z ich kielichów nie płynęła stęchlizna i zgroza, lecz przecudna woń. Antoni odczuł, że ta woń wciska się do wszystkich komórek jego astralnego ciała i napełnia to ciało ożywczym prądem. Z wdzięcznością spojrzał na

swego opiekuńczego ducha, gdy tenże przytulił jego głowę do siebie, mówiąc:

— Przez zbliżanie się do tych nieszczęsnych larw, przez obserwację ich życia i powstawania, przez to samo już się z niemi częściowo łączy magnetycznie, bo inaczej trudno byłoby zrozumieć istotę ich bytu. Lecz skutek tego złączenia jest taki, że wychodzi się potem z ich otoczenia jak zapowietrzony, co wyraźnie odczułeś w tej niesamowitej ciężkości, smutku i przygnębieniu. Teraz jesteś w miejscu, gdzie możesz wykąpać z tego brudu astralne ciało i pokrzepić i zasilić ducha na dalszą wędrówkę tu w zaświecie. Ja teraz mam inne zadanie, o ciebie nie potrzebuję się tu obawiać. Wiem, że dłuższy czas będziesz tęsknił za tym błogim uściskiem woni kwiatów i ich orzeźwiającej siły.

Antoni zaczął się uważniej przypatrywać kwiatom. Ze zdumieniem zauważył, że są mu jakoś dziwnie znane. Przypominał sobie, że on je tak dawno zna i z każdą sekundą, licząc czas po ziemsku, uświadamiał sobie dokładniej ich tworzenie się, ich powstawanie.

— Ach — pomyślał — jakież to cudne, błogosławione życie! Zdaje mi się, kwiaty kochane, jak gdybyście były pierwszą bramą, która się zamyka za znużonym wędrowcem świata. Gdy się znajdzie poza nią, nie dopuszcza ona udręki ni bolu, jaki odczuwa się na ziemi czy w świecie astralnym. Ach, czemże w porównaniu z wami, jest na ziemi woda, w której człowiek szuka podczas upału ochłody dla zmęczonego ciała! Przynosi ona orzeźwienie, ale ile wysiłku trzeba zużyć, by, zanurzywszy się w niej, nie utonąć. O, rozumiem teraz

jasno, ile to dziwnych niebezpieczeństw czyha na człowieka na ziemi. Jednocześnie czuję się tak dalekim od wszelkiego niepokoju przy wspomnieniach o tych niebezpieczeństwach. Pewnie już tu nieraz jako duch przebywałem, tylko wspomnienie tego mi się zatarło. Teraz krótko wśród was jestem, a jednak stałyście mi się dziwnie bliskie, tu widzę prawdziwe, rzeczywiste życie, a życie na ziemi wydaje mi się tylko snem i to snem takim, z którego wyrwałoby się chętnie i już do niego nie powracało.

— O, nie tak, Antoni, nie — usłyszał głos swego przyjaciela — nie zniechęcaj się do ziemskiego życia, bo myśl, tu wypowiedziana czy stworzona, przedostawszy się poza granicę tego pogodnego światka, w którym obecnie jesteś, leci jak strzała, jak zbłąkana kometa i szuka twego ciała, by stoczyć z niem walkę. Pozbądź się tej niechęci powrotu do ziemskiego życia. Wiedz, że to prześladowanie, jakiego doznałeś na ziemi, nie powtórzy się już. Owszem, ujrzysz jeszcze niejedno, co było lub będzie w łączności z prześladowaniem ciebie przez zmory.

— O, patrz, Antoni, patrz! — powiedział, wskazując mu szerokie, ciche, pogodne przestrzenie we wszechświecie. — Czyż miałby tu miejsce taki lęk i udręka, jakie nieraz człowiek na ziemi przeżywa, wyrównując starą przeszłość, lub cierpiąc za błędy, popełnione w tem samem życiu? Wiedz, że to, co cierpisz na ziemi, to są ostatnie echa przeszłości, a wyrównujesz Karmę przeważnie z istotami, przebywającemi już w zaświecie. Ten, który nie chce dopuścić do twego przebudzenia się

na ziemi i do wyrównania długów na niej, ten, który cię staczał do rzeki z zamiarem zatopienia twego ciała, chce dalej staczać z tobą walkę; ten ktoś zaklął cię niegdyś w skałę, z której zostałeś uwolniony wówczas, kiedy to Chrystus, po ukrzyżowaniu swem, wstąpił do piekieł. Wstąpił On na dno piekła czarnej magji i zniweczył straszne plany jego władców. Zamierzali oni bowiem tych wszystkich, którzy oderwali się od nich i nie chcieli się już z nimi łączyć, zamierzali ich pozaklinać w głazy śmierci, ubezwładnić ich w życiu, by sami mogli bez przeszkody dalej działać przeciw woli Bożej. Chrystus ukrócił wówczas ich czarną swawolę; pękały skały, otwierały się groby i z nich wychodzili żywi, uwolnieni z pęt czarnej magji. Ty byłeś wówczas w skałę zaklęty i to na tej samej górze, gdzie Chrystus był ukrzyżowany; zostałeś uwolniony, ale nie stałeś się przez to jeszcze świętym, nie. Miałeś sam pokazać więcej dobrej woli, i uwolnić się z pęt czarnej magji, co zresztą czyniłeś wytrwale. Ale oni prześladowali cię i popychali do zaciągania nowych długów przy wyrównywaniu starej Karmy.

Nie masz już wiele do spłacenia na tej ziemi. Jesteś tu teraz, kochanie, żebyś nabrał sił, rozejrzał się dobrze i rozeznał dobre od złego, byś przejrzał przyszłe losy swoje. W dobrej woli potrafisz jeszcze wiele zdziałać. Dziś czujesz się wolnym, twoje wampiry zapomniały o tobie, ale ciąży ci jeszcze twój własny dorobek myślowy, ubrany w teleplazmę twego ciała, zasilany magnetyzmem twej krwi. Będziesz musiał jeszcze, po zupełnem odłożeniu powłoki cielesnej, oczyścić z tych

twoich własnych tworów swój świat astralny, swoją aurę, a potem i bez naszej pomocy będziesz wolny wszędzie, gdzie tylko duch twój będzie mógł sięgnąć i przenieść się w zrozumieniu wyższych praw i prawd boskich.

Te ostatnie myśli dolatywały do Antoniego, kiedy duch opiekuńczy się już oddalał. Antoni, przypatrując się tym wielkim kwiatom w kształcie dzwonów, był zdziwiony ich mnóstwem i stosunkowo niewielkiemi łodygami, zaledwie tak dużemi, by się mogły wzajemnie złączyć w śliczne sploty. Nigdzie nie mógł dostrzec ich końca, wyglądały jak bezbrzeżna, nieskończona powierzchnia oceanu. Odczuł, że jakaś ogromna potęga przyciąga go całą siłą ku sobie i nim się spostrzegł, znalazł się już wobrębie tego morza kwiatów, podczas gdy dotychczas stał jakby na jego brzegu. Subtelną czerwienią oblane i lśniące dzwony kierowały swe kielichy w jego stronę. Miał wrażenie, że one patrzą i widzą; to jego uczucie zamieniało się w mocną wiarę, bo im bardziej przyglądał się tym kwiatom, tem lepiej rozumiał ich dźwięki, ich mowę. Widział dokładnie, że one żyją swoją właściwą pełnią życia i zdawało mu się, że te wszystkie, które były w jego bezpośredniej bliskości, patrzą na niego kielichami, jakby rozmawiały o nim. W ich rozmowie wyczuł wiele dobroci i subtelności, która przenikała całe jego jestestwo. Bał się poniekąd wśród nich poruszać, by nie uszkodzić ich łodyg, łączących się wzajemnie. Widział też wyraźnie, że łodygi te nie mają żadnych korzeni, podobnych do korzeni innych roślin na ziemi. Siłę do życia ssały widocznie z przestworzy. Nie

mógł sobie dokładnie przypomnieć i zrozumieć, jak powstało ich życie. Pomyślał więc: „Jaka szkoda, że tu teraz niema opiekuńczego ducha, któryby mię w tych sprawach poinformował. Muszę pohamować moją ciekawość, by moje myśli do niego nie doleciały i nie wstrzymywały go w jego pracy."

Wtem zauważył Antoni, że kielichy kwiatów, zwrócone ku niemu, wyprężyły się, jak gdyby nastawiały głowy, nadsłuchując czegoś. W środku tego morza kwiatów dostrzegł zbliżającą się do niego postać duchową. Jej szata fluidarna była odmienną od szaty jego opiekuńczego ducha. Postać ta jakby sunęła po kielichach kwiatów, będąc niemal do połowy wśród nich ukrytą; zdało się, iż płynęła po morzu kwiatów. Tam, gdzie postać się przesunęła, kwiaty trzymały głowę jeszcze chwilkę w górze, aby następnie ożywionym ruchem znów się wzajemnie do siebie nachylić i radosnym dźwiękiem sobie opowiadać, że ich pan i opiekun przepłynął pomiędzy niemi.

Postać stanęła niedaleko Antoniego i wyciągnęła do niego fluidarne dłonie na przywitanie. Antoni słyszał głos, lecz wydawało mu się, że pochodzi z głębi jego własnego ducha, a w głosie tym układały się szybko w miłym dźwięku następujące myśli:

— Witaj nam, ziemski wędrowcze!

Antoni zrozumiał dobrze, że nie on sam siebie wita, ale że te myśli pochodzą od ducha, mile patrzącego na niego i wsłuchiwał się w dalsze ich brzmienie:

— Dziwisz się zapewne, że stanąłeś pomiędzy tymi żyjącymi olbrzymami, oddychającymi mocną, a jednak

subtelną wonią. Zrozumiałeś, że one żyją, czują i patrzą na ciebie. Zdumiony szukasz ich korzeni, bo przeczuwasz, że one tu mają jakiś stały pobyt. Opowiem ci więc, gdzie się właściwie znajdujesz i w jakim celu zostawił cię tu twój duch opiekuńczy. Spotykam tu niejednego z ziemskich gości; przychodzą tu po największej części zmęczeni duchowo, po opuszczeniu zastygłego ciała, po t. zw. śmierci i po męczącym śnie podczas nocy — o ile ich tu zaprowadzi kto ze świadomych duchów. Przeszedłszy za życia różne mniejsze i większe burze życiowe nie stracili jednak i wśród wielkiej udręki ducha ufności w Boga, wierzyli w życie wiekuiste, wierzyli, że po odejściu od ciała dozna ich duch ochłody przez to, że spadną z niego różne troski ziemskie. Chociaż duch ich otoczony grubą aurą różnych myśli nie mógł sobie dokładnie przedstawić tej ochłody, to jednak przeczucie nie dało zasnąć wierze, która w parze z nadzieją posilała ducha i przytrzymywała go przy sobie. Wszystkich, którzy nie uważają grobu za kres ostateczny, gdzie wszystko jest złożone, gdzie znikają nawet wspomnienia o życiu — tych przyprowadza się zazwyczaj tutaj dla orzeźwienia duchowego. Te kwiaty nie są bynajmniej odbitką astralną waszych kwiatów ziemskich. One mają własne życie. Do życia pomaga im oprócz dźwięków przestworzy trochę siły i z waszej ziemi, z którą są złączone, pomimo, że niewidzialny korzeń ich życia nie jest tylko z tego świata, na którym cię prześladowały zmory. Poza obrębem tego morza kwiatów są jeszcze kwiaty innej postaci, dla ciebie jednak te pierwsze kwiaty są pierwszą przystanią, a ty

patrząc na nie wyczuwasz, że i one na ciebie usilnie patrzą, jak gdyby chciały do ciebie przemówić. Wtajemniczę cię w ich mowę i ich zadanie względem ciebie. Dla zbudzenia większej świadomości muszę ci jednak najprzód przypomnieć inny obraz z waszej ziemi.

Pamiętasz na ziemi morze wód? W nich też są rośliny. Nie będę ci wspominał o wszystkich żyjątkach zwierzęcych i roślinnych w wodzie, ale przypomnę ci o ładnych istotkach, podobnych do chryzantem.

Gdyby takie żyjątko, podobne do kwiatu chryzantemy, wypłynęło na powierzchnię morza i ktoś z rybaków czy majtków wziął je do ręki, trudno byłoby mu zrozumieć, gdyby go nie znał przedtem z opisu innych, trudnoby mu zrozumieć sposób jego życia w morzu, bo nie domyślałby się, że istotki te, tak podobne do kwiatów, żyją kosztem mniejszych i większych rybek morskich. I u naszych kwiatów dziwnie piękne aksamitne ich kielichy także potrzebują jako strawy innych żyjątek, lecz bez bolesnej śmierci tychże. Uśmiercały one koło ciebie różne nieprzyjemne fluidy, które nalepiły się na twoje ciało astralne, gdy przechodziłeś z opiekuńczym duchem przez niskie sfery larw. Wdychały one te niedobre wpływy i spalały w swych wnętrznościach, a na ciebie wydychały już czystą woń. Czujesz się pomiędzy niemi niejako ujarzmiony ale ci tam dobrze... Twoja kąpiel astralnego ciała nie jest jeszcze skończona; dopóki te kwiaty nie oczyszczą cię z niemiłych strzępów teleplazmy, nabytej po największej części poza obrębem twego ludzkiego ciała, dopóty będziesz musiał

przebywać pomiędzy niemi, nie mogąc się poniekąd wydobyć z ich miłej niewoli.

Pomimo, iż te kwiaty wchłaniają w siebie nieczyste fluidy, życie ich zależy przeważnie od dźwięków t. zw. muzyki przestworzy, w której jest nieprzebrane bogactwo wibracyj tonów. Każdy ton ma nietylko swój dźwięk, lecz także kształt i barwę. Te tony nie mają własnego środowiska poza obrębem astralnego świata, bo tony, dźwięki, jak i myśli nie mają wyraźnie zakreślonych granic. Wogóle o ile kto rozumie siłę dźwiękową, o tyle może z niej wiele dobrego tworzyć, bo w dźwięku jest nietylko siła, lecz i życie. Ani pożar, ani najstraszniejszy mróz, ani trujące gazy, ni głęboka fala morska nie potrafią w zupełności stłumić tych dźwięków. Ogień i woda mogą je poniekąd przytłumić, ale nigdy nie mogą pozbawić życia. Dźwięk jest w każdej twórczej molekule*); każda cząsteczka twórcza, ten okrągły, jasny punkcik, ma swój właściwy dźwięk.

Mróz może poniekąd ujarzmić auryczną subtelną powłokę danego dźwięku w twórczej cząsteczce, ożywczego jednak prądu duszy cząsteczki ujarzmić nie może. Mróz ścina niektóre cząsteczki i ściele na szybach okien, do czego dopomaga mu pewna zmiana temperatury.

Przyroda zamarła niby w swem życiu. Drzewa stoją zastygłe z rozłożonemi, ale ogołoconemi konarami i gałęziami; ogołocone z owoców i liści. Cała przyroda zamarła, śpi, skostniała snem śmierci. Nie może oddychać pełnem życiem. Wiedzą jednak ludzie na ziemi,

---

*) Przyp. Wyd.: Mowa tu o molekule, czyli cząsteczce twórczej takiej, jak ją widzi jasnowidz.

że z wiosną, gdy słońce mocniej zaświeci i stopi śniegi, roztoczy przyroda przed nimi nowy obraz życia. Wiosna przyjdzie z swoją czarowną mocą. Wiedzą o tem ludzie na ziemi i nie mają przyczyny wątpić w to podczas zimy.

Och, jakiż nieszczęśliwy jest duch, zamknięty w grubej powłoce cielesnej, z oczyma ludzkiemi, przez które widzi tylko ten materjalny świat! Oj, biedni wy tam na ziemi, jak często śmiejecie się sami z siebie, nie chcąc nic dostrzec poza światem fizycznym, a każąc się rumienić wszystkim, którzy patrzą głębiej w życie, przez was nazwane „nierealnem“ i w niem szukają całej potęgi twórczości, w niem szukają ośrodka życia! Przyjrzyjcie się lepiej tym spadającym płatkom śniegu. Widzę, że niektórym trochę rozumniej i subtelniej patrzącym na życie, zabłysła myśl zbadania kształtu spadających płatków śniegu, które się formują w najróżnorodniejsze postacie.

O, to ścięta auryczna powłoka poszczególnych dźwięków, astralne ciało, że tak powiem, duszek przyrody. Przyjrzyjcie się tej bujnej wegetacji fantastycznych kształtów, któremi wam mróz zdobi okna, które to kształty spotykacie na powierzchni wód i na lądzie, nawet na najmniejszej kałuży. Jakaż siła je maluje i tak regularnie układa, że całość wygląda, jak gdyby wyszła z pod pędzla najlepszego artysty?!

Sprawia to mróz, obniżenie temperatury.

Zacznijcie tam na ziemi badania nad temi niewinnemi i niby nic nie mówiącemi zjawiskami i przestańcie się śmiać,

jak nieszczęśni warjaci, z tego, czego ludzkiem okiem dojrzeć i zbadać nie możecie. Mikroskopy nie są doskonałemi przyrządami i nie pomogą wam wiele w rozwikłaniu zagadki.

Antoni patrzał życzliwie na nowego przyjaciela; ten zamilkł na chwilę, a Antoni skupił się jakoś sam w sobie. Przykro mu było, że i on pochodzi z tej nieszczęsnej ziemi, gdzie dopomagają sobie do zdobycia mądrości mikroskopowemi szkłami. Był wdzięczny tym, którzy go uświadamiali o prawdziwcj potędze życia.

Z zadumy zbudziło go lekkie drgnięcie prawego ramienia. Zwróciwszy na to uwagę, zauważył, że jego przyjaciel gdzieś znikł. Natomiast położył mu się na ramieniu jeden piękny, duży, aksamitny kielich i zaglądał mu niejako wprost w twarz. Antoni drgnął lekko pod wrażeniem, że ten kwiat ma życie i to życie bardziej świadome od przeciętnych ludzi na świecie. Nie wiedział, jak się ma zachować wobec tej tajemniczej inteligencji. Westchnął w swej bezradności i zakłopotaniu, porównywując w myśli swój ciężki byt i swój stan duszy z bytem tych istot.

— Boże! — wyrwało mu się z duszy westchnienie.

Wydało mu się, że to westchnienie powtórzyły wszystkie kwiaty i że słowo „Boże“ zadźwięczało z potężną siłą, ale tylko w jednym tonie „a“. Nie był to jednak równomierny ton, były tam pewne lekkie, ledwie dostrzegalne załamania. Tak jak wietrzyk zakołysze dojrzałemi kłosami na łanie, tak i ten dźwięk zakołysał głowami kwiatów. Całe morze kwiatów zafalowało.

Antoni stał jak oszołomiony i patrzył na to przedziwne zjawisko.

Morze kwiatów zagrało pełnię tonów. Wszystkie powtórzyły w pięknych dźwięcznych wibracjach: „Boże!“ Po tym akordzie nastała względna cisza, lecz Antoni słyszał wyraźnie, że ten miły dźwięk płynie we wszystkie strony hen daleko, w przestworza. Czuł się dobrze. Czuł też wyraźnie w tem wszystkiem wielką prostotę piękna, miłość do Boga i miłość płynącą z Boga. Tak się czuł pokrzepiony i ukojony, że zawisł wśród tych kwiatów już bez myśli i bez wszelkiego zapytania, skąd się wzięło życie, bo każda, nawet najmniejsza komórka jego astralnego ciała drżała i mówiła mu, że życie powstało z Boga. Duch jego rozlewał się w tej wielkiej przestrzeni, unosił się wraz z tonami pomiędzy planety zamieszkałe i pomiędzy gwiazdy-światy, dopiero się tworzące.

Czuł wyraźnie, jak ten błogi, kojący dźwięk zatacza coraz to większe kręgi naokoło nowotworzących się światów, jak gdyby on swoją potęgą, swoją czystą mocą chciał dać tym światom jak najpiękniejsze życie.

Antoni zapadł powoli w rajski sen. Zostało w nim uśpione wszelkie czucie, wszelkie wspomnienie życia na ziemi i wędrówek w zaświecie, a szczególnie nieprzyjemnego widoku larw. Czuł też, że mu jakaś Moc rozkłada ręce, a on unosi się gdzieś jak na szeroko rozłożonych skrzydłach.

I znów odczuł zupełną świadomość siebie; odczuł także, że zawisł w absolutnej ciszy. Naokoło siebie i w niezmierzonej odległości widział obok niezliczonego

mnóstwa gasnących już słońc inne nowe, w pełni blasku jaśniejące i czyste słońca, lśniące złotem światłem pomiędzy gwiazdami. Nie mógł się dokładniej przypatrzyć tym światom, bo czuł, że duch jego rozprzestrzenia się coraz bardziej. Nie czuł już na sobie astralnego ciała, które się zamieniło było w maleńkie iskierki, rozlatujące się na wszystkie strony. Obserwował to zdumiony. Miał wrażenie, że te iskierki, to drobne światy, gwiazdy, ulatujące od gwiazd wielkich, odczuwając jednocześnie, że sam jest z temi wszystkiemi światami złączony. Czuł w sobie ogromną siłę ducha. Wtem zadrżał w nim lekko lęk przed niebytem. Wydało mu się, że lada chwila rozpłynie się w tem niezmierzonem przestworzu, że się zleje z Duchem Wszechbytu.

Leciuchna trwoga w głębi jego ducha, to coś, co chce istnieć samo w sobie, spowodowało momentalne przyciąganie wszystkich magnetycznych iskier, które się poprzednio rozprysnęły i Antoni zaczął przychodzić powoli do swej własnej świadomości, ale nie utracił pamięci tego, co przeżył. Westchnął głęboko, bo czuł jeszcze swą bezmoc, swoją trwogę przed zlaniem się z Wszechbytem. Ogarnął go żal do siebie samego, bo pomyślał, że gdyby miał siłę zapomnieć o sobie przy zespoleniu się z całem przestworzem, pewnie nastąpiłoby całkowite złączenie z Najwyższym.

— Ach, ta obawa przed niebytem! — rzekł sam do siebie. To dziwne uczucie chwilowego pozornego zaniku świadomości własnego „ja"! Przejść przez te granice bez trwogi, z dziecięcem oddaniem się Bogu!

Mimowoli przypomniał sobie, że prawie każdy na

ziemi obawia się t. zw. śmierci, tej dziwnej zatraty świadomości przy przejściu z życia do życia. Zrozumiał przytem wyraźnie, że ta obawa jest spotęgowana tą właśnie nieświadomością ducha, żeby można żyć bez ciała.

Gdy tak rozmyślał, nie spostrzegł się, że się już nie znajduje w tej bezmiernej ciszy, że już nawet nie jest pomiędzy kwiatami. W jego najbliższem otoczeniu było jeszcze zresztą spokojnie. Naraz przypomniał mu się duch opiekuńczy; poczuł żal do siebie, że z własnej winy nie może z nim wszędzie pójść, gdyż jest mu jeszcze przeszkodą w jego zadaniach. Wtem stanął tenże przed Antonim, a całując go w czoło, rzekł:

— Czemużeś taki smutny? Spodziewałem się spotkać cię zadowolonym. Czyś nie doznał dostatecznego pokrzepienia?

— O, tak — odrzekł — doznałem i to w takiej mierze, że trudno byłoby mi znieść jeszcze więcej, zadużo dla mnie grzesznego tej błogości, tej miłości, jaką odczułem wśród dobrych duchów i kwiatów.

Duch opiekuńczy patrząc na Antoniego, wiedział już o wszystkiem, co się rozegrało w jego duchu. Podobnie jak człowiek na ziemi miewa lekkie dreszcze, tak i Antoni pod wpływem wzruszenia trząsł się. Duch opiekuńczy widział na nim to ogromnie rozszerzone i rzadkie ciało astralne; podniósł więc ręce, by go zmagnetyzować i skupić jego rozszerzone ciało. Rzekł przytem żartobliwie:

— Trzeba dobrze otulić się płaszczem, bo tam, gdzie teraz pójdziemy, jest nieco zimno. Pójdziemy trochę popatrzeć na świat.

Rozdział XII.

W głębi morza.

Pójdziemy zaznajomić się trochę z różnemi żywiołami na ziemi, byś zahartował swoje ciało astralne, byś zmężniał duchem i nie obawiał się w przyszłości różnych niebezpieczeństw, gdy się będziesz świadomie odłączał od ciała. Pójdziemy także pomiędzy dzikie zwierzęta.

I znów się uśmiechnął, dodając:

— Nie bój się, nie dam cię na pożarcie!

— Na świat, na świat, na ziemię — ozwało się w duchu Antoniego.

— Na ziemi, tam moje ciało — pomyślał sobie — sztywne i nieruchome. Dobry Karolek czuwa przy niem, a wszyscy ludzie, patrzący na nie, sądzą, że już nie żyję. Ach, jakie to dziwne, a jednak prawdziwe!... Ja żyję — ani jedna myśl nie została mi odjęta; czuję, widzę, słyszę, jestem tak dziwnie lekki i tak prędko mogę się przenosić z miejsca na miejsce. Przebyłem takie ogromne przestrzenie w tak krótkim czasie, tyle widziałem i przeżyłem!

Spojrzał na swego ducha opiekuńczego z rozrzewnieniem, chcąc mu się, jak to mówią na ziemi, rzucić

w objęcia. Tuląc się ku niemu, zauważył, że on się jakoś zagadkowo uśmiecha. Zaraz też popłynęła odpowiedź:

— Bracie Antoni! cieszę się z tego, że stosunkowo tak szybko wracasz do świadomości duchowej. Wiedz jednak, że to, co ty nazywasz szeroką przestrzenią, to jest zaledwie krok, mały krok w wieczności. Ja sam nie przepłynąłem jeszcze wszystkich światów, nie przepłynąłem jeszcze całego ogromu wieczności. Czuję, że duchem obejmuję szerokie przestrzenie, widziałem wiele i przeżyłem wiele w tej naszej ojczyźnie Ducha, poznałem wielkość i potęgę Boga, poznałem Jego miłość i czuję się niezmiernie szczęśliwy, gdy myślę o Nim, nie potrzebuję wmawiać w siebie, że On żyje, nie potrzebuję w sobie tej wiary utrwalać, bo wiara ta sama do mnie płynie. Mam niezliczone dowody, że Bóg ten żyje, że ten dobry Stwórca ma w Swej opiece nasze duchy. Na ziemi jesteście tak przez materję skrępowani, że nie tak łatwo uświadamiacie sobie w każdej chwili Jego opiekę nad wami.

Teraz uważaj, jesteśmy u celu, już jesteśmy na ziemi, choć właściwie ta ziemia znika pod naszemi stopami astralnemi.

Antoni usłyszał charakterystyczny poszum wody.

Jak człowiek zbudzony ze snu przeciera oczy i rozgląda się naokoło siebie, słysząc wyraźnie szmery i głosy, tak i Antoni usłyszał poszum morza, nie zdając sobie jeszcze dokładnie sprawy, gdzie jest i co ma przed sobą. Wrażenia, odbierane słuchem astralnym inaczej się

przedstawiały, niż te, które znał na jawie. Groźnego poszumu fal nie było, natomiast wydawało mu się, że nad temi falami, które znał przez wzrok cielesny, są fale drugie, trzecie, czwarte i t. d. Wytężył uwagę, by dobrze rozeznać, które są t. zw. prawdziwe, przez człowieka widzialne, a które ponad niemi, wytworzone przez magnetyczną siłę morza.

Duch opiekuńczy zniżył się z nim tak bardzo nad morze, że Antoni odczuł charakterystyczny chłód, a nogi miał jakby uwięzione nad powierzchnią wody. Ogarnęła go jakaś niepewność, do której natychmiast przyłączył się lęk, że go pochłoną fale, że utonie. Lęk wzmógł się tak, że uchwycił się rozpaczliwie ducha opiekuńczego, patrząc na niego wystraszonym wzrokiem, w którym ten czytał:

— Ratuj mnie, ach, ratuj, bo tonę!

Duch opiekuńczy niemal bez przerwy posyłał mu myśli:

— Nie bój się, nie bój się, nie bój się!

Antoni nie mógł się uspokoić i trząsł się z obawy. Widział już bowiem całe olbrzymie morze, a siebie tak daleko od brzegu.

Opiekun, widząc, że Antoni drży ze strachu i że trudno byłoby utrzymać go w spokojnej świadomości, której potrzebowali dla dokładnej obserwacji, przeniósł się z nim na brzeg morza. Skoro tylko Antoni poczuł stały ląd pod nogami, uspokoił się odrazu. Patrząc błagalnie na opiekuna, powtarzał swą prośbę:

— Nie chodźmy już na morze, ani nad morze, bo ja się naprawdę boję, nie mogę się wyzbyć uczucia trwo-

gi. Twoje myśli: „Nie bój się“, odczułem jako ratunkową deskę, której się kurczowo chwyciłem, ale miałem wrażenie, jak gdyby ta deska nie była wystarczająca.

Duch opiekuńczy trochę pokręcił głową i zadumał się, a Antoni uspokojony patrzył na niego, ale widząc, że ten się w sobie skupia i zamyśla, udał, że go nie obserwuje. Był jednak ciekawy, co duch opiekuńczy myśli, czy go znowu nie chce wziąć nad morze. Pomimo bowiem, iż mu ufał, pomyślał, że byłoby lepiej zmienić postanowienie i nie zaznajamiać się z temi chłodnemi i groźnemi falami morza. Podpatrując swego towarzysza, kradł mu niejako tajemnicę, podczas gdy on widocznie chciał być sam ze swojemi myślami. Opiekun modlił się:

— O, Panie, Ojcze kochany! Jeżeli mam mu dopomóc do przebudzenia się na ziemi, jeżeli on ma się świadomie odłączać od ciała i przechodzić jako duch razem z ciałem astralnem bez trwogi przez wszystkie żywioły i różne niebezpieczeństwa, bez szkody dla swego astralnego ciała, to proszę Cię, dobry Ojcze, jeżeli Twa święta wola na to pozwala, bym mógł zawołać do pomocy jeszcze silniejszego ducha ode mnie, któryby wpływał na Antoniego, by się nie obawiał! Pozwól, Ojcze, by przeszedł spokojnie przez te żywioły, by się nauczył poznawać to swoje głębsze, prawdziwe „Ja“, stworzone przez Ciebie, kochany Ojcze! Pozwól, by zrozumiał, że jeżeli będzie żył tem „Ja“, w tem „Ja“ uświadomi sobie życie, nie potrzebuje się lękać żadnego niebezpieczeństwa! Pomóż też Panie, by ciało swoje astralne podporządkował duchowi!

Człowiek, król przyrody, odłączający się świadomie od ciała dlaczegóżby nie miał zrozumieć, że ciało astralne jest poddane mocy ducha? A duch jest wszędzie...

Przy tych słowach zwrócił się do Antoniego.

— Duch jest wszędzie: w wodzie, na ziemi i w całym świecie astralnym, a jeżeli ty w duchu będziesz złączony z Bogiem, napełnisz twego ducha wiarą w Niego — bądź pewny, że nie ulękniesz się niczego. Proś Go, byś teraz, gdy masz do tego taką znakomitą sposobność, przebywając świadomie w świecie ducha, nie krępowany więzami ciała — byś mógł teraz zrozumieć wiele z tego, co ci będzie niezbędne do spełniania twego zadania po powrocie do ciała. Musisz stać się dość silnym, byś mógł pomagać innym do przebudzenia duchowego, byś mógł wskazać im właściwe życie poza obrębem zmysłów cielesnych. Duchowi nie może się stać nic złego, jeżeli tylko utrzyma w myślach łączność z Bogiem. Pomimo, iż będziesz wyczuwał swoje astralne ciało, to jeszcze raz powtarzam, musi ono być poddane duchowi.

Pomyśl tylko o tych różnych fakirach na ziemi, oni znieczulają nietylko swoje ciało widzialne, ale i ciało astralne, tak, że duch ich pomimo, iż pozornie przebywa w tem ciele, w istocie wysuwa się poza jego obręb, a tylko przez to ciało działa. Ponieważ jednak lud nie widzi ducha odłączonego od ciała, patrzy ze zdumieniem na nieruchomą twarz, w której ani jeden nerw nie drży, chociaż ta twarz jest na wskroś przebita ostremi szpilkami.

Prawdą jest też, że taki fakir potrafi tańczyć na rozżarzonych węglach, lub połykać ogień, t. j. płonącą watę, napuszczoną rozmyślnie palnym płynem, który ten ogień podtrzymuje. Innym razem połyka rozpalone cygaro, a po chwili pokazuje je znów pomiędzy zębami. Są to wszystko pokazy niższego rzędu, mające źródło w niższych sferach mocy duchowej. Po największej części ci sławni fakirzy przy swych produkcjach nie łączą się myślą z Bogiem; wystarczy im tylko sama wiara w siebie, do której dopomagają im tajemne Moce, tak często działające przeciw woli Bożej, a każące uważać siebie za właściwe centrum siły i potęgi i na siebie patrzeć ludziom, jako na największą mądrość Bożą.

Jeżeli taki fakir chce się tylko popisać i wprawić ludzi w zdumienie, jeżeli sztuczkami chce zdobyć tylko sławę i pieniądze, to jest na pewno w spółce z Antychrystem, który go chce omamić temi dziwami, a uzasadnia to tem, że i Chrystus czynił cuda. Chce przez to zatrzeć właściwe znaczenie i cel zdrowego poznania samego siebie dla dobra własnego i drugich, chce przeszkodzić obudzeniu uśpionych w człowieku sił dla podniesienia się duchowego, dla wyzbycia się ociężałości i przywiązania do życia materjalnego, chce, by nie przypomnieli sobie o tem, że są tylko gośćmi na ziemi.

Ty, Antoni, nie dlatego masz hartować swoje ciało astralne i nie dlatego masz rozbudzać wiarę w swoim duchu, by ci się nic złego nie stało, albo byś mógł pokazywać po przebudzeniu duchowem podobne sztuczki, jak ci fakirzy, którzy po to się uwalniają, by duch ich mógł się przyoblec w potęgę. W tym celu zagrzebują

nieraz swoje ciało do połowy w ziemi, zostawiają przy niem jakiegoś podrzędnego ducha, któryby utrzymywał kontakt pomiędzy ciałem a nimi i wybierają się też na wędrówkę dla swego rodzaju posilenia duchowego. Potęgę swą czerpią przytem z najniższych, elementarnych sfer duchowych, do czego dopomaga im patrzenie ciekawych na zagrzebane ciało, nie przyjmujące żadnego pokarmu, ani nie dające żadnych oznak życia.

Wszyscy fakirzy mają, w mniejszym lub większym stopniu, pewne zdolności medjalne i łatwo im się łączyć z tajemniczemi siłami.

Ty również jesteś w tem życiu silnem medjum i dlatego też mogli dosyć łatwo duchowi nieprzyjaciele, karmicznie z tobą związani, rzucać cię dziwnie poza obręb twego ciała, szczególnie wampiryzować twoje ciało astralne, wyciągać przez komórki ciała widzialnego ożywczą pranę z ciała astralnego, zostawiając na tem pierwszem sińce na szyi i na ręce.

Później wysysały już dowolnie nieszczęsne duchy twoje ciało astralne, nie potrzebując już gwałtownie odsuwać twego ducha od ciała. Widzisz, ja cię chcę zahartować, by te wampiry nie znalazły przystępu do ciebie, byś poznał dokładnie swoje ciało astralne, byś dobrze widział wszystko naokoło siebie i dobrze zrozumiał swoje otoczenie, byś duchem mógł widzieć wyraźnie i wtedy, kiedy wrócisz już do ciała ludzkiego na ziemi, a to zarówno świat duchowy, jak i świat materji, np. byś wzrokiem ducha mógł widzieć wszystkie komórki swego ciała. Chcę ci pomóc, byś już wiecznie pozostał złączony ze światem ducha i byś w każdej

chwili mógł rozpoznać myśli dobre od złych, byś wiedział, skąd się wzięły i w jakim celu przyszły.

Antoniego najbardziej wzruszyły te myśli, że duch opiekuńczy chce go zahartować, a tem samem obronić przed napaściami zmór i wogóle przed tajemniczem prześladowaniem ze strony duchów. To mu wystarczyło. Przytulił się ponownie do niego, mówiąc:

— Pójdę z tobą wszędzie. Prowadź mnie! Będę uważał na siebie, by mnie strach nie chwycił w swoje sidła.

Duch opiekuńczy westchnął i rzekł:

— Mówisz że pójdziesz ze mną wszędzie. Mam cię więc prowadzić. Ach! jakżebym się czuł szczęśliwy, gdybyś powiedział: „Panie, Ty sam prowadź mnie! Panie, daj mi siły do przebudzenia się! Panie, daj bym daremnie nie żył na ziemi; daj, bym był zawsze złączony z Twojem światłem miłości i życia, bym już nigdy nie oślepł! Panie, daj, by Twoje jasne słońce miłości przebijało się do mego ducha, bym mógł widzieć jasne ścieżki Twoje, bym je mógł wskazywać innym i sam wiedział, dokąd one prowadzą! Panie! Ty sam zdejm ze mnie obawę i wszystkie strachy, które mi przeszkadzają na tej drodze!

Antoni pochylił głowę, zrobiło mu się smutno, gdy sobie uświadomił tę dziwną pustkę w swym duchu, gdy zrozumiał, że jeszcze w nim przeważa myśl i troska o siebie, zmieszana tak dziwnie z nieświadomością duchową i przeszkadzająca mu w zlaniu się z Bogiem. Ze smutkiem spojrzał na ducha opiekuńczego i rzekł:

— Ty mój drogi przyjacielu z nieba, nie śmiem

cię prosić, byś się modlił za mnie; pomagaj mi jednak swą świadomością i potęgą duchową, bym się mógł rozprzestrzenić! Naucz mnie modlić się! Pomóż mi wydobyć z siebie opamiętanie się duchowe, świadomość prawdziwego istnienia.

Wówczas usłyszał cichy szept ducha opiekuńczego:

— Módl się Antoni wysyłaj myśli do Boga, łącz się z Nim! Masz prawo, prawo dane przez Niego, jesteś Jego synem, tak, jak wszyscy jesteśmy Jego dziećmi! Te same prawa masz do Jego miłości, co i ja, co i inni. Bóg kocha nas wszystkich jednakowo.

Antoni wyszeptał rzewnie i cicho:

— Boże!

Nie mógł mówić dalej, bo ta myśl „Boże" tak prześlicznie zadźwięczała, że zatonął w niej i pobiegł za tym dźwiękiem, który się coraz bardziej potęgował. Wtem ujrzał niezliczone mnóstwo duchów, powtarzających słodko, niemal pieszczotliwie: „Boże".

Antoni przytulił głowę do piersi przyjaciela i czuł, że ten płacze. Z głębi jego ducha wydobywały się łzy, przynoszące Antoniemu niewymowną ulgę i błogie uczucie; równocześnie spadała w miljonowych kroplach jakby rosa na niego i na opiekuńczego ducha.

— Ach, jaka to błoga kąpiel — pomyślał Antoni — kąpiel z nieba. Jakież czyste źródło bije od stóp Boga; płynie szeroką smugą i tu spada dla oczyszczenia duchowego! Ach, Panie! Ojcze nasz! Ty prawdziwa ochłodo ducha! Wiecznie z Tobą, wiecznie przy Tobie, Ty błoga radości, Ty święte ukojenie! O, Panie, czystym chcę być, czystym dla Ciebie! O, Ojcze mój, zmyj

wszystkie me brudy wszystkich moich egzystencyj na ziemi! Spraw to, Ojcze mój, bym był silny, bym się mógł zawsze oprzeć złu na ziemi, bym je niszczył Twoją potęgą, o Panie! Niech Twa święta wola wszędzie panuje, niech się dzieje wszystko według niej! Niech wszędzie według niej idę, niech wiecznie według niej żyję! Bądź odtąd ze mną po wszystkie czasy! Jeżeli muszę wracać na ziemię, nie skąp mi w modlitwie tej orzeźwiającej rosy!

— O, nie poskąpi, nie — ozwał się głos inny.

Antoni spojrzał zdumiony i ujrzał jeszcze jednego ducha przy sobie. Miał on wyciągnięte dłonie, jak gdyby obydwu błogosławił.

— Bóg nie poskąpi ci swej siły i miłości, tylko uświęcaj swe życie, oddaj Mu siebie! On przytuli cię zato wzajemnie do siebie.

Duch ten znów się oddalił. Antoni sądził, że to pewnie ten duch, którego wzywał jego duch opiekuńczy do pomocy. Ten mu jednak odpowiedział:

— Sądzę, że posiliłeś się już dostatecznie i nie będziesz się niczego obawiał w dalszej wędrówce. Byłoby mi trochę przykro, gdybym jeszcze musiał kogo przywoływać do pomocy, by ci dodawał odwagi. My wystarczylibyśmy sobie sami, bo wierz mi, jeżeli Bóg z nami, a my z Nim, nie powinniśmy się niczego obawiać.

* * *

— A więc na morze. Chciałem się z tobą spuścić aż na dno morskie, by w tobie przełamać obawę i zahartować cię. Zaraz tu u brzegu morza zaczniemy się

spuszczać na jego dno. Teraz wróci ci trochę tego ludzkiego uczucia, tej obawy przed utopieniem się. Odsuń jednak tę obawę od siebie. Ja mogę się spuszczać do morza w tej pozycji, w której mnie widzisz, ty się zaś na brzegu tak połóż, jak gdybyś się kładł spać. Jeżeli odsuniesz od siebie strach, zobaczysz, że wiele skorzystasz, wcale nie odczujesz chłodu, ani ciężaru wody, nie doznasz bynajmniej uczucia dławienia się. W wodzie będziesz mógł wszystko tak samo dobrze obserwować, jak tu. No, kładź się już!

Antoni jednak zadrżał, jak za życia przed wskoczeniem do wody. Nabrał też powietrza do płuc, jak też to czynił za życia w ciele fizycznem i położył się według zlecenia na brzegu. Opiekun uśmiechnął się, mówiąc: Byłoby lepiej gdybyś zamiast wciągać powietrze w siebie, powiedział ufnie: „W imię Boże!"

Antoni podziękował mu za tę zdrową uwagę i zaczął się powoli staczać z brzegu do morza. Wydało mu się, że go morze samo wciąga z nieprzepartą siłą. Obok niego spuszczał się jego duch opiekuńczy. Ani się spostrzegł Antoni, kiedy się znalazł w wodzie, od brzegu się jednak jakoś nie odsuwał; toczył się od strony prawej w lewą. Gdy był twarzą zwrócony ku ziemi, zauważył ze zdumieniem w jej wnętrzu kamienie, korzenie i różne minerały. Im dalej i głębiej się spuszczali, tem więcej niknęły im korzenie. Antoni podziwiał roztropność opiekuńczego ducha, który go tak zręcznie coraz głębiej spuszczał. Niemal w połowie głębokości morza zaczął się duchowy przyjaciel coraz bardziej oddalać od brzegu, a Antoniego niejako pociągać za sobą. W jego ruchach

i wogóle w całej jego postaci przebijał się pewien mały wysiłek, którego Antoni sam nie odczuwał; będąc jakby niesiony przez kogo.

Antoni, staczając się po brzegu, zauważył już pierwszych obywateli morza, nie wzdrygając się wcale przed nimi. Widział ich fosforyczny połysk i miał wrażenie, że niektóre z tych istot patrzą też na niego. Jakoś dość swobodnie przepływały koło jego rąk i nóg. Przy każdem ich zbliżeniu się odczuwał jakieś niemiłe szarpnięcie; nie był to lęk, ale coś takiego, jak gdyby mu za życia usiadła na ciele jakaś gąsienica i czołgała się po jego ramieniu, albo jak gdyby się ślimak ślizgał po jego nodze. Miał tę pewność, że chociażby ich nie strząsał z siebie, to jednak one się rychło oddalą. Kiedy tak ze zdumieniem zastanawiał się, dlaczego on tak lekko płynie, a duch opiekuńczy posuwa się przed nim z pewnym wysiłkiem, rzekł mu tenże:

— Tak, tak, przyjacielu, jesteś jeszcze trochę za ciężki. Chociaż ciebie nie trzymam na rękach, to bądź pewny, że cię trzymam w magnetycznej sieci, toteż twój ciężar mi się udziela, bo cię podtrzymuję siłą woli. Inaczej nie mógłbyś dokładnie obserwować miejsca, gdzie się znajdujesz i nie wiedziałbyś nawet, co się z tobą dzieje — zresztą nie umiesz jeszcze pływać w morzu bez zabezpiecenia się w strój nurka, przy zupełnej świadomości duchowej.

Wtem nagle zaświeciło coś mocno w ich sąsiedztwie. To zbliżał się ludojad. Opiekun ożywił się więcej i pociągnął Antoniego bliżej do siebie, mówiąc:

— Patrz, widzisz tę paszczę, te zęby ustawione w półkolu? Z łatwością mogłyby pochwycić człowieka.

Antoni zdrętwiał na chwilę, bo ludojad zwrócił się do niego z otwartą paszczą. Duch opiekuńczy przytulił go szybko do siebie i rzekł:

— Patrz na mnie... patrz na mnie, nie patrz na ludojada: Nie bój się. on nas przecież nie pochłonie, on tylko oddycha! Wcale nie wie, że tu są duchy ludzkie, których ciało fizyczne tak chętnie pożera. Wiem, że obecność jego działa na ciebie niesamowicie. I ja się przyznać muszę, że się swego czasu przeląkłem tych fosforyzujących olbrzymów, świecących jak duchy na dnie morza. Ich elektryczność działa poniekąd paraliżująco na ciało astralne. Zdarzało mi się początkowo, że gdy się dostałem w obręb ich elektrycznej siły, zaczynałem w niej gubić swą wolę i byłem przez chwilę bezwiednie przyciągany przez ogon ludojada.

Spójrz i nie bój się, już jesteśmy przy jego ogonie. On sobie dalej płynie. Patrz, jaki to okręt mamy przed sobą; właściwie — to jesteśmy na tym okręcie. Bawiło mnie to dawniej, gdy się tak ujrzałem na jego ogonie, jak na okręcie; mogłem się mu świadomie przyglądać, wiedząc już naturalnie, jak i kiedy się trzeba z tego ogona uwolnić.

Popłyniemy więc z nim kawałek dla poczynienia obserwacji. Przypomnisz sobie zapewne, przynajmniej z opisu, o rozmiarach jego ciała fizycznego. Ten oto, na którego ogonie płyniemy. nie jest dłuższym nad 7 metrów. Jest to już w każdym razie olbrzym. Oprócz ciała fizycznego ma jeszcze drugie ciało, ciało fluidarne,

astralne, które może żyć tylko w wodzie. Woda sprzyja jego potędze i jego sile. To fluidarno-astralne ciało jest dłuższe i szersze od fizycznego; rozmiary jego dochodzą 40 — 50 metrów. Widzisz, że najbardziej z pod pletw, niby z pod skrzydeł, sypią się elektryczne fale. Zapomocą tej siły utrzymuje się w wodzie w ciągłym ruchu.

Gdy ludojad zostanie raniony, wybucha ze zranionego miejsca żywotna siła elektryczna, co mu sprawia wielkie cierpienia. Traci on wówczas równowagę i nie może się normalnie poruszać w wodzie.

Słuchaj, zrobimy teraz próbę. Przekonasz się zaraz, że i ten wielki twór podlega woli ducha.

Centrum duszy zwierzęcej u ryb nie ma swych głównych sprężyn w głowie, tylko w pęcherzu pławnym, który może widziałeś już u mniejszych ryb. Nie będę mu posyłał przed paszczę złowrogich myśli, które także drogą wzroku dostają się do głębi zwierzęcia, t. j. do tego pęcherza pławnego; tenby pod ich wpływem drżał, a tem samem podrzucał całe ciało zwierzęcia. Widziałem, jak inni próbowali działać na takie zwierzęta, jątrzyć je i stwarzać przed niemi sztuczne niebezpieczeństwo, że je coś chce pożreć. Aż niemiło było patrzeć na to ich sztuczne podrzucanie się, gdy przytem wydzielały z paszczy mętną ślinę złości.

Ja będę oddziaływał na niego spokojnie, pogłaskam go po powierzchni, jak kota po grzbiecie. Zobaczysz, jak się będzie łasił koło mnie.

I zaczął go pieszczotliwie dłonią głaskać po grzbiecie, potem pogłaskał kilka razy jego boki. Ludojad

przystanął i dziwnie zaczął grzbiet wyprężać i wyginać, jak kot pod wpływem pieszczot. Elektryczność zaczęła jeszcze bardziej buchać naokoło niego; ludojad zaczął na swój sposób marzyć i wzdychać.

Duch opiekuńczy rzekł:

— Antoni, teraz się musimy całą siłą woli oddalić nieco od niego, bo jego elektryzowanie nie sprawiłoby nam bynajmniej przyjemności. Zostawmy go, dopóki nie wybuchnie z niego ta najbardziej ostra siła, którąby nas tu paraliżowała.

Tak też zrobili. Duch opiekuńczy mówił dalej:

— Siła, która z niego bucha, ta siła tak mocno falująca, poruszająca naokoło niego warstwy wody, mimo, iż ludojad stoi w jednem miejscu — jest siłą zapładniającą. Chociaż niby niema pobudek do tego, to jednak jednem pogłaskaniem otworzyłem komórki owych magnetycznych prądów. Nie myślałem o żadnem podrażnieniu; aby się jednak dostać do jego zwierzęcej duszy, a nie wchodzić w te jego chuci, musiałem je niejako puścić do wody. Patrz, jak ludojad słabnie, jak się porusza leniwie i ociężale. Teraz możemy się znów swobodnie przenieść na jego grzbiet, a właściwie ty się przeniesiesz. Na jego grzbiecie będziesz bezpieczny, ja cię nie będę musiał podtrzymywać; będę mógł moje myśli więcej skoncentrować na jego duszę.

Antoni znalazł się na grzbiecie ryby. Duch opiekuńczy, podniósłszy ręce, magnetyzował rybę w jednem tylko miejscu, a mianowicie w środku wnętrzności. Ludojad niebawem znów się zaczął prostować, całem jego ciałem wstrząsały dreszcze. Ponury blask ócz jego

przygasł, zaczęły one świecić jak dwie latarnie morskie. Z pletw nie płynęło już tyle magnetyzmu, wszystek usiłował się niejako skoncentrować w oczach i na grzbiecie, gdzie stał Antoni.

Duch opiekuńczy oddalał się to w prawo, to w lewo, a ludojad płynął wszędzie za nim, z wyraźną ochotą bawienia się z nim i łaszenia.

Po chwili zaprzestał opiekun tej gry, a wziąwszy Antoniego jak do sieci, popłynął z nim dalej. Antoni, oddalając się, obejrzał się jeszcze na ludojada i zobaczył w jego oczach bezbrzeżny smutek, jak gdyby zamierał w ruchach. Ledwie odpłynęli kawałek, przypłynął wieloryb, fosforyzując również niesamowitem światłem. W blasku tym dojrzał Antoni wyraźnie mnóstwo mniejszych i większych rybek. Tworzyły one niejako drugie ciało astralne wieloryba. Wieloryb ten żywił się wyłącznie małemi rybkami. Połykając je całe, nie miażdżył ich pęcherza, tej zwierzęcej duszy rybiej, która, pękając dopiero w jego wnętrznościach, zlewa się w całości z jego magnetyzmem i nie dostaje się poza obręb magnetycznego ciała wieloryba. Ujarzmiona dusza w magnetycznej aurze olbrzyma nie przybiera już ciała. Pomimo to dusze rybek żyły i były bardzo ruchliwe, tak, że Antoni w pierwszej chwili miał złudzenie, że to masa rybek płynie z wielorybem. Każdy ruch wieloryba odbijał się na tych małych rybkach; robiły one to samo, co wieloryb.

— Nieprawdaż, dziwne to zjawisko? — odezwał się przyjaciel Antoniego. — Dusze wszystkich rybek, złączone z wolą wieloryba, nie mają swobody poruszania

się, są teraz jego cząstką, jego drugiem ciałem. Dopiero po śmierci fizycznego ciała wieloryba zmieni się tryb życia rybek, staną się wolnemi.

Mówiąc to, oddalili się obydwaj od wieloryba i spuścili się niżej na dno morskie. Tam natrafili na polipa olbrzymich rozmiarów. Leniwie poruszał długiemi mackami; z ócz jego płynął przerażający chłód. Szybkim ruchem przyciągnął opiekun Antoniego do siebie. I polip zaczął się żywiej poruszać, skierowawszy swe ramiona w ich stronę. To tak przeraziło Antoniego, że aż krzyknął. W tej chwili przytulił go opiekun do siebie, mówiąc:

— Patrz na mnie... Patrz przeze mnie!

Antoni nie pozwolił sobie tego dwa razy powtarzać, tylko ukrył czem prędzej twarz na piersiach opiekuna. Poczuł dosyć gwałtowne ruchy swego przyjaciela, jak gdyby ten coś odpędzał od siebie; bał się jednak spojrzeć, co się to dzieje. Miał chwilami wrażenie, jak gdyby ktoś przesunął ciężkie macki po jego grzbiecie... Wreczcie zauważył, że się powoli posunęli naprzód. Obejrzawszy się, zauważył Antoni, że polipowi zwisły macki, jak gdyby je miał połamane.

— Dlaczego się boisz? Czemu krzyczysz? — ozwał się opiekun karcąco. — Gdybyś się tak miał bać wszystkiego, to musielibyśmy ze wszystkiem staczać walkę. Twoja obawa dodała śmiałości polipowi, który pomimo, iż ma ciało fizyczne, widzi lepiej wzrokiem swej duszy.

W morzu jest więcej takich obywateli, którzy lepiej widzą tym drugim wzrokiem, aniżeli fizycznym. Toteż

nie tak łatwo poruszać się pomiędzy nimi, mając na sobie tylko ciało astralne. Jeżeli będziesz dostatecznie śmiały i nie ulękniesz się ich, będziesz mógł spokojnie stanąć na ich otwartej paszczy, albo możesz się nawet śmiało bez szkody przesunąć przez ich wnętrzności.

Szczególnie niebezpiecznym jest polip dla ciała astralnego. Jeżeli człowiek dostanie się w objęcia polipa, to ten nie śpieszy się z pożarciem jego ciała, natomiast w strasznym uścisku wysysa krew ze swej ofiary, a z krwią magnetyzm i pranę życia. Taki nieszczęśnik, pozbawiony ciała, pozostaje nieraz dosyć długo uwięziony przy polipie, tak jak dusza tych rybek w otoczeniu wieloryba.

Małym rybkom nikt nie idzie z pomocą, ale duchowi, usidlonemu w astralnych mackach polipa, śpieszą inni z pomocą. W miarę, jak on przełamie w sobie strach i obawę, może być prędzej lub później uwolniony.

W obrębie ziemi waszej, wysoko w powietrzu nad Indjami, jest również wiele polipów, pokrewnych tym polipom; ciało ich to galaretowata masa. Lecz trudno do nich dotrzeć. Widziałem pewnego lotnika, który dostał się blisko nich, bo i one zniżyły się do ziemi. Były daleko większe, aniżeli polipy w morzu. Nie mogąc zapomnieć o owych zjawiskach w górze wybrał się powtórnie w tę stronę, lecz już nie wrócił więcej na ziemię. Szczątki aparatu znaleziono daleko porozrzucane na ziemi, ciała nie znaleziono ani śladu. Podsuwałem mu nieraz myśl, by uważał i nie zbliżał się zanadto do nich, bo one mają olbrzymią magnetyczną siłę i mogłyby go wciągnąć pomiędzy siebie. Uniósł się z nim je-

den z polipów. Pomknęli tam, gdzie już prawo ciężkości nie wchodzi w grę. Polip wyssał jego ciało astralne, a kości rozpadły się w atomy. Pozostał po nich jednak pewien ślad, coś jakby z chmurek utkana, zasuszona mumia ciała ludzkiego.

Zaprowadzę cię i w tamte strony. Przypomniałem ci to zdarzenie już teraz dlatego, że te potwory są ogromnie podobne do tych polipów. Zatrzymajmy się więc teraz trochę przy nich, a potem przesuniemy się na drugi brzeg.

Widzisz tam te dziwne tunele i jaskinie podziemne? To mieszkania polipów. Ciągną się one niekiedy aż na powierzchnię ziemi. U brzegu tych jaskiń i skał są jeszcze kościotrupy i szkielety marynarzy.

Polipy pilnują swych ofiar, a kiedykolwiek duchy chcą się oddalić od tych kości, wyciągają natychmiast swoje astralne macki i przytrzymują swą zdobycz. Uratowaliśmy już wiele takich duchów marynarzy i innych nieszczęśników, którzy odeszli ze świata podczas katastrof na morzu; jeżeli ratunek ciała był niemożliwy, ratowaliśmy przynajmniej ich ciało astralne.

Doświadczeni marynarze wiedzą, że gdy się zostanie napadnięty przez polipa, można się jeszcze uwolnić z jego kurczowego uścisku w ten sposób, jeżeli się zdoła zanurzyć ostry nóż w jego nieprzyjemnej galarowatej masie w środku, t. j. tam, gdzie sięześrodkowuje władza i siła macek. Znajduje się tam bowiem pewien zwój, który podtrzymuje całą energję macek. Dobrze wycelowane pchnięcie w owo miejsce ubezwładnia najbardziej niebezpiecznego potwora. Pobratymcy tak za-

bitego polipa, widząc go konającego we falach morza, chwytają go bezwiednie za opadłe macki i ciągną na brzeg morza do swoich jaskiń. Tam układają go w takiej pozycji, jak gdyby go układały do snu. Ze zdwojoną siłą szukają potem przez jakiś czas nowej ofiary ludzkiej. Jeżeli się im uda przyłapać kogoś, to go wloką w śmiertelnym uścisku do wspomnianej jaskini tak, jakby składały z jego ciała ofiarę swemu zmarłemu koledze. Bywają też pomiędzy niemi i zażarte walki, uderzają się mackami wzajemnie w najczulsze miejsca, o których dopiero co wspomniałem, że przez zanurzenie w nie stali można największego potwora pozbawić życia.

Właśnie już jesteśmy u brzegu. Musimy się zatrzymać przed niemi w odległości przynajmniej 15 waszych ziemskich metrów i stamtąd wyciągać im ich ofiarę. Pomogę uwolnić jednego z marynarzy, którego inni wezmą w opiekę.

Wyciągnął dłonie w ich stronę. Dla człowieka napozór ciemne jaskinie, nie są jednak ciemnemi dla ducha, o ile naturalnie ten duch widzi. Fosforyzujące światło przyrody i wody nie jest tak silne, jak światło słoneczne, jest jednak dostateczne, by można widzieć przy niem wzrokiem astralnym Opiekun wyciągnął swoje ręce w stronę gniazda polipów, a Antoni zauważył pomiędzy niemi ogromnie niespokojne poruszenie. Tak jak robaki lubiące żyć w ciemności, gdy na nie nagle zaświeci światło, szybko szukają schronienia, tak i ta gromada polipów bezplanowo wyciągała swoje macki na wszystkie strony, chcąc uciec przed wpływem, pochodzącym od dobrego ducha. Jego magnetyzm palił wy-

raźnie ich członki. Polipy jakby w obronie kurczyły się, to znów wyciągały do ostateczności w stronę magnetycznych prądów ducha opiekuńczego, jakgdyby go chciały chwycić. Po każdem wyciągnięciu macek w stronę opiekuna, opadały te w konwulsyjnych drganiach obok siebie, bo polipy nie miały dostatecznej siły do kurczenia ich w siebie lub pod siebie. W takiej chwili ich panicznego strachu duchy uwięzione czuły się pewniejsze siebie.

Antoni myślał, że niebawem wszyscy marynarze zostaną uwolnieni. Opiekun zmagając się dalej z polipami, dał Antoniemu znak głową, że się myli, bo i do tych jaskiń na dnie morza sięga prawo Karmy. Narazie tylko jeden może zostać zwolniony.

Tak się też stało. Zjawiły się trzy duchy i zabrały uwolnionego z sobą. Opiekun odetchnął i zaczął się powoli oddalać od gniazda polipów, mówiąc do Antoniego:

— Wiesz, kiedy tak patrzę na te potworne polipy i na ich ofiary, przypominają mi się różne bajki i powiastki, słyszane lub czytane na ziemi. I ja drżałem ongiś z trwogi, gdym czytał, że jakiś smok podziemny porwał piękną dziewicę i uwięził w podziemnych pieczarach.

Te powiastki to medal, który można oglądać z dwu stron. Ja, jako dziecko, drżałem ze strachu, gdym pomyślał, że to ja miałbym się znaleźć w mocy takiego potężnego, ogniem ziejącego smoka.

W astralnym świecie, nie na dnie morza, spotkamy jeszcze niejednego smoka, który zionąć będzie ogniem

na swoją ofiarę. Teraz też rozumiem niejedną powiastkę, którą czytałem na ziemi. Dorośli czytelnicy podobnych bajek uważają je za zwykły wytwór fantazji. Tego samego zdania są rodzice i opiekunowie małych czytelników. Starsi nie wierzą zwykle w podobne bajki, a dzieciom podsuwają je tylko dlatego, by pobudzić ich ciekawość i zachęcić je do czytania.

O, przypominam sobie dokładnie, jak się w mojej wyobraźni poruszały te różne smoki i potwory. I wierzyłem w to, co czytałem. We śnie widywałem nieraz potwory olbrzymich rozmiarów, z paszczą zwróconą ku mnie, lub pełzające tuż obok mnie. Starszy mój brat śmiał się ze mnie, gdym mu spocony, po przebudzeniu opowiadał, żem widział smoka, idącego na mnie.

O, jakże mało uwagi przypisują rodzice i mądrzy starsi podobnym wzruszeniom dziecka, jego widzeniom i myślom! Uważają to wszystko za niedorzeczności. Dziś jednak widzę i wiem, że te dzieci w swej fantazji są nieraz bliżej prawdy od swych ziemskich opiekunów, gdyż ci, będąc dostatecznie pouczeni przez prawdziwą wiedzę na ziemi, jak ją zwą, zatracają rzeczywistą intuicję ducha i biorą dobrowolnie na siebie płaszcz niewiedzy.

Rozdział XIII.

Sen wieczny.

A teraz przeniesiemy się w sfery, gdzie myśli i uczucia pozornie opuszczają ducha na czas krótszy, czy dłuższy.

Duch, odchodząc od ciała, które zostawia w stanie t. zw. śmierci, w pierwszej chwili, przechodząc, że tak powiem, przez wrota śmierci, zapada w jakąś martwą nieświadomość Można to porównać z momentem zasypiania, kiedy duch, przechodząc w krainę snu, nie wie, co się z nim dzieje. Ta przedziwna pośmiertna nieświadomość szybko przemija u ducha, wiedzącego, iż życie jest wieczne, a śmierć dla ducha nie istnieje; u innych jednak stan ten trwać może długie czasy.

Spójrz, już jesteśmy w tej dziwnej krainie „wiecznego snu“ ducha. Tu są ci, którzy „zasnęli na wieki“. Do tego „snu wiecznego“ ułożyli ich najbliżsi krewni, znajomi, do niego ułożyli się oni sami w swej nieświadomości duchowej, której nie starali się rozprószyć przez szukanie w sobie prawd bożych. Uwierzyli bezkrytycznie w to, co im było mówione na ziemi: „Gdy człowiek umrze, śpi snem wiecznym, z którego powstanie dopiero na sąd ostateczny“.

Widzisz te duchy? Mniej życia objawiają, niż ich larwy.

Kładąc się na spoczynek, przybiera człowiek zazwyczaj pozycję leżącą. Bardziej świadomi, czyli przebudzeni duchowo odłączają się duchem od ciała w czasie snu i odbywają dalekie nieraz wędrówki. Pozycja pozostawionego na łóżku ciała nie ma w tych wędrówkach żadnego znaczenia, nie wpływając bynajmniej na to, by i duch miał płynąć w pozycji leżącej. Duchy takie, choć ciała ich śpią na ziemi, poruszać się mogą zupełnie swobodnie w sferach, do jakich tylko dopuści je ich stopień rozwoju i Karma. Lecz tu spotkasz się z dziwnem zjawiskiem: duchy, które tu ujrzysz, tak są zahypnotyzowane myślą o śnie wiecznym, że istotnie trwają w sennym bezruchu, przybrawszy nawet pozycję, jaką ma ciało człowieka śpiącego.

Patr, ile tu tych duchów. Przypomina to poniekąd obraz jadącego pociągu, gdzie pasażerowie drzemią i ten i ów sam o tem nie wie, jak mu głowa opada. Poruszy się on we śnie, oprze o ramię nieraz zupełnie nieznajomego człowieka — i nic o tem nie wie, jak również i o tem, że wogóle jedzie.

Tak i te duchy — płyną ciągle, ciągle są w ruchu, a nic o tem nie wiedzą, pogrążone w „śnie wiecznym". Od czasu do czasu ktoś poruszy się i znów opada sennie, kładąc się nieraz jeden na piersiach drugiego. Niewidzialny pociąg Czasu unosi je ku stacji Przeznaczenia...

Antoni patrzył zdumiony na te ogromne masy duchów, tak wiernie podobnych do ludzi na ziemi, że nawet wiek można było wyraźnie odróżnić, a to ten, do którego

kto dożył na ziemi w ciele. Płynęli pogrążeni w jakiś duszący sen. Tam dziecko leżało na piersiach matki i płynęło razem z nią, nie wiedząc o tem w świadomości, że z nią płynie. Były myśli, lecz jakieś potargane, były uczucia, lecz niejasne. W sferze snu myśli żywiej się poruszają, są przesycone uczuciem, spełniają swą rolę w symbolicznej grze obrazów. Lecz tu myśli w swej żywości bladły, rwały się; tu i ówdzie tylko zabłysła któraś, jak blask świecy, bo przecież za tymi „zmarłymi" szło z ziemi życzenie: „A światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków". Sakramentalne „amen" stawiało niejako przeszkodę jakiemukolwiek przebudzeniu się duchowemu. Unosiła ich jedna potężna myśl: o śnie wiecznym — i nie pozwalała otworzyć oczu ducha.

Antoniemu wydawało się, że gdyby zawołał głośno na te przepływające obok niego duchy, gdyby przemówił do nich, to niemożliwe, aby się nie przebudziły. Zdjęła go nieprzeparta ochota, żeby zatrzymać choć niektóre w ich bezmyślnym śnie. Zrozumiał to dobrze jego duch opiekuńczy. Leciuchno odsunął się od Antoniego, zostawiając mu wolność działania. Antoni zrozumiał, że może zrobić próbę.

Właśnie przypłynął duch starca. Antoni myślał w pierwszej chwili, że starzec jest bez ręki; lecz astralne ciało było całe, brak mu tylko było jednej ręki, z fluidów teleplazmy.

Antoni podniósł ku niemu ręce, jakby go chciał pochwycić; ledwo go jednak ujął, uczuł, że płynie razem z nim. Zwolniło się tempo, w jakiem posuwał się

dotąd starzec, ruch stał się więcej kołyszący i powolniejszy, a na śpiącej twarzy pojawiło się niespokojne drganie.

Antoni wysłał mu silną myśl, patrząc uważnie na jego lekko drgające powieki, które niedostatecznie zakrywały blask oczu, oczu już innych, nie takich, przez jakie patrzył za życia. Dziwne to były oczy — miało się wrażenie, że patrzą i nie widzą... jakiś dziwny, rybi wzrok.

Antoniemu na widok tych oczu zrobiło się niewesoło, jednak powtórzył kilkakrotnie myśl:

— Zbudź się! Zbudź się z tego snu, rozejrzyj się naokoło siebie! Wiedz, że żyjesz i chciej być pożytecznym, a nie spać i płynąć bezmyślnie!

O, jakże się ucieszył, kiedy owe oczy zaczęły przybierać inny blask i twarz starca zaczęła się poruszać. I wnet zaczęły płynąć inne myśli: to ostatnia modlitwa, jaką starzec ongiś w lęku powtarzał, wiedząc, że już umiera.

Antoni odczuł niesamowity chłód; puścił starca — ten znów zaczął szybciej płynąć, a oczy coraz bardziej mu się rozszerzały, patrząc przed siebie dziwnie gorączkowo; zwrócone były jednak nie na Antoniego, lecz — — jak się temuż zdawało — na jakiś martwy punkt. Niebawem dojrzał Antoni, iż oczy te skierowane są na krucyfiks. I nagle dostrzegł już wyraźnie całe mieszkanie, a w niem księdza, jak się skłania nad konającym, dając mu do ucałowania krzyż na drogę do wieczności. Koło tego krzyża owijała się jedna myśl, myśl konającego:

— Boże, Jezu Chryste, nie karz mnie za moje grzechy! Daj mi zasnąć snem spokojnym na wieki!

Antoni nie wiedział, co począć. Spojrzał bezradnie na opiekuńczego ducha, a ten zaczął mu żywo objaśniać, co to wszystko znaczy.

— Obraz, który ujrzałeś i który wystąpił z taką wyrazistością, jak na jawie, jest obrazem, odbitym na siatkówce gasnącego oka i stamtąd przeniesionym do oka astralnego. W momencie budzenia ducha starca do życia ostatni obraz, utkwiony w oku i w pamięci, stanął przed nim w całej żywości. Gdyby dobrze były badane oczy człowieka po śmierci, to zawsze możnaby było dostrzec na siatkówce rzeczy lub osoby, na których wzrok konającego spoczywał. Najbardziej uwydatniają się takie obrazy u zamordowanych. Jeżeli morderca zada cios śmiertelny, a potem nachyla się nad swą ofiarą, czekając, aż ta wyzionie ducha, z pewnością zostanie odbitym na siatkówce konającego wraz z narzędziem śmierci, o ile je jeszcze trzyma w ręce.

Ostatni obraz życia... Im większa wiara w to, że po śmierci śpi się snem wiecznym i nie zbudzi się, aż na sąd ostateczny, tem większy bezruch, bezmyślność, tem mniej jakiegokolwiek uczucia. Wszystko, co przedtem stanęło przed gasnącemi oczami starca, jego życie na ziemi, jego trwoga przed śmiercią, przed karą Bożą, przed piekłem, czy czyśćcem, ustąpiło temu jednemu obrazowi.

— Dokąd oni tak popłyną w tej swojej nieświadomości duchowej, czy i kiedy skończy się ten ich sen bezmyślny?

— O, to właśnie obrało sobie wiele świadomych duchów w zaświecie za zadanie, by budzić takich śpiących „snem wiecznym“. Czas, choć tu nie tak obliczamy, jak u was na ziemi, wchodzi jednak i tu w rachubę. Wieczność jest długa, bardzo długa...

Antoni patrzył na coraz to nowe śpiące duchy, płynące szeroką rzeką własnych fluidów. Zdało mu się, iż patrzy na grę obłoczków na błękicie nieba przy zachodzie słońca: coraz to jeden napłynął na drugi, tworząc wielki bałwan mglisty, i już go wyminął. Po bokach tej szerokiej rzeki płynęły ich myślowe elementy. Płynęły ich całe stada, zmieniając swoje kontury podobnie, jak i owe duchy, pogrążone w „sen wieczny“. Groźne postacie z szeroko otwartemi paszczami, do których wpadały mniejsze elementy i znów przepływały przez to potworne widziadło; niektóre aż majestatyczne w swej potędze, rosły jak olbrzymy i znów się załamywały i przekształcały.

Łatwiej zbudzić śpiącego ducha, niż potem ubezwładnić te różnokształtne myślotwory, które natychmiast przybierają realniejsze kształty, skoro tylko duch się przebudzi, uwierzy w swe życie i zapragnie oczyścić swoją aurę.

Te larwy, elementy płyną do czasu przebudzenia się pozornie niewinnie. Gdy większą falą napłyną, wymijając je, inne larwy i elementy wraz ze swoim twórcą, także śpiącym duchem, to jedne i drugie skupiają się zwartą masą nad swoimi twórcami tak, jakby się bały, by ich coś od nich nie oderwało. Porównaćby je można z wiernym psem, który biega sobie w pobliżu swego

pana, a kiedy się czegoś strwoży, siada mu u nóg, lub idąc z nim, plącze mu się koło nóg, szukając ochrony przy swoim chlebodawcy. Lecz larwy i elementy nie mają pełni świadomości takiej, jak zwierzę, pies, i nie z takiemi jak on uczuciami kryją się u nóg swego stworzyciela; one chcą się niejako wprost wtłoczyć w nogi. To też taki element czy larwa sprawia najprzykrzejsze chwile duchowi w wieczny niby sen pogrążonemu; ciężarem swoim opada mu na piersi jak zmora, tamując mu jakie takie wolniejsze tchnienie, a duch jak we śnie chce wołać o pomoc i długo nieraz napróżno walczy, chcąc je od siebie odpędzić. Brak tchu, uczucie duszności, niepokój, strach miota nieszczęsnym duchem, przywalonym otaczającemi go larwami i elementami.

— O Panie, daruj mi moje winy, o Boże, nie karz mnie, o Duchu święty, zlituj się!

Takie senne i trwożne myśli, układane tak często bez sensu i bez głębszej świadomości duchowej, odpędzają jednak larwy i elementy od śpiącego ducha.

Właśnie Antoni ujrzał, jak przypłynęła postać kobiety, na której kształtnych piersiach siedział element podobny do małpy. Głowa kobiety była nienaturalnie przechylona w tył, jak gdyby zwisała z jakiej balustrady. Połowa ciała spowita była w teleplazmę, nie było widać jej kształtu. Była podobna do tych morskich syren, o których czyta się na ziemi w baśniach; pół człowiek, pół ryba. A element-małpa, nie okazując większego zainteresowania, na czem to płynie, rozkładała swoje przednie łapy i prostując je, jak dwa wiosła, poruszała

niemi, niby prawdziwemi wiosłami, tak, że ta dziwna kobieta tworzyła dla niej jakby łódkę

Za nią ukazał się inny, niemniej niesamowity obraz. Oto przypłynęły postacie nawpół ludzkie, nawpół zwierzęce.

— Widzisz ten straszny obraz? — rzekł opiekun. — To nie fantazja, to rzeczywistość. Dusza (nie duch) z ciałem astralnem człowieka, mężczyzny, ale z głową psa. Na szyi czarna opaska, na niej uwiesił się duch nieczysty, świadomy złego; płynie ze swoją ofiarą. Niemasz elementów naokoło nich; wszystko zło wcieśnione jest w ciało tej duszy, wgniecione tam niejako i przytrzymywane przez tego ducha. A ciało to duszewne jest jednak własnością innego ducha. Płynął on tak, pogrążony w „śnie wiecznym“, jak ci, których oglądałeś poprzednio. Zbudził się, a ujrzawszy wgryzający się weń element, zaczął się bronić przed nim, krzycząc i przeklinając: „Psiakrew, niech djabli wezmą takie życie!“ Ze złością i bluźnierstwem pomyślał przytem o Bogu, wyciągając w przestworze zaciśnięte pięście. W tym momencie pogróżki odepchnięty został od ciała przez tego, któremu niby przysługiwało prawo w takim wypadku wziąć sobie porzucone ciało astralne z ujarzmioną duszą i walczącym w niem jeszcze elementem. Ten swobodnie rozłożył się już w jego ciele, gdy tymczasem ciemny duch zarzucił temu ciału na szyję pętlę, wieszając się na niej i wciskając nią niejako jego własne przekleństwo w jego ciało. Znikła twarz, podobna do twarzy ludzkiej i widzisz oto, jak wyraźnie występuje głowa elementu, gło-

wa psa. A widzisz ducha, odepchniętego od swego ciała astralnego? O, tam jest...

I Antoni ujrzał ducha skulonego opodal ciała, z głową opadłą na piersi, jakby miał podciętą szyję. Ciągle narzekał i wymyślał bezsilnie, a nie mógł się ruszyć z miejsca.

— Jaka przyszłość czeka tego ducha? — zapytał Antoni spojrzeniem.

— Pójdzie na świat, jak inni, trwający w tym stanie. Pójdzie z nim jego dorobek z ziemi, a także i przekleństwo, jakie sam rzucił na siebie. Urodzi się z głową, podobną do psiej. Nie chce mi się patrzeć, jakie będą losy tego ducha na ziemi. Być może, że rodzice spieniężą jego brzydotę i zbogacą się na nim jako na wybryku przyrody. A duch niski, który też za nim pójdzie, będzie go dręczył myślami, że jest brzydkim.

Różne są koleje podobnych nieszczęśników na ziemi. Jeśli zrodzi się dziecię z rogami i kopytkami, to rodzice sami proszą lekarzy o uśmiercenie tego „wcielonego djabła". Lecz kto przecina życie takiemu dziecku, czy człowiekowi, na tego przerzuca niski duch jego ciężar. Nie wyrosną mu na głowie rogi, nie zamienią się nogi jego w kopyta, ale ciężar ten niewidzialny zawiśnie mu jakby na szyi, niepokojąc go, zjawiając się często przed jego wzrokiem duchowym we dnie, a nawet i na jawie. Widzi wówczas tę swoją ofiarę, to niekształtne dziecko.

Wiele miałbym ci do powiedzenia o tych duchach, zarówno o tych, które teraz przepływają, jak i o poprzednio widzianych, śpiących „snem wiecznym". Płyną tak, płyną jedne za drugiemi, korytem rzeki ich własnej

teleplazmy. Płyną z całym swym balastem karmicznym, z całym nędznym dorobkiem swojej duchowej twórczości. Jak ziemia dokoła słońca ma swoją stałą orbitę, tak i one zawsze w kółko, zawsze po tej samej drodze płyną w pewnej sferze ziemi.

I nie potrafią się same dowolnie przerzucić poza obręb swej drogi. Tu trzeba wstrząsu, tu trzeba użyć siły woli własnej, złączonej z wolą Bożą i budzić należy tych wiecznie śpiących, przygotowawszy się uprzednio celową myślą, znając ich poprzednie życie i umiejąc dostosować się do danej chwili.

Jeśli np. budzi się takiego starca, a on ujrzy ostatni obraz swojego życia na ziemi, trzeba go odpowiednio uświadamiać i dać mu coś innego za jego dotychczasowe życie i za jego sen. Bo w ten sen rzuciło go też twarde życie, ciężkie w nieświadomości i zaślepienie jego ducha jest jego własnem dziełem, jest skutkiem błędnie pojmowanego życia na ziemi.

Na to wszystko trzeba wskazywać ostrożnie. Nie można mu powiedzieć: „Patrz, to wszystko twój dorobek, te larwy, elementy, szczerzące na ciebie zęby".

Wierny pies, ukarany przez pana za jakieś przewinienie, przeprasza go jeszcze, łasząc się i liżąc mu ręce. Jeżeli jednak taki śpiący budzi się — co dzieje się nieraz samorzutnie — i czując, iż mu coś piersi przygniata, chce to z siebie zrzucić, to w tejże chwili element, złączywszy się z jego odruchem złości, a będąc głodny, chwyta jego astralną rękę do swej paszczy i liże, połyka jego teleplazmę, co sprawia mu ból okrutny, gdyż duch

ma wrażenie podobne, jak gdyby na ziemi straszny potwór ogryzał mu mięso z ręki.

Kiedy ktoś zacznie budzić takiego ducha, to najczęściej odłącza się wówczas od naszego grona na tak długo, dopóki duch, którego bierze w opiekę, nie przebudzi się i nie zyska świadomości duchowej. Płynie z nim, płynie, unosi się obok tej mętnej rzeki i czeka na odpowiedni moment, by zawołać na niego, budząc go ze snu. Te śpiące duchy są w wysokim stopniu zależne od planet, otaczających ziemię. Taki duch, który się podjął roli przewodnika, zna wszystkie działania kosmiczne, wywierane przez planety na ziemię, na ciała astralne i teleplazmę, jak ludzką, tak zwierzęcą i dostosowuje się do danej chwili, wykorzystując np. moment, kiedy księżyc oświetla kulę ziemską. Musi również zważać i na inne okoliczności. On sam nie musiałby się podporządkowywać wpływom owych planet, ale podporządkowywuje się im do pewnych granic, by łatwiej móc zapomocą dodatnich myśli rozpruć ten wielki owal, to jajo nieświadomości i wydobyć zeń swojego pupila, jak z worka, w którym się dławi i nic nie widzi.

Przebudzić starca z jego snu i zostawić go samego z obrazem jego ostatniego przeżycia, który raz po raz błyska przed jego okiem, a on monotonnie i z trwogą powtarza ostatnią swoją modlitwę — jest to dla niego krzywdą. Ty nie będziesz mógł już teraz płynąć wraz z nim. Zobacz — tam w dali — widzisz, jak znów powtarza modlitwę, jak gorączkowo się w coć wpatruje? Oczywiście w to samo, na co przed chwilą i ty patrzyłeś. Zanimbyś przypłynął z nim znów aż do tego miejsca,

może upłynąć rok cały — a ty będziesz musiał powrócić do ciała za niemałe dwa dni. Więc zostań i przyglądaj się tylko spokojnie temu, co będzie przepływało koło ciebie. Ja tymczasem zawołam kogo innego, ochotnego do pracy, by popłynął za tym starcem i pomagał mu do dalszego przebudzenia i uświadomienia.

Antoniemu przykro się zrobiło, że znów przysporzył kłopotu swemu opiekunowi. Lecz ten uchwycił zaraz jego myśl i uspokoił go, mówiąc:

— Nie martw się. Misje, misje... Powiedziałem ci, że wiele duchów właśnie to obrało sobie za zadanie, by budzić tych nieszczęsnych ze snu do świadomości. O, czasem taki duch opiekuńczy zostanie otoczony przez elementy i larwy, należące do tego, którego broni przed atakami i zaiste nie jest mu wesoło w ich otoczeniu.

I wy na ziemi macie misjonarzy, wybierających się między ludy dzikie, by uczyć je wiary Chrystusowej, ale to w takiej formie, w jakiej sami nauczyli się od innych. Ci też nieraz w drodze ku tym zbłąkanym duchom na ziemi mogą być napadnięci i pozbawieni życia przez dzikie zwierzęta, a nawet przez ludzi-zwierzęta, będąc w ten sposób niedopuszczeni do spełnienia swego posłannictwa na ziemi.

I właśnie te misje tu, wśród duchów, pogrążonych w śnie „wiecznym“, spełniają znów po największej części już przebudzeni i świadomi prawdy życia misjonarze, niegdyś księża, którzy stopniowo już na ziemi zaczęli się odrywać od martwej litery i wydobywać prawdę z samych siebie. Ci prześladowani i mniej mający uznania, niż księża wychowani na

martwej literze, spełniają tu dalej swoje zadanie, budząc tych, których sami ongiś uśpili, chociażby już nie w ostatniem swojem życiu ziemskiem. Wyrównywują krzywdę, jaką poniekąd wyrządzili swoim bliźnim, każąc im wierzyć, że oni, jako słudzy Boga znają Jego sprawy i wiedzą, jak wskazywać na ziemi drogę do Niego i jak odprowadzić ducha do wiecznego żywota — oraz udając, że dobrze wiedzą, kogo Bóg bierze do nieba, a kto musi iść do piekła albo do czyśćca.

Naprawiając stare błędy, naprawiają też i błędy innych, jeżeli swoje długi już mają wyrównane.

Byłem przygotowany na to, że ty zechcesz się zbliżyć ku któremu z tych śpiących, a może i budzić go — i jest tu już jeden z braci, co stale prosi o pracę, chcąc iść z pomocą tym biednym ofiarom.

— A teraz — rzekł opiekun i podniósł rękę, dając tem jakby znak Antoniemu, że ma być cicho, że nie ma wydobywać ze siebie żadnej głośniejszej myśli. — O, teraz chwileczkę... — powtórzył i zapatrzył się, jakby czegoś szukał w bezkresnej dali.

Antoni spojrzał w tym kierunku. Biegł wzrokiem po tej linji strzały magnetycznej, jakby przyciągnięty elektrycznością. I ujrzał wielką planetę Merkury. Światło jej padało właśnie na twarz starca; magnetyczne jej smugi leciały ku starcowi i ku niektórym innym, płynącym w tej szerokiej, długiej rzece. Smuga, dotykająca lewego ramienia starca, tworzyła w tem miejscu łuk, którego jeden koniec dotykał piersi w okolicy serca, drugi skierowany był pomiędzy łopatki; wyglądało to

tak, jakby ktoś chciał wielkiemi imadłami śpiącego poruszyć i we śnie obrócić na bok.

W tej chwili skinął opiekun drugą ręką i zaraz wynurzył się duch, który podążył w kierunku, wskazanym przez niego wprost ku męczącemu się starcowi, wpatrującemu się dalej gorączkowo w jeden i ten sam obraz.

Opiekun, patrząc za nimi, powiedział z głębokiem westchnieniem, które aż zakołysało Antonim:

— Dziej się wola Boża! Niech was prowadzi Jego siła. Miłość i wiara niechaj będzie waszą tarczą, niech będzie waszą bronią. I wszystkie cnoty, uskrzydlające ducha, a przedewszystkiem pokora, pokora niech was otuli miłościwym płaszczem!

Potem odwrócił się do Antoniego, mówiąc:

— Gdyby w tej chwili, kiedy pod przyjaznym wpływem Merkurego obrócił się z jednego boku na drugi, przyczem Merkury zbudził go poniekąd ze snu — gdyby taki duch zechciał mimo to spać dalej, a niktby mu nie przyszedł z pomocą, to znów zapadłby niemal w taki sam sen.

Tymczasem Merkury obrócił już biedne ofiary na prawy bok. Toteż i do innych wysłały inne dobre duchy znów świadomych sprawy misjonarzy. Gdyby jednak ktoś nieuświadomiony poprzednio, a tylko tak w pierwszym porywie, by czynić dobrze, zechciał ich budzić, ucierpiałby wiele od ich larw i nie pomógłby im tyle, ile im może pomóc, będąc do tego przygotowanym.

Rozdział XIV.

Zmartwychwstanie.

Matka Antoniego postanowiła przewieźć zwłoki syna do jego rodzinnego kraju. Noc całą nie spała, spędzając ją na przerywanych wybuchami płaczu modlitwach. Myślała o swoim żywym, kwitnącym synu, jak do lat blisko 24 w pełni zdrowia i humoru rozweselał swoje otoczenie.

Naraz błysnęła jej dziwna myśl: że ona właściwie tego wesołego syna już dawno straciła. Tak urywane były jego listy, a w dodatku w listach tych zawsze straszyły ją zmory! Treść ich była niemal jednakowa. Mało, a nieraz wcale nie opisywał swoich podróży, skąpe były jego zwierzenia: „Ze zdrowiem nie najlepiej, ot tak sobie, że chodzę i żyję. Snu, snu spokojnego mi trzeba i tak bodaj jeden miesiąc dawnej wesołości! Toby mnie pokrzepiło na ciele i duchu.“ Te i t. p. myśli, które jej utkwiły w pamięci z listów syna, przewalały się po jej zbolałej głowie. Jakże trudno było jej się pogodzić z tem, że on już więcej nawet tych listów pisywać nie będzie!

Nad ranem zasnęła i śni jej się, że Antoni przy niej stoi, patrzy na nią i uśmiecha się. „Nie płacz mateczko!

— słyszy jego słowa. — Na moją chorobę nie było innego lekarstwa, jak śmierć — śmierć ciała, ale to śmierć tylko chwilowa. Powrócę, mateczko — wszak ja żyję — powrócę z tobą i już nie pójdą ze mną zmory.“

Pomimo, iż wyraźnie go widziała, patrząc mu w twarz, to jednak ciężki ból przygniatał jej serce, jak wielki kamień. Uprzytomniała sobie bowiem, że to się jej tylko śni i myślała sobie: „Zbudzę się i wszystko pierzchnie — to sen tylko, sen taki żywy o moim umarłym synu“. I zapragnęła zbudzić się.

A kiedy już, już poczuła, że zaczyna ruszać swojemi członkami, chciała się zamknąć przed pełnią świadomości po przebudzeniu się, nie widzieć tej sztywnej twarzy Antoniego, ale raczej tę, która jej się przed chwilą zjawiła.

I o dziwo — uczuła, że w taki sen, jak poprzednio, już nie zapada, a jednak widzi wyraźnie, iż stoi przy niej żywy, dobrotliwie patrzący Antoni.

A on rzeczywiście był przy niej, obleczony w astralne swoje ciało, które nawpół zmaterjalizowane, a w bliskości matki jej magnetyzmem ożywione, było podobne do jego ziemskiej postaci.

Otworzyła oczy, mając wrażenie, że choć oczy otworzy, on jej nie zniknie, zniknąć nie może, bo przecież jest przy niej taki żywy! Więc sen to, że Antoni umarł, sen długi, ciężki; rzeczywistość jest inna, tylko z tego ciężkiego snu się zbudzi.

Otworzywszy oczy, patrzyła chwilę przed siebie rozszerzonemi źrenicami, uprzytomniając sobie, co się to z nią właściwie dzieje i gdzie się znajduje.

— Ach, Boże! — westchnęła wreszcie, przypominając sobie dokładnie przeżycia ostatnich dni. Zaczęły się jej zacierać myśli o tem, co jej się śniło, lecz usilnie starała się odtworzyć ten sen w swojej świadomości na planie fizycznym. Istotnie sen zaczął jej wracać w urywkach w sferę pamięci, aż niebawem cały sobie przypomniała. Nie wiedząc jednak jeszcze, że Antoni rzeczywiście powróci do ciała i żyć w niem będzie dalej, tłumaczyła sobie zupełnie prostą, ludzką drogą jego powiedzenie: „Aby wyleczyć się z tej choroby, trzeba było umrzeć. Powrócę z tobą, lecz zmory ze mną już nie powrócą. Ja żyję i żyć będę dalej.“

— Widocznie miało to znaczyć, że ze śmiercią zakończyły się jego cierpienia i że w rodzinnym kraju w grobie będzie miał spokój dniem i nocą, zmory już za nim nie powrócą. No, bo już mu się nic nie będzie śniło — dodała półgłosem trochę apatycznie. — A żyć będzie dalej Bóg wie gdzie — gdzie go Bóg weźmie...

Myśl jej zaczęła zataczać niejasne kręgi. Lęk ją zdjął, gdy uświadomiła sobie, że i jej ciało kiedyś tak nieruchomo będzie leżało, a duch gdzie się będzie obracał, to Bóg jeden wie. Ta niepewność zaczęła ją dziwnie dręczyć, lecz do tej udręki zaczęła się radość sączyć, radość, że jeszcze żyje, no i że pewnie nie prędko z tego świata odejdzie. Jakby na usprawiedliwienie, że w tym smutku się cieszy, mówiła sama do siebie:

— Żyć, żyć muszę, wszak mam tu jeszcze na ziemi obowiązki!

Myślała przytem przedewszystkiem o tych wielkich obowiązkach, jakie często miewają ludzie na planie

fizycznym. Chciała jeszcze niejedno ulepszyć materjalnie w swoim majątku.

Wstała, ubierając się szybko, aby tylko uciec przed myślami o swojej własnej śmierci. Lecz znów nie mogła się oprzeć powadze chwili i z bólu ugięła się, kiedy spojrzała na nieruchomą, bladą twarz Antoniego i pomyślała, że trzeba robić starania o przewiezienie jego zwłok.

* * *

Tymczasem Antoni, po krótkim pobycie przy swej matce znów się od niej oddalił. Duch opiekuńczy powiedział mu:

— Zbliża się godzina twojego przebudzenia, twojego zmartwychwstania. Chodź, niech cię wykąpię w czystych siłach przyrody, chodź, niech na astralne twoje ciało spadnie jeszcze trochę rosy, rosy magnetyzmu przyrody, byś tak pokrzepiony i rannem słońcem orzeźwiony mógł szybciej zapalić gasnący magnetyzm w komórkach swej cielesnej powłoki.

Z chwilą, gdy Antoni stanął przy swojej matce jako duch w ciele astralnem, już się po części połączył z ciałem fizycznem. Gdy potem matka zaczęła głaskać go po czole, skroniach i policzkach, uczuł, że go tem samem ku temu ciału przyciąga. Ciężko mu się zrobiło, tak ciężko, jakby się na niego sypała chłodna, wilgotna ziemia, a on musiał się z niej wydobywać, jak nurek w ciężkiej swej szacie z głębin morza. Ba, jeszcze ciężej mu było, bo miał wrażenie, jakby ta ziemia na nim się lepiła, utrudniając mu wyjście na powierzchnię. Coraz wyraźniej słyszał głos matki, nawet i inne głosy, pocho-

dzące z najbliższego jego otoczenia. Pragnął choć chwilowego wytchnienia — odetchnąć, nabrać siły, by móc się skuteczniej oprzeć temu czemuś, temu niesamowitemu, dziwnemu uczuciu dusznej ciężkości.

— O, tchu! tchu mi brak! — narzekał sam w sobie.

I zdumiał się sam nad swojem spostrzeżeniem, że mu tchu brakuje. A przecież tak swobodnie mógł oddychać jeszcze przed chwilą.

Coraz wyraźniej stopniowało się to uczucie. Już nie wołał w myślach: „Tchu mi brak“, ale „Piersi, piersi nie mam!“

Za chwilę zmieniło się i to uczucie braku piersi. Czuł je na sobie, jako ogromną marmurową płytę. I znów snuły mu się myśli, żeby mu kto pomógł zdjąć tę ciężką płytę.

A matka już ucichła, z bolesnym wyrazem twarzy patrzyła tępo na jego pożółkłe palce i zsiniałe paznokcie. W tem zauważyła na lewej ręce miejscami małe, różowe plamki. W pierwszej chwili myślała, że to złudzenie wzrokowe pod wpływem przemęczenia oczu łzami. Zdziwiło ją jednak, że nie objawia się to na prawej ręce. Nawet i zsiniałe paznokcie zaczęły zmieniać swój kolor, gdyż pod niemi zarysowywać się zaczęły różowe półksiężyce, a na wierzchniej wardze pojawiła się tuż pod nosem drobna rosa.

Pomyślała sobie:

— Ach, jak uparcie prześladują mnie te myśli, że Antoni otworzy wreszcie oczy i przemówi. Te plamki czerwone na ręce, to widocznie nic innego, jak wynik rozprężenia komórek i naczyń krwionośnych.

Usta Antoniego rozchylały się nieznacznie, jak do uśmiechu.

— O, tak pomyślała — smutny to uśmiech zjawia się na twoich ustach. Pewnie niebawem krew się na nich pokaże, wypierana z powodu wewnętrznego rozprężenia ciała

Uczuła bolesny zawrót głowy i pragnienie, żeby się coś stało, żeby ktoś potrafił do niej przemówić, wyrwać ją z tego ciężkiego smutku, gdyż czuła, że siły ją opuszczają, że niebawem i ona może położyć się ciężko chora na łożu szpitalnem.

Przyszedł lekarz, który z przejęciem i zamyśleniem patrzył już dnia poprzedniego na spoconą górną wargę Antoniego i na zmieniającą się jego twarz. Powitawszy grzecznie hrabinę i życząc jej pogody duchowej i siły zamierzał pójść dalej, zaznaczając, że chętnie posłuży jej radą i pomocą, gdyby czego potrzebowała przy załatwianiu spraw, związanych z przewiezieniem zwłok Antoniego.

Na ostatnie jego słowa nie odpowiedziała, obracając w swoich dłoniach lewą rękę Antoniego, która traciła swą sztywność, a tylko jakby omdlała opadała z ręki do ręki hrabiny. Palce stały się miękkie, choć jeszcze pozostały zimne. Brała do ręki jego prawą dłoń, lecz u tej były palce kurczowo sztywne. Spojrzała za odchodzącym lekarzem, chcąc go zawołać, by zwrócić mu uwagę na tę szczególną zmianę u Antoniego, lecz sama sobie zaczęła perswadować:

— Dlaczego, dlaczego mam go wołać? Pewnie takie różne oznaki zdarzają się u niejednego po śmierci.

Trzymając znów lewą rękę Antoniego miała wrażenie, że piersi jego podniosły się i nie opadają. Znów z lękiem pomyślała, że niebawem ujrzy krew, płynącą mu z ust. Uczuła, że się jej robi niedobrze, że jest coraz bardziej słaba i lęk ją ogarnia coraz większy przed tym groźnym, codziennym gościem pomiędzy ludźmi, przed śmiercią. Do tej całej zgrozy mieszała się dziwna pokora przed majestatem wielkiej miłości Bożej. Myśli napłynęły jej nawałnicą. Zaczęła po chwili nie rozumieć miłości Bożej. Gdy zapragnęła rzucić się ku Jego stopom i prosić, jak dziecko, o pocieszenie i wzięcie ducha Antoniego pod opiekę, nasunęły jej się myśli o karze Boskiej, że Bóg różnemi boleściami i śmiercią karze ludzi. „Kogo Bóg miłuje, tego krzyżem nawiedza". Niezrozumiałą stała się jej postać Boga; bo też rzadko kiedy pomyślała głębiej o Nim i o prawach przyrody, o wiecznem życiu. A teraz myśli chaotyczne w szalonem tempie wdzierały się w jej ducha, w jej serce.

Wrócił lekarz. Chciała wstać z krzesła, chciała odejść na chwilę od Antoniego, ale zaczęła się słaniać. Uczyniła kilka kroków, podpierana ręką lekarza i znów przystanęła, spojrzała na Antoniego. Wreszcie, dziwiąc się sama sobie, skąd się w niej bierze tyle energji, postanowiła koniecznie pomówić z doktorem na temat śmierci Antoniego. Zwróciła się do niego, że chciałaby z nim porozmawiać sam na sam, choć nie wiedziała jeszcze, co mu właściwie chce powiedzieć. Kiedy już byli sami, odezwała się:

— Doktorze, zechciej mnie pan wysłuchać. Nie

wiem, co się ze mną dzieje, ale ja nie mogę uwierzyć, że syn mój nie żyje. Może to jest tylko letarg?

— Z czego to pani sądzi, skąd pani przyszły takie myśli? — zapytał nieco nerwowo z pewnem ożywieniem.

— Panie doktorze, trzymałam jego lewą rękę — była sztywna, a stawała się jakaś bezwolna, taka miła, elastyczna, miękły mu palce w mej dłoni i stawały się różowe.

— Kochana pani — odezwał się lekarz — coś podobnego słyszy się często. Przyjdą krewni zmarłego i co się dzieje? Ten sztywny trup podobno, gdy go zaczną wołać po imieniu, traci duży procent swej sztywności i mówią: „Dał się ubrać; gdyśmy na niego wołali, stał się mniej sztywnym." Ciekawiło mnie to, to też sam nieraz badałem ten stan. I rzeczywiście, że były wypadki, gdzie pod wpływem jakiejś mi nieznanej siły zwłoki sztywne stawały się elastyczne. Może i tu zachodzi taki wypadek. Być może, że teraz ręka wraca już do dawnego stanu sztywności. I ja byłem wczoraj, przyznam się, nieco zaniepokojony, ale dziś nie widzę zmiany; zresztą może nawet zagalopowałem się i o mało nie przyszło do nieporozumienia pomiędzy mną, a kolegą, o czem pani pewnie nawet nie wie. Upewniam panią, że uczynimy wszystko, aby pani była bezpieczna i spokojna, że syn jej nie został pogrzebany żywcem.

Wtem hrabina złapała go za obie ręce i wpatrując mu się w twarz z bólem i zgrozą, zawołała błagalnie:

— Doktorze, wszystko, tylko nie operujcie Antoniego! Może pan powie, że jestem dzieckiem nierozsądnem i że operacja nie ma już dla niego żadnego znaczenia,

ale sama myśl o krajaniu mi dziecka jest dla mnie straszna.

— Ależ kochana pani — odezwał się lekarz — aby zbadać, czy nastąpiła faktycznie śmierć, w wątpliwych wypadkach wystarczy nam tylko wypuścić z ciała troszkę krwi, by przekonać się, w jakim ona stanie się znajduje, czy zmieniła swój kolor i o ile.

Radził jej, by trochę się przeszła w pola, by starała się wypocząć, zasnąć, aby myśli o ile możności kierowała na inne tory.

— Trudno — powiedział — ten nędzny los czeka nas wszystkich, na nic nie przyda się rozpaczanie, lepiej starać się nie myśleć o tem. Płacz umarłym nie pomoże.

Boleśnie jakoś dotykały ją słowa lekarza. Pomimo, iż starał się mówić z nią serdecznie, to ona wyraźnie wyczuła brak głębszego współczucia i zrozumienia. Ogarnął ją jakiś wstyd, a zarazem i ciche oburzenie na to sztywne otoczenie. Postanowiła nie wypuścić z ust już żadnej głośnej skargi, nie szukać u nich pociechy, ale czuwać przy Antonim.

— Do niego pójdę z bólem swoim; chociaż już nie żyje, nie zostawię go samego w bliskości ludzi, którzy pracę swoją traktują widocznie tylko, jak każdy inny zawód.

Wróciwszy do ciała syna, zauważyła, iż ręce jego leżą w nieco innej pozycji, niż je zostawiła. Piersi wydawały się jej jeszcze bardziej podniesione, tył głowy więcej wciśnięty w poduszkę i trzy palce lewej ręki

przyciśnięte mocno do dłoni, jak w skurczu, a dwa zupełnie miękkie.

— Antoni! — pomyślała. — Gdybyś ty się tak zbudził bodaj na chwilę, spojrzał na mnie, pomówił, pożegnał się ze mną, a potem dopiero umarł, jeśli już umrzeć musisz. Tych kilka słów od ciebie wśród tych obcych, wśród tego smutku, coby to był za cud, co za radość dla mej zbolałej duszy.

Antoni słyszał szeptem wymawiane słowa matki. Był przy swojem ciele, o, był już przy niem więcej, niż godzinę. Zmaganie się było ciężkie. Był jak oszołomiony. Czuł się częściowo już do ciała przyłączony, lecz nie mógł zawładnąć jego członkami. Coraz bardziej dokuczał mu szalony brak powietrza. Gdy już miał wrażenie, że się udławi, uczuł, jak gdyby mu opiekun jego przemocą pociągał, wydłużał głowę i — dziwna rzecz — zaczął oddychać wierzchem głowy. Wówczas ulżyło mu się znacznie. Ogarnęła go nieprzeparta chęć, by uciec jak najdalej od tego ogromnego ciężaru swego ciała. Udało mu się to istotnie; przez chwilę stał tak uwolniony, a opiekun powiedział mu:

— Nabierz siły do dalszych cierpień. Powtarzaj sobie z ufnością: „Niech się dzieje wola Boża“. Pomożemy ci; wysłałem już myśli i przyjdą inni tobie na pomoc. Zaczniesz nowe życie w swojem, teraz pozornie zmarłem ciele — ale ten etap boleści, jakibyś miał przebyć karmicznie przy ponownych narodzinach, zgarnie ci się przy przyłączaniu się do tego ciała. Duch, świadomy swojego zadania na ziemi przy rodzeniu się, niemniej cierpi, niż matka, która go na świat wydaje. Ty też na-

wpół świadomie odczuwać będziesz te swoje bóle przyłączania się przy wchodzeniu w nowe życie.

I istotnie nastały dla Antoniego w pewnych odstępach czasu silne etapy bolu; coraz mniejsze były przerwy między niemi, coraz mocniejsza świadomość życia na ziemi i uczucie bólu cielesnego.

Matka, patrząc na zaciśnięte palce syna, przytuliła jego rękę do swoich ust i, nie wiedząc o tem, że działa pod wpływem jednego z duchów, chuchała mu na nią, szepcąc tkliwie:

— Tosiu, Antosiu, otwórz rękę!

Zaczęła tą jego dłonią głaskać się po twarzy. Przytuliła ją do piersi i znów całowała jego paznokcie.

Wtem uczuła wyraźnie, że ta ręka w jej dłoniach zadrżała. Z przestrachem spojrzała mu w twarz i zobaczyła, iż powieki drgają i są lekko odchylone, jakby oczy już miały się otworzyć. Ścisnęła sobie rękami skronie i patrzyła przez chwilę na jego twarz. Oczy otworzyły się do połowy. W tem ujrzała, jak i usta się poruszyły i otworzyły, jakby chciały zaczerpnąć powietrza.

Nie mogła się dłużej opanować: krzyknęła przeraźliwie: „Jezus, Marja!“ i bez przytomności upadła na ziemię. Nie wiedziała nawet, jak ją odnieśli i ułożyli na łożu.

Lekarz, który miał z nią poprzednio rozmowę, zaintrygowany, co ostatecznie na nią tak wpłynęło, że z krzykiem upadła na ziemię, podszedł nieco drżącym krokiem do Antoniego, jakby przeczuwał, że coś niesamowitego się jednak dzieje.

Ledwo spojrzał, cofnął się o kilka kroków wtył, aby

znów śpiesznie przypaść i nachylić twarz tuż nad Antonim. Wreszcie wykrztusił:

— Rzeczywiście, Panie Boże, tu coś jest nie w porządku! Ten człowiek daje znaki życia! Prędko, prędko — zawołał, sam nie wiedząc, kogo chce wołać, kto to ma prędko przybyć.

Pobiegł na salę, zatoczył się bezradnie, to znów rzucił się do telefonu — i już dobywał się na salę operacyjną, pomimo, iż wiedział, że i tam wre ważna praca, że nie można kolegów odrywać od operacji. Przez telefon otrzymał burę, że mu chyba jednej klepki w głowie brakuje i wogóle całe jego zachowanie się jest niczem zachowanie nierozsądnego chłopca. W sieni niemal potrącił swego kolegę, który wyśmiał się był z jego spostrzeżeń wczorajszego dnia.

— Co jest, co się panu stało? Dlaczego pan tak biega, jak oparzony?

Lecz ten nie odrzekł ani słowa, tylko szybko zawrócił do Antoniego, wołając do pielęgniarek, że trzeba Antoniego ułożyć odpowiednio, rozebrać zupełnie i przeprowadzić sztuczny oddech. Patrzyły na niego osłupiałym wzrokiem; żadna nie ruszyła się z miejsca. Myślały, że postradał zmysły pod wpływem rozpaczy hrabiny. Kolega także z niedowierzaniem patrzył na niego, uśmiechając się.

Ale on już znów rzucił się do Antoniego; podłożył mu ręce pod plecy, podniósł i powtórzył ten zabieg dwa razy; potem wziął go za ręce i zaczął posuwać niemi w stronę głowy, chcąc wywołać w ten sposób sztuczny oddech. Tymczasem przystąpiły mu do pomocy obie pie-

łęgniarki, a także i drugi lekarz, ale w całej ich postaci przebijał się brak odwagi. Niebawem przyszedł kolega drugi i trzeci i wszyscy zaczęli intensywnie pomagać w przywracaniu życia Antoniemu.

Ten wreszcie otworzył oczy; powieki stały się zupełnie nieczynne, oczy były jeszcze mocno mętne i nawpół w słup obrócone. Było widać, że on przez te oczy zaczyna patrzeć, lecz były one skierowane w jeden punkt, jakby umocowane do sufitu. Oddech był bardzo słaby, a usta mocno rozchylone.

Starali mu się wlać do ust jakiś orzeźwiający płyn, wino — lecz on nie był zdolny do jego połknięcia. Język był jeszcze sztywny i suchy, i głęboko w gardło wciągnięty. Wino wylewało się kącikami ust.

Powieki były nadal nieruchome, oczy otwarte i przeszło pięć godzin wpatrzone w jedno miejsce. Za dziewięć godzin po wydaniu pierwszego lekkiego oddechu, połknął pierwszy łyk wina i odtąd co pewną chwilę dawano mu orzeźwiającego płynu do przełknięcia.

Dopiero wówczas powiadomili ostrożnie matkę, że rzeczywiście miała rację, wierząc, że syn jej nie umarł. W całym szpitalu toczyła się ożywiona dyskusja na ten temat i nagle wielką pieczołowitością otoczono Antoniego i jego matkę. Pielęgniarki mówiły, że nie widziały jeszcze, żeby matka tak czule i tak wytrwale głaskała swoje zmarłe dziecko i tak wciąż się modliła, a w modlitwie pewnie Boga prosiła o przywrócenie mu życia. Widocznie Bóg wysłuchał jej modłów. Ogólnie jednak przypuszczano, że i tak długo nie pożyje, bo tętno serca było ogromnie słabe.

A tymczasem Antoni zupełnie przyszedł do siebie i żył owocnie aż do sędziwego wieku, będąc stale w świadomym kontakcie ze Sferami Ducha. Jako jasnowidz i medjum piszące i materjalizacyjne pozostawił po sobie niejedną pamiątkę, o czem dowie się Czytelnik w następnych tomach, które się ukażą na półkach księgarskich w miarę zdobywania środków na ich wydanie.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

TREŚĆ:

Zmora 1
Czarna magja wśród cyganów 19
Spowiedź 37
Upiór 48
W więzieniu 60
Początek letargu 81
W świecie larw. Walka z mocarzami piekieł . . 98
Śmierć czy letarg? 122
Miara czasu na ziemi i w zaświecie 137
Powstawanie larw. Piekło i czyściec 143
Kwiaty astralne 175
W głębi morza 189
Sen wieczny 211
Zmartwychwstanie 225

HEJNAŁ
MIESIĘCZNIK WIEDZY DUCHOWEJ

Adres redakcji i administracji: W i s ł a na Śląsku Ciesz.

Wydawca i redaktor: Jan K. Hadyna.

Jedyne tego rodzaju pismo w Polsce propagujące duchowy rozwój i odrodzenie człowieka w imię ideałów chrześcijaństwa, oraz dające poznanie wyższych praw bytu i celu życia człowieka na ziemi.

Urozmaiconą treść czasopisma wypełniają wybitne prace miejscowych i zagranicznych autorów z dziedziny psychologji, filozofji, teologji, metapsychologji, medycyny, medjumizmu, spirytyzmu, astrologji etc., dając całokształt wiedzy ezoterycznej.

—o—

W trudnych i zawiłych nieraz powikłaniach życiowych, obfitujących często w mnóstwo niesamowitych i nadnormalnych wydarzeń i przeżyć — redakcja w miarę możności chętnie udziela zainteresowanym porad i odpowiednich wyjaśnień drogą jasnowidzenia.

—o—

Redakcja prosi o nadsyłanie jej wiadomości o różnych wydarzeniach niezwykłych i niezrozumiałych dla ogółu, o snach symbolicznych etc., które umieszczać będziemy w piśmie z odpowiedniem wytłumaczeniem.

Egzemplarze okazowe wysyłamy na żądanie bezpłatnie.




BN
BIBLIOTEKA
NARODOWA